

TEN PRZESZCZEP MOŻE OKAZAĆ SIĘ ZBAWIENIEM - ALBO PRZEKLEŃSTWEM...

Dean
KOONTZ

Twoje serce należy
do mnie



Dean
KOONTZ

Twoje serce należy
do mnie

Z angielskiego przełożyła
MAGDALENA SŁYSZ

Tytuł oryginału:
YOUR HEART BELONGS TO ME

*Ta książka jest dedykowana Timowi i Serenie Powersom
z powodów oczywistych dla każdego, kto ich zna.
Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;
Czysta anarchia szaleje nad światem,
Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół
Zatapiając obrzędy dawnej niewinności (...).*
W.B. Yeats, *Drugie przyjście*,
przekład Stanisława Barańczaka, *Poezje wybrane*, PIW,
Warszawa 1987

Część pierwsza

Wszystkie domy zniknęły, zalało je morze.

I tancerze zniknęli, przykryło ich wzgórze.

T.S. Eliot, *East Coker*,

przekład Krzysztofa Boczkowskiego,

Wybór poezji, PIW, Warszawa 1988

1

Ryan Perry nie wiedział, że coś w nim zaczęło szwankować. W wieku trzydziestu czterech lat wydawał się zdrowszy i sprawniejszy fizycznie niż wtedy, gdy miał dwadzieścia cztery. Siłownia, do której uczęszczał, była dobrze wyposażona. Trzy razy w tygodniu przychodził do niego osobisty trener.

Kiedy tego środowego poranka we wrześniu rozsunął zasłony w swojej sypialni i zobaczył jasne niebo, czyste jak wypolerowany talerz, i błękitne morze, nieziemsko wręcz lśniące, bardziej niż na śniadanie nabrał ochoty, żeby znaleźć się wśród fal i piasku.

Wszedł do Internetu, zajrzał na stronę z informacjami dla surferów i zadzwonił do Samantha.

Musiała spojrzeć na wyświetlacz z identyfikacją numeru, bo powiedziała:

– Dzień dobry, Winky.

Od czasu do czasu mówiła do niego Winky*, bo tego popołudnia, gdy się poznali, przed trzynastoma miesiącami, nękała go uporczywa myokymia, niekontrolowane drżenie powieki.

* *Wink* (ang.) – mrugać.

Czasami, kiedy Ryana tak wciągnęło pisanie oprogramowania, że nie spał przez trzydzieści sześć godzin, niespodziewany nawrót tiku w prawym oku zmuszał go w końcu do odejścia od klawiatury i sprawiał, że zaczynał mrugać, jakby nadawał jakiś szaleńczy rozpaczliwy sygnał alfabetem Morse'a.

W takiej właśnie chwili do jego biura przyszła Samantha, żeby przeprowadzić z nim wywiad do artykułu, który pisała dla „Vanity Fair”. Przez moment odniosła nawet wrażenie, że z nią flirtował... i to dość niezręcznie.

Już podczas tego pierwszego spotkania Ryan chciał zaprosić ją na randkę, ale wyczuwał w niej pewną zasadniczość. Samantha nie zgodziłaby się na spotkanie, dopóki nie skończy o nim pisać. Zadzwonił do niej dopiero, gdy oddała artykuł do redakcji.

– A co byś powiedział, gdybym rzuciła się na ciebie, kiedy już wyjdzie ten numer „Vanity Fair”? – zapytała.

– Nie zrobisz tego.

– Skąd wiesz?

– Nie zasługuję na to, żeby ktoś rzucał się na mnie, a ty w dodatku jesteś porządną kobietą.

– Nie znasz mnie aż tak dobrze, żeby mieć pewność.

– Na podstawie stylu, w jakim przeprowadziłaś ze mną wywiad – powiedział – zorientowałem się, że jesteś bystra, trzeźwo myśląca, wolna od dogmatów politycznych i zawiści. Jeśli przy tobie nie jestem bezpieczny, to nie jestem bezpieczny przy nikim. Nie schlebiał jej. Po prostu wyraził swoją opinię.

Wyczulona na wszelkie tego typu sztuczki Samantha zrozumiała, że mówił szczerze.

Z cech, które inteligentną kobietę pociągają w mężczyźnie, prawdomówności dorównuje tylko dobroć, odwaga i poczucie humoru. Przyjęła jego zaproszenie na kolację, a następane miesiące, były najszcześniejszym okresem w jej życiu.

Teraz, w ten środowy poranek, powiedział:

– Grzywacze wysokości sześciu stóp, wielkie, przewalające się, i słońce, które praży niemiłosiernie.

– Muszę zdążyć z robotą.

– Jesteś za młoda na takie drętwe teksty.

– Znowu w przyspieszonym tempie zmierzasz ku maniakalnej bezsenności?

– Spałem jak niemowlę. I nic mam tu na myśli mokrej pieluchy.

– Kiedy jesteś niewyspany, stajesz się nieobliczalny na desce.

– Brawurowy może tak, ale nieobliczalny? Nigdy.

– Całkiem tracisz rozum, jak wtedy z rekinem.

– A ty znowu swoje. To było maleństwo.

– Tylko żarłacz biały.

– Hm, drań odgryzł mi kawał deski.

– I co? Zamierzasz mu go odebrać?

– Byłem wykończony – powiedział Ryan. – Znajduję się pod wodą, wszędzie mrok, usiłuję złapać powietrze, trafiam rękę na coś, co przypomina miecz.

Miecz, umocowany pod deską surfingową, utrzymuje ją na fali i pozwala surferowi sterować.

Ale to, co chwycił Ryan, nie było mieczem, tylko płetwą grzbietową rekina.

– Jaki kamikaze dosiada rekina? – zapytała Samantha.

– Wcale go nie dosiadałem. Zostałem zabrany na przejażdżkę.

– Wypłynął na powierzchnię, próbował cię zrzucić, ale ty się nie dałeś.

– Bałem się go puścić. I tak trwało to tylko ze dwadzieścia sekund.

– Ludzie przeważnie stają się ospali na skutek insomni. A ty przeciwnie, jesteś pobudzony.

– Zapadłem w sen zimowy zeszłej nocy. Jestem wypoczęty jak niedźwiedź na wiosnę.

– Kiedyś w cyrku – zauważyła – widziałam niedźwiedzia jeżdżącego na trójkołowym rowerku.

– A co to ma do rzeczy?

– To było zabawniejsze niż oglądanie idioty jeżdżącego na rekinie.

– Ja jestem raczej misiem Puchatkiem. Wypoczętym i miłutkim. Gdyby teraz do moich drzwi zapukał rekin i zaprosił mnie na przejażdżkę, odmówiłbym.

– Śnią mi się w nocy koszmary o twoich zapasach z tym rekinem.

– Jakie tam zapasy. To bardziej przypominało balet. Podjechać do ciebie?

– Nigdy nie skończę tej książki.

– Nie wyłączaj komputera, gdy idziesz spać. Elfy ją skończą za ciebie. To co? Spotkamy się na miejscu?

Westchnęła z pełną zadowolenia rezygnacją.

– Za pół godziny.

– Włóż to czerwone – powiedział i rozłączył się.

Woda będzie ciepła, dzień jeszcze cieplejszy. Nie potrzeba pianki.

Wybrał begi z deseniem w palmy.

Miał też w swojej kolekcji parę z rekinami. Gdyby je włożył, Samantha skopałaby mu tyłek. Nie dosłownie.

Wziął też ciuchy na zmianę i parę mokasynów.

Z pięciu pojazdów w garażu najlepszy na ten dzień wydawał się trochę przerobiony ford woodie wagon z pięćdziesiątego pierwszego roku – w kolorze antracytu z klonową deską rozdzielczą w jasnopomarańczowym odcieniu. Jego deska, wsadzona do bagażnika, wystawała spod uniesionej klapy mieczem do góry.

Na końcu brukowanego podjazdu, gdy Ryan skręcał w lewo, wyjeżdżając na ulicę, zerknął za siebie na dom: zgrabne linie dachu pokrytego czerwoną półokrągłą dachówką, wyłożone wapieniem ściany, brązowe okna o fazowanych szybach załamujących światło słoneczne jak oszlifowane kamienie szlachetne.

Pokojówka w śnieżnobiałym stroju otworzyła drzwi balkonowe na drugim piętrze, żeby wywietrzyć jego sypialnię.

Jeden z ogrodników przycinał pędy jaśminu rozpięte na treliazu wokół rzeźbionego w wapieniu obramowania drzwi frontowych.

W ciągu niespełna dekady Ryan dokonał niezłego skoku: od ciasnego mieszkanca w Anaheim do domu na wzgórzach wybrzeża Newport, wysoko nad Pacyfikiem.

Samantha mogła zrobić sobie dzień wolny, bo zajmowała się pisaniem i choć różnie jej się powodziło, pracowała, kiedy chciała.

Ryan mógł się wyrwać, ponieważ był bogaty.

Dzięki inteligencji i ciężkiej pracy doszedł od zera na sam szczyt. Teraz, kiedy spoglądał na początki swojej kariery, odległość, jaką pokonał, wręcz go oszałamiała.

Gdy opuścił strzeżoną posiadłość i zjeżdżał w kierunku zatoki, gdzie przybijały tysiące łodzi i cumowały w migocącej, złotawej od

słońca wodzie, przeprowadził przez telefon kilka służbowych rozmów.

Przed rokiem ustąpił ze stanowiska dyrektora generalnego Be2Do, którą przekształcił w najpopularniejszą witrynę towarzyską w Internecie. Jako główny udziałowiec pozostał w zarządzie, ale nie chciał być prezesem.

Ostatnio poświęcił się głównie pracy koncepcyjnej, wymyślaniu i opracowywaniu nowych usług świadczonych przez firmę. I próbował przekonać Samanthę, żeby za niego wyszła.

Jego bogactwo rzucało głęboki cień, a ona nie chciała się w nim zagubić. Chociaż nie wyraziła tej obawy, wiedział, że pragnęła tylko sobie zawdzięczać sukces powieściopisarki, i wejść w to małżeństwo jako równie twórczy – nawet jeśli nie tak zamożny – partner.

Ryan był cierpliwy. I uparty.

Zakończywszy rozmowy telefoniczne, zjechał przez most z autostrady Pacific Coast na Balboa Peninsula, oddzielający zatokę od morza. Mknąc w kierunku końca półwyspu, słuchał klasycznego doo-wopa, muzyki młodszej wprawdzie niż woodie wagon, ale i tak starszej od niego samego o ćwierć wieku.

Zaparkował na porośniętej drzewami ulicy z uroczymi domkami i przeszedł z deską pół przecznicy, żeby dotrzeć na główną plażę Newport.

Morze huczało rytmicznie, uderzając falami o brzeg.

Czekała „na miejscu”, czyli tam gdzie pierwszy raz surfowali razem, w połowie drogi między wejściem do zatoki a przystanią. Jej mieszkanie nad garażem znajdowało się trzy minuty drogi stąd. Przyszła z deską, ręcznikiem plażowym i małą lodówką turystyczną.

Chociaż prosił, żeby Samantha włożyła czerwone bikini, wybrała żółte. Miał nadzieję, że tak zrobi, ale gdyby o to poprosił, na przekór włożyłaby czerwone, niebieskie albo zielone.

Była idealna jak miraż: blond włosy, złota sylwetka, odbłask światła, kusząca oaza na szerokiej połaci palonej słońcem pustyni.

– Co to za sandały? – zapytała.

– Stylowe, co?

– Nie są zrobione ze starych opon?

– Uhm. Ale to pierwszorzędny sprzęt.

– Sprawileś też sobie kapelusz z dekla?

– Nie podobają ci się?

– Jeśli złapiesz gumę, to czy klub automobilowy dostarczy ci nową podeszwę?

– Mnie się podobają – rzekł, kopnięciem zrzucając sandały.

– Ile razy trzeba je wyważać i ustawiać zbieżność?

Piasek, miękki i ciepły, usuwał się spod stóp, ale w miejscu, gdzie wyrównywała go fala, był zwarty i chłodny.

– Wywalę te sandały, jeśli następnym razem włożysz czer-

wone bikini – powiedział Ryan, gdy weszli do morza.

– Przecież tak naprawdę chciałeś zobaczyć mnie w żółtym. Zaskoczyła go jej przenikliwość, ale starał się nie okazać zdziwienia.

– To dlaczego prosiłbym o czerwone?

– Bo wydaje ci się, że mnie znasz.

– Ale za to ja jestem jak otwarta księga, co?

– Winky, w porównaniu z tobą najzwyczajniejsza opowiadanka doktora Seussa jest głęboka i trudna jak Dostojewski.

Rzucili deski na wodę, położyli się na nich na brzuchach i wiosłując rękami, zaczęli płynąć w stronę otwartego morza.

– Czy to z tym doktorem Seussem miało być obraźliwe? – spytał, przekrzykując plusk fal.

Jej srebrzysty śmiech przypominał Ryanowi opowieści o syrenach i tajemnicze historie o głębinach morskich.

– Nie obraźliwe, kotku. To był piętnastowyrazowy pocałunek.

Ryan nie wysiłał się, żeby przypomnieć sobie i policzyć jej słowa od „Winky” do „Dostojewski”. Samantha zwracała uwagę na wszystko, niczego nie zapomniała i potrafiła odtworzyć z pamięci całe rozmowy sprzed kilku miesięcy.

Czasami wydawała mu się równie przerażająca jak atrakcyjna, co chyba stanowiło zaletę. Samantha była nieprzewidywalna i nigdy się z nią nie nudził.

Nadpływające w regularnych odstępach fale pojawiały się jak wagony towarowe, cztery albo pięć naraz. Pomiędzy tymi setami panował względny spokój.

Gdy morze uspokoiło się na chwilę, Ryan i Samantha ustawili się na line-upie. Potem usiedli okrakiem na deskach i patrzyli, jak zbliża się nowy set fal.

Z bliska morze nie było już takie spokojne i niebieskie, jakie wydawało się z domu na wzgórzu, ale ciemne jak nefryt i prowokujące. Wznosząca się fala mogłaby być grzbietem jakiegoś pokrytego łuskami potwora, większego od tysięcy rekinów, zrodzonego w głębinach, który wynurzał się z wody, żeby znaleźć pożywienie w jasnym świetle.

Sam spojrzała na Ryana i uśmiechnęła się. Słońce świeciło jej w oczy i wydobywało z nich błękit nieba i zieleń morza, które cudownie harmonizowały z milionami ton wody pchanymi ku brzegom przez burze odległe o trzy tysiące mil i przez Księżyc wznoszący się na pogrążonej w mroku ziemskiej półkuli.

Sam załapała się na drugą falę: najpierw uniosła się na obu kolanach, potem na jednym i wreszcie wstała, sunąc szybko i sprawnie, coraz dalej i dalej. Jechała na grzbiecie, po czym wykonała floater na załamującej się fali.

Gdy zniknęła z pola widzenia, Ryan pomyślał, że grzywacz – większy niż poprzednie sety fal – był na tyle potężny, aby przelać się nad nią i zamknąć ją w tunelu. Ale Sam wydobędzie się z niego

gładko jako ropa naftowa tryskająca z rury.
Ryan spojrzął za siebie, na morze, odliczając czas do następnej fali, gotów stanąć na desce.
Ale coś stało się z jego sercem. Puls już i tak szybki w oczekiwaniu na przejażdżkę, nagle przyspieszył i serce zaczęło walić z taką siłą jak w chwili prawdziwego przerażenia, a nie przed podniecającą rozrywką.
Czuł pulsowanie w kostkach, nadgarstkach, szyi i skroniach. Fala krwi napływająca do jego tętnic była jak crescendo w harmonii z morzem, które wznosiło się ku niemu, pod nim.
Szum wody stał się uporczywy, złowrogi.
Rezygnując z próby powstania i jazdy na fali, Ryan uchwycił się kurczowo deski i zobaczył, że dzień ciemnieje, szczególnie na obrzeżach pola widzenia. Niebo na horyzoncie było jeszcze jasne, ale zaczęło szarzeć.
Nad nefrytowym morzem rozciągnęły się atramentowe chmury, jakby Pacyfik w świetle poranka miał zaraz stać się czarny niczym podczas bezksiężycowej nocy.
Ryan oddychał szybko i płytko. Odniosł wrażenie, że zmienia się sama atmosfera, jakby zniknęła z niej połowa tlenu, co wyjaśniałoby szarość nieba.
Nigdy dotąd nie bał się morza. Teraz zaczął.
Woda uniosła się jakby specjalnie ze złośliwą intencją. Przywarłszy do deski, Ryan zsunął się w otchłań między falami.
Irracjonalnie przestraszył się, że ta dolina zamieni się w lej, a lej w wir. Bał się, że zostanie wciągnięty w głębinę.
Deska kołysała się gwałtownie, podskakiwała i Ryan niemal się z niej stoczył. Opuściły go siły. Ręce zaczęły mu słabnąć, trzęsły się jak u staruszka.
Coś zjeżyło się w wodzie i przeraziło go.
Kiedy uświadomił sobie, że te sterczące kształty to nie płetwy rekina ani wyciągające się macki, tylko splątana masa glonów, wcale nie odczuł ulgi. Gdyby pojawił się teraz rekin, Ryan byłby zdany na jego łaskę, niezdolny ani umknąć, ani stawić oporu.

2

Atak przyszedł nagle, ale i nagle się skończył. Rozszalałe serca Ryana się uspokoiło. Niebo odzyskało błękitną barwę. Rozprze-strzeniająca się w wodzie ciemność ustąpiła. Wróciły mu siły. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwało to zdarzenie, dopóki nie zobaczył, że Samantha dopłynęła na fali do brzegu, i w chwili względnego spokoju między setem fal wraca do niego.
Gdy się zbliżyła, niepokój, który zachmurzył jej czoło, znalazł także odbicie w głosie:
– Ryan?
– Delektowałem się chwilą – skłamał, wciąż leżąc na brzuchu.

– Załapię się na następny set.

– Od kiedy to jesteś kaczką krzyżówką? – zapytała, mając na myśli to, że unosił się na wodzie jak kaczką, jak jeden z tych pozbawionych ikry szpanerów, którzy przez cały dzień moczą tyłki na swellach – martwych falach – przed punktem załamania i nazywają to surfowaniem.

– Ostatnie dwie fale w tym secie były większe, miałem przecucie, że następny rzut będzie dwa razy wyższy i że warto na niego zaczekać.

Sam usiadła okrakiem na desce i spojrzała na morze, czekając na nowy set fal.

Jeśli Ryan się nie mylił, wyczuła, że wciskał jej kit, i zastanawiała się z jakiego powodu.

Ponieważ serce biło mu już równomiernie i odzyskał siły, przestał ścisnąć deskę, usiadł na niej i przygotował się.

Czekając na kolejny set fal, powiedział sobie, że nie była to żadna fizyczna zapaść, tylko zwykły napad lęku. Jeśli chodzi o samooszukiwanie, był tak samo dobry jak wszyscy inni.

Ale przecież naprawdę nie było powodu do niepokoju. Miał wspaniałe życie – słodkie, pokrojone na plasterki i gotowe do konsumpcji.

Skupiona na obserwacji morza Samantha rzuciła:

– Winky.

– Widzę ją.

Morze wypiętrzyło się ku porannemu słońcu, ciemnonefrytowe i srebrzyste, wielkie ramię wznoszące się i dążące gładko do załamania.

Ryan poczuł zapach morza i jodu wydzielanego przez poroźdżierane wodorosty oraz smak soli.

– Ale wielka! – zawołała Sam, obserwując falę.

– Potwór – zgodził się z nią.

Zamiast unieść się w sposób kontrolowany, zostawiła tę falę dla niego, siedząc na desce z nogami w wodzie – łakomy kąsek dla rekinów.

Stado mew przeleciało po niebie w stronę lądu, krzycząc, jakby ostrzegało tych na brzegu, że zaraz z morza wyłoni się olbrzym, który rozwali zamki z piasku i zdepcze kosze piknikowe.

W miarę zbliżania się fali Ryan poczuł narastający niepokój, lęk, że podniecenie wywołane przejażdżką wywoła kolejny... epizod.

Podpłynął, żeby załapać się na falę, stanął w punkcie obrotowym, wyciągając ręce dla równowagi, z rozstawionymi palcami, wnętrzem dłoni w dół, i wzniosł się na fali przyboju, na idealnym grzywaczu, który sunął, tworząc pod nim powierzchnię gładką jak lód. Mknąca fala wypierała powietrze i wnoszony przez wysklepioną ścianę chłodny powiew napierał na jego rozpostarte dłonie. Potem znalazł się w tunelu wodnym, w szklanym domu, za

kurtyną załamującej się fali, i cały jego lęk pękł jak bańka mydlana, ulotnił się.

Wykorzystując wszystkie sztuczki, żeby odzyskać rozpęd, wylonił się spod ściany wody, zanim opadła, i znalazł w blasku słońca, na spienionej powierzchni morza. Dzień był taki rzeczywisty, taki piękny. Powiedział sobie w duchu, że nie ma się czego bać, bo to jedyny sposób na życie.

•••

Przez cały ranek, aż do popołudnia, fale przypominały monolity. Wzmogła się bryza od lądu, tak że z ich paszcz ział płynny dym. Koc plażowy nie służył do opalania. Na nim prowadzono rehabilitację, masowano drżące ze zmęczenia mięśnie, osuszano zatoki zalane morską wodą, wyczesywano z włosów kawałków krasnorostów i soli, przygotowywano się wzajemnie do następnej sesji. Normalnie Ryan chciałby zostać do późnego popołudnia, kiedy ustawała bryza od lądu i fale przestawały się załamywać, kiedy tęsknota za wiecznością – reprezentowaną przez ocean – zamieniała się w tęsknotę za burrito i taco.

Jednak około wpół do trzeciej, już na kocu, ogarnęło go przyjemne zmęczenie, tak jak po dobrze wykonanej pracy. W tym znużeniu było coś wspaniałego, co sprawiło, że miał ochotę zamknąć oczy i zdrzemnąć się na słońcu...

Gdy unosił się bez wysiłku w otchłani rozświetlonej chmurami luminescencyjnego planktonu, gdzieś z dala dobiegł go głos:

– Ryan?

– Hmm?

– Zasnąłeś?

Miał wrażenie, że wciąż śpi, gdy otworzył oczy i zobaczył nad sobą jej twarz; piękność, która wydawała się wręcz mityczna, promienne oczy w takim samym odcieniu jak zielone morze spatynowane błękitem letniego nieba, złote włosy w koronie z promieni słonecznych – prawdziwa bogini z Olimpu na urlopie.

– Zasnąłeś – stwierdziła Samantha.

– Przedawkowałem z surfingiem. Jestem wykończony.

– Ty? Czy ty kiedykolwiek byłeś wykończony?

Siadając na kocu, odparł:

– To musiał być ten pierwszy raz.

– Naprawdę chcesz już się zbierać?

– Nie jadłem śniadania. A pora lunchu zeszła nam na surfowaniu.

– W lodówce są batony czekoladowo-wiśniowe z müsli.

– Do życia przywróci mnie tylko porządny stek.

Zanieśli lodówkę, koc i deski do wozu i złożyli wszystko w bagażniku.

Wciąż otumaniony słońcem i osłabiony długim przebywaniem w wodzie Ryan omal nie poprosił Samantha, żeby poprowadziła. Sam jednak kilkakrotnie spojrzała na niego badawczo, jakby

czuła, że jego krótka drzemka na plaży miała związek ze zdarzeniem na początku dnia, kiedy z powodu rozsadzającego serce bólu unosił się jak kaczką na wodzie. Nie chciał jej martwić. Poza tym nie było powodu.

Tamto wcześniej to był napad lęku. Prawdopodobnie miewała je w tych czasach większość ludzi, biorąc pod uwagę fakty i pesymistyczne przewidywania, które stanowiły trzon wieczornych wiadomości.

Zamiast więc oddać kluczyki Samancie, Ryan sam poprowadził przez te dwie przecznice do jej mieszkania.

•••

Samantha pierwsza poszła pod prysznic, podczas gdy Ryan przygotował dzbanek świeżej mrożonej herbaty, do której i wrzucił dwie pokrojone w plasterki cytryny.

W jej przytulnej kuchni znajdowało się duże pojedyncze okno, za którym rosło wielkie drzewo pieprzowe. Wydawało się, że jego zgrabne gałęzie o podobnych do paproci zwieszających się liściach pierzastozłożonych wypełniają cały świat, stwarzając wrażenie, że mieszkanie to domek na drzewie.

Przyjemne zmęczenie, które dopadło Ryana na plaży, teraz zupełnie go opuściło i poczuł przypływ energii.

Pomyślał, czyby nie pójść z Samanthą do łóżka. Początkowa ochota zamieniła się w silne pełnokrwiste pożądanie.

Wróciła do kuchni w turbanie z ręcznika, w luźnych turkusowych spodniach, świeżej białej bluzce i białych tenisówkach.

Gdyby była w nastroju, przyszłaby bosą, narzuciwszy na siebie tylko jedwabny szlafrok.

Kiedyś, przez kilka tygodni, jej libido dorównywało jego i często miała ochotę na seks. Zauważył, że pożądanie wzmagало się w niej w tych okresach, gdy była najbardziej pochłonięta pisaniem i najmniej skłonna przyjąć jego propozycję małżeństwa.

Nagły przypływ powściągliwości seksualnej był u niej natomiast oznaką, że zastanawia się nad przyjęciem pierścienia zaręczynowego, jakby mając w perspektywie związek małżeński, należało traktować seks jako coś poważnego, może zbyt świętego, aby się nim bawić.

Ryan z radością przyjmował każdy zwrot ku abstynencji, który mógł sugerować, że Samantha jest bliska podjęcia tej ważnej decyzji. Jako dwudziestoośmiolatka była sześć lat młodsza od niego i mieli przed sobą całe życie na uprawianie seksu.

Nalał jej do szklanki mrożonej herbaty i poszedł wziąć prysznic. Zaczął od wody równie zimnej jak herbata.

•••

W zachodzącym słońcu poziomkowe drzewa rzucały długie liściaste cienie na kamienne płyty restauracyjnego patio.

Ryan i Samantha jedli wspólnie sałatkę caprese i pili pierwszy tego wieczoru kieliszek wina, nie spiesząc się z zamawianiem dania

głównego.

Gładki, zniszczony pień drzewa był czerwony, zwłaszcza w intensywnym świetle chylącego się ku zachodowi słońca.

– Teresa uwielbiała te kwiaty – zauważyła Sam, mówiąc o swojej siostrze.

– Jakie kwiaty?

– Tego drzewa. Późną wiosną pojawiają się na nich kiście kwiatów w kształcie kielichów.

– Białe i różowe – przypomniał sobie Ryan.

– Teresa mówiła, że wyglądają jak kaskady dzwoneczków, dzwoneczków wietrznych zawieszanych przez duszki.

Przed sześcioma laty Teresa doznała poważnego urazu w wypadku samochodowym. W końcu umarła.

Samantha rzadko wspominała siostrę. Kiedy o niej mówiła, popadała w zamyślenie, zanim powiedziała coś więcej, mumifikując swoje wspomnienia w długich chwilach milczenia.

Teraz, gdy patrzyła na rosnące nad nimi drzewo, wyraz jej oczu przypominał ten, który pojawiał się, gdy siedząc okrakiem na desce, wypatrywała w morzu pierwszych oznak nadchodzących fal.

Ryan czuł się swobodnie, kiedy Sam pogrążała się w milczeniu, które, jak podejrzewał, zawsze związane było z myślami o siostrze, nawet gdy o niej nie wspominała.

Były bliźniaczkami jednojajowymi.

Żeby lepiej zrozumieć Samanthę, Ryan czytał o bliźniakach, które zostały rozdzielone na skutek tragedii. Najwyraźniej cierpienie tego z nich, które pozostało przy życiu, łączyło się często z nieuzasadnionym poczuciem winy.

Niektórzy uważali, że silnej więzi między bliźniętami, a szczególnie między siostrami, nie mogła przerwać nawet śmierć.

Kilku naukowców twierdziło, że czują one obecność siostry na podobnej zasadzie, jak ludzie z amputowanymi nogami czy rękami często odczuwają bóle fantomowe.

Gdy Samantha popadała w zamyślenie, Ryan miał okazję, żeby przyjrzeć się jej z pełną podziwu otwartością, na którą nie mógłby sobie pozwolić, gdyby była świadoma jego spojrzenia.

Patrzył na nią i zachwyt go wręcz obezwładniał, nie mógł unieść kieliszka, a w każdym razie zupełnie o nim zapominał, wodząc wzrokiem po zarysie jej twarzy, wdzięcznej linii szyi.

Jego życie było pogonią za doskonałością, której światu najwyraźniej brakowało.

Czasami wyobrażał sobie, że zbliża się do niej, pisząc linijki programu. Wspaniałe cyfrowe twórczości było jednak równie zimne jak równanie matematyczne. Najbardziej wyrafinowana struktura software'owa była tylko kwestią precyzji, a nie doskonałości, dlatego też nie mogła wywołać silnej reakcji emocjonalnej.

W Samancie Reach znalazł piękno tak bliskie ideału, iż sądził, że jego poszukiwania są zakończone.

Patrząc na drzewo, ale skupiona na czymś znacznie odleglejszym niż geometria jego czerwonych konarów, Sam powiedziała:

– Po wypadku przez miesiąc była w śpiączce. Kiedy z niej wyszła... zmieniła się.

Ryan milczał, będąc pod wrażeniem gładkości jej szyi. Po raz pierwszy usłyszał, że Teresa była w śpiączce. Jednak widząc blask bijący z twarzy Sam, oświetlonej wieczornym słońcem, nie mógł wykrztusić słowa.

– Musieli ją karmić przez rurkę wprowadzoną do żołądka.

Cienie liści, które padały na twarz Samanty, splatały się na jej złotych włosach i czole, tworząc jakby wieniec od natury.

– Lekarze orzekli, że jest w permanentnym stanie wegetatywnym.

Opuściła błędzący wśród gałęzi wzrok i przeniosła go na blat w miejscu, gdzie promień słońca przechodzący przez kieliszek rzucał odbłask w kształcie krzyża.

– Nigdy nie wierzyłam w lekarzy – rzekła. – Teresa była sobą w swoim ciele, uwięzioną w nim, ale sobą. Nie chciałam, żeby odłączyli tę rurkę.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, musiał więc się włączyć.

– Ale ją odłączyli? – zapytał.

– I zagłodzili na śmierć. Mówili, że nic nie będzie czuła. Podobno z powodu urazu mózgu nie mogła cierpieć.

– Ale ty sądzisz, że cierpiała.

– Wiem, że tak było. W ostatnich dniach, ostatniej nocy, siedziałam przy niej, trzymałam ją za rękę i czułam, że na mnie patrzy, chociaż nie otworzyła oczu.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Samantha podniosła kieliszek wina i krzyż światła zamienił się w strzałę, która zadrżała przez moment jak igła kompasu, szukając północy w oczach Ryana.

– Wybaczyłam matce mnóstwo rzeczy, ale nigdy jej nie wybaczę tego, co zrobiła Teresie.

Gdy Samantha pociągnęła łyk wina, Ryan zagadnął:

– Ale myślałem... że wasza matka brała udział w tym wypadku.

– Owszem.

– Wydawało mi się, że też nie żyje. Rebecca. Tak miała na imię?

– Bo nie żyje. Dla mnie umarła. Rebecca jest pochowana w mieszkaniu w Las Vegas. Chodzi, mówi, oddycha, ale dla mnie nie żyje.

Ojciec opuścił je, zanim bliźniaczki skończyły dwa lata.

Samantha nawet go nie pamiętała.

Ryan uważał, że Sam powinna trzymać się tej nielicznej rodziny, jaka jej pozostała, i niemal zaczął ją namawiać, żeby dała matce szansę odkupienia wina. Ale milczał na ten temat, bo

współczuł Samancie i ją rozumiał.

Jego i jej dziadkowie – wszyscy już nieżyjący – byli z pokolenia, które pokonało Hitlera i wygrało zimną wojnę. Ich odwaga i prawość przeszła na następne pokolenie już w rozcieńczonej formie – jeśli w ogóle.

Rodzice Ryana, podobnie jak Sam, należeli do pokolenia powojennego, które odrzuciło obowiązki wynikające z tradycji, natomiast kurczowo trzymało się swoich praw. Czasami wydawało mu się, że jego matka i ojciec są dziećmi, a on ich rodzicem. Niezależnie od skutków swojego postępowania i podjętych decyzji nie szukali rozgrzeszenia. Szansa uzyskania go byłaby dla nich tylko obrazą. Matka Samantha prawdopodobnie miała podobne nastawienie.

Samantha odstawiła kieliszek, ale tym razem słońce z nim nie igrało.

Po chwili wahania, nalewając sobie i jej wina, Ryan powiedział:

– Zabawne, że coś tak ładnego jak kwiaty drzewa poziomkowego może przywołać przykre wspomnienia.

– Przepraszam.

– Nie ma za co.

– Taki miły dzień. Nie chciałam go zepsuć. Też jesteś tak wściekle głodny jak ja?

– Zjadłbym konia z kopytami.

Ale zamówili tylko filet mignon, nic, co miałyby kopyta.

Gdy schodzące coraz niżej słońce podpaliło niebo na zachodzie, na poziomkowych drzewach włączyły się sznury miniaturowych białych światełek. Na wszystkich stolikach w bursztynowych pucharach z fazowanego szkła stały świece i pomocnicy kelnera je zapalili.

Zwykle patio stało się zaczarowanym miejscem, a Samantha stanowiła największą jego ozdobę.

Gdy kelner podał steki, Sam była już w pogodniejszym nastroju i Ryan dostosował się do niej.

Po pierwszym kęsie wołowiny wzięła kieliszek, żeby wnieść toast.

– Hej, Kropka Com, twoje zdrowie.

Kropka Com było kolejną ksywką, jaką dla niego wymyśliła – używała jej, gdy chciała zażartować sobie z jego publicznego wizerunku jako genialnego biznesmena i specja od informatyki.

– Dlaczego akurat moje? – zapytał.

– Dziś w końcu zstąpiłeś z panteonu i ujawniłeś, że w najlepszym razie jesteś tylko półbogiem.

– Nic takiego nie zrobiłem – odparł, udając oburzenie. – Wciąż obracam tym kołem, za którego sprawą rano wschodzi słońce, a wieczorem księżyc.

– Zwykle ujeżdżałeś fale, aż ci uległy i zrobiły się potulne.

Dziś padłeś na koc już o wpół do trzeciej.

– Nie przyszło ci do głowy, że to może zwykłe znudzenie, że fale nie są już dla mnie wystarczającym wyzwaniem?
– Wzięłam to pod uwagę przez dwie sekundy, ale chrapałeś, jakbyś miał dość wyzwań na dziś.
– Wcale nie spałem. Medytowałem.
– Tak jak Rip Van Winkle.
Zapewniwszy kelnera, że steki są doskonałe, Samantha dodała:
– Ale poważnie, dobrze się dzisiaj czułeś?
– Mam trzydzieści cztery lata, Sam. Chyba nie zawsze będę ujarzmił fale jak nastolatek.
– Ja tylko... wtedy zrobiłeś się popielaty.
Uniósł rękę do włosów.
– Popielaty? Gdzie?
– Na swojej przystojnej twarzy.
Wyszczrzył zęby w uśmiechu.
– Dobrze mi było w tym kolorze?
– Nie możesz spędzać trzydziestu sześciu godzin przy klawiaturze, a potem jechać nad ocean i poskramiać go jak Big Kahuna.
– Jeszcze nie umieram, Sam. Tylko starzeję się z klasą.

•••

Obudził się w całkowitych ciemnościach, czując pod sobą kołysanie morza. Zdezorientowany pomyślał przez chwilę, że leży twarzą w dół na desce surfingowej, za falą przyboju, pod niebem, na którym zgasły wszystkie gwiazdy.
Przeraziło go ciężkie, gwałtowane łomotanie serca.
W pewnej chwili dotarło wreszcie do niego, że ta twarda powierzchnia to łóżko, a nie deska. Kołysanie było nierzeczywiste, stanowiło tylko złudzenie, wytwór umysłu.
– Sam – powiedział, ale potem przypomniał sobie, że nie ma jej przy nim, że wrócił do domu i jest sam w sypialni.
Próbował sięgnąć do lampki na szafce nocnej... ale nie mógł unieść ręki.
Kiedy chciał usiąść, poczuł rozprzestrzeniający się w piersi ból.

3

Ryan miał wrażenie, jakby na piersi leżały mu betonowe bloki. Ból, chociaż łagodny, przestraszył go. Serce biło mu tak szybko, że trudno by było policzyć uderzenia.
Powiedział sobie, że powinien zachować spokój, odczekać, aż ten atak minie, tak jak wtedy, gdy pływał na desce.
Różnicę pomiędzy tamtym zdarzeniem a obecnym stanowił ból. Pospieszne bicie serca, słabość i zawroty głowy były równie niepokojące, ale dodatkowy czynnik – ból – pozbawił go złudzenia, że to zwykły napad lęku.
Jako dziecko nie bał się ciemności. Teraz wydawało mu się, że

to sam mrok przygniata mu pierś. Czarna nieskończoność wszechświata, gęsta atmosfera wczesnych godzin nocy, oślepiająca ciemność sypialni następowały po sobie i napierały na niego, bezlitośnie wgniatając mu żebra, aż w końcu serce się zbuntowało, jakby chciało wyskoczyć z niego ku wieczności.

Poczuł desperacką potrzebę ujrzenia światła.

Spróbował usiąść, ale nie mógł. Wciąż przygniatał go ten ciężar.

Zauważył, że może unieść się na piętach i łokciach i powoli podciągnąć się do tyłu, ubijając trzy poduszki z pierza w rodzaj pochylni, która pozwoliła mu dźwignąć głowę i ramiona. Uderzył przy tym potylicą w ramę łóżka.

Ciężar na piersi zmuszał go do płytkich oddechów. Za każdym razem, gdy wciągał powietrze, wydawał jednocześnie dźwięk cichszy od jęku, który brzmiał w ciemnym pokoju jak zgrzyt gwoźdźnia o tablicę szkolną.

Gdy udało mu się przyjąć pozycję półleżącą, odzyskał trochę sił.

Mógł unieść ręce.

Zanim znalazł włącznik światła, ból w jego piersi się nasilił i szybko objął też szyję, jakby był atramentem, a ciało Ryana bibułą. Ryan miał wrażenie, że ten ból to coś, co właśnie połknął albo zwraca w poprzedniej postaci. Blokował mu drogi oddechowe, uniemożliwiając oddychanie i przekształcając okrzyk przerażenia w syk.

Spadł z łóżka. Nie wiedział, jak to się stało. Łóżko nagle stało się podłogą, nie był świadomy upadku, tylko zarejestrował, że dywan zastąpił materac.

Nie był sam w domu, ale równie dobrze mógłby być. O tej porze Lee i Kay Tingowie, małżeństwo, które zarządzało posiadłością, spało w swojej kwaterze, na najniższym z trzech poziomów, w skrzydle najbardziej oddalonym od sypialni pana domu na drugim piętrze.

Tak jak nieświadomie spadł z łóżka, tak teraz zorientował się, że wlecze się po podłodze wsparty na przedramionach, z nogami trzęsącymi się jak odnóża na wpół zdeptanego żuka.

Ból gwałtownie się nasilił i zaczął obejmować już także szczękę. Ryan miał wrażenie, że ktoś wbija mu gwóźdź, którego czubek wniknął między zęby i zagłębia się dalej w żuchwę.

Nagle przypomniał sobie, że częścią systemu telefonicznego jest interkom. Mógł wezwać Lee i Kay, naciskając 1-1-1. Będą tu za minutę, najdalej dwie.

Nie wiedział jednak, gdzie znajduje się łóżko, szafka nocna, telefon. Stracił orientację.

Sypialnia była duża, ale nie ogromna. Powinien w ciemnościach odnaleźć kierunek.

Jednak ból stawał się coraz silniejszy, Ryan miał zawroty głowy, słabł coraz bardziej, a myśli sparaliżował mu strach, aż zupełnie stracił rozeznanie. Chociaż łóżko, z którego spadł, wznosiło się

zaledwie dwie stopy nad podłogą, wydawało mu się, że został zrzucony z olbrzymiej wysokości, że cała łaska, jakiej mógł się spodziewać, i cała nadzieja rozsypały się w proch przy tym upadku. W oczach poczuł piekące łzy, gardło palił mu refluks kwasów żołądkowych, ogień w szczęce przenikał do kości i obejmował twarz.

Ciemność zaczęła wirować. Nie mógł czołgać się dalej, uchwycił tylko dywan, jakby siła grawitacji miała nagle zniknąć, a on, pozbawiony ciężaru, polecieć w przestrzeń.

Serce waliło mu tak szybko, że nie zdołał zliczyć jego uderzeń, co najmniej dwieście razy na minutę.

Ból rozprzestrzenił się z szyi na lewe ramię, promieniując na plecy.

Książę Internetu, bogatszy od większości królów, leżał teraz rozplaszczony twarzą do ziemi jak zwykły śmiertelnik w obecności członka rodziny królewskiej, zdany na łaskę własnego ciała – zwykła garstka gliny.

Falował pod nim ocean i Ryan nie miał czego się przytrzymać, ani deski surfingowej, ani płetwy grzbietowej rekina. Morze było bezkresne, a on znaczył równie mało jak grzywacz na pojedynczej fali. Masa wody się wzniosła, a on ześlizgnął się po niej w dolinę, dolina stała się otchłanią, a otchłań wirem, który go pochłoniął.

4

Budzik w telewizorze nastawiony został na siódmą rano.

Dźwięk był lekko przyciszony i Ryan budził się powoli, słysząc głosy i dramatyczną muzykę do filmu.

Blask ekranu nie całkiem rozpraszał ciemność. Gdy wraz ze zmianą scenerii i ruchem postaci zmieniało się natężenie światła, w sypialni pulsowały i migały widma.

Ryan leżał na podłodze, w pozycji embrionalnej, zwrócony twarzą do ekranu. William Holden, wiele lat po roli w *Bulwarze Zachodzącego Słońca*, prowadził poważną rozmowę z ładną młodą kobietą.

W ciągu trzydziestu czterech lat Ryan miał kaca tylko dwa razy, ale wydawało mu się, że teraz jest ten trzeci. Ból głowy, światłowstręt, zamglony obraz. Suchość i cierpki smak w ustach.

Początkowo nie mógł sobie przypomnieć, co działo się poprzedniego wieczoru ani co mu odbiło, żeby spać na podłodze. O dziwo, te tajemnicze okoliczności intrygowały go mniej niż to, co rozgrywało się na ekranie telewizora: starszy mężczyzna, młodsza kobieta, pełna niepokoju rozmowa o wojnie...

Jego zwykle bystry umysł był przytępiony, myśli przypominały bezkształtny strumień rtęci. Nawet gdy obraz przed oczami się przejaśnił, Ryan nie potrafił śledzić wątku ani połączyć się w relacjach między bohaterami.

Mimo to czuł, że musi patrzeć w ekran, prześladowało go wrażenie, że nie przypadkiem obudził się na ten film, że jest to zrządzenie losu. Że kryje się w tym zaszyfrowane ostrzeżenie na przyszłość, które musi zrozumieć, jeśli chce się uratować. To niezwykle przeświadczenie narastało w nim, aż musiał unieść się na kolana, a potem wstać. Zbliżył się do dużego odbiornika.

Gdy najmniejsze włoski zjeżyły mu się na karku, serce przyspieszyło bicie. Wtedy przypomniał sobie wściekłe łomotanie w piersi, które obudziło go w nocy, i nagle z całą wyrazistością powróciły do niego wszystkie szczegóły tego przerażającego ataku. Odwrócił się od telewizora i włączył lampę. Spojrzał na swoje drżące dłonie, zacisnął je w pięści, rozwarł ponownie, niemal przygotowany na to, że okażą się dotknięte przynajmniej częściowym paralizem, ale nic na to nie wskazywało.

W łazience niezliczone lustra odbijały czarny granit, złoty onyks i nierdzewną stal. Ze wszystkich stron spoglądały na niego zwielokrotnione twarze Ryana Perry'ego, każda popielata, nagle wyędniała i chora ze strachu.

Jak nigdy wcześniej czuł czaszkę pod skórą, każdą linię, powierzchnię i wgłębienie kości, a za każdym skrzywieniem twarzy kryła się uśmiechnięta trupia główka.

•••

Ogolony, umyty i ubrany Ryan znalazł w garażu swojego zarządcę Lee Tinga.

To duże podziemne pomieszczenie liczyło osiemnaście miejsc parkingowych. Sufit wznosił się na wysokość dziesięciu stóp, żeby mogły się tu zmieścić także samochody dostawcze i wóz kempingowy – gdyby Ryan kiedyś go zapragnął.

Podłoga wyłożona była złotymi płytami ceramicznymi, jakie układa się w salonach samochodowych. Ściany pokrywała błyszcząca biała glazura. Wypolerowane karoserie woody'ego i innych klasycznych wozów lśniły w świetle punktowych reflektorów.

Ryan do tej pory uważał, że garaż jest piękny, a nawet elegancki. Teraz zimne płytki skojarzyły mu się z grobowcem.

W warsztacie usytuowanym w kącie Lee Ting polerował zderzak i tablicę rejestracyjną jednego z samochodów.

Był to niski, ale silny mężczyzna. Wyglądał jak odlany z brązu, ale jeszcze niepokryty patyną, a na rękach miał wystające obrzmiałe żyły.

W wieku pięćdziesięciu lat jego życie determinowały niespełnione pragnienie ojcostwa i zawiedzione nadzieje na posiadanie większej rodziny. Kay zachodziła w ciążę dwukrotnie, ale po późniejszej infekcji dróg rodnych stała się bezpłodna.

Ich pierwsze dziecko, córka, zmarło w wieku dwóch lat na grypę. Drugie, syn, też nie przeżyło.

Widok niektórych małych dzieci wywoływał u niego i żony

tkliwe uśmiechy, choć oczy obojgu zaczynały lśnić od łez na wspomnienie tego, co utracili.

Kiedy elektryczna polerka się wyłączyła, Ryan zapytał:

– Lee, masz dziś rano spotkanie z pracownikami czy umówiłeś się z kimś?

Lee, zdziwiony, odwrócił się do niego. Twarz mu pojaśniała, uniósł brodę i przybrał radosną, pełną oczekiwania minę, jakby nic nie cieszyło go bardziej niż możliwość usłużenia swojemu pracodawcy.

Ryan przypuszczał, że tak jest naprawdę. Lee ominęło to całe zaangażowanie i szczególna satysfakcja z wychowywania dzieci, których z Kay nie mieli, jego energia znajdowała ujście w pracy.

Odsuwając się od zderzaka, Lee odparł:

– Dzień dobry, panie Perry. Nie zaplanowałem niczego, w czym Kay nie mogłaby mnie zastąpić. Czego pan sobie życzy?

– Chciałabym, żebyś zawiózł mnie do lekarza.

Uśmiech na twarz Lee zastąpiła troska.

– Co panu dolega?

– Nic specjalnego. Czuję się zmęczony, trochę mi niedobrze.

Wolałbym nie siadać za kierownicą.

Większość ludzi o statusie majątkowym Ryana zatrudniała szofera. On jednak zbyt kochał samochody, żeby zrezygnować z ich prowadzenia.

Lee zorientował się od razu, że prośba szefa wskazywała na coś znacznie poważniejszego niż zwykle nudności. Natychmiast wyjął kluczyki z szafki i podszedł z Ryanem do mercedesa S600.

Wyczuwalna w zachowaniu zarządcy troska i niepokój w jego oczach świadczyły, że Ryan jest dla niego kimś więcej niż tylko pracodawcą. Lee miał tyle lat, że mógłby być jego ojcem.

Dwunastocylindrowy mercedes płynie w powietrzu, i prawie nie docierał do nich hałas panujący na drodze, ale chociaż jazda nim to istne marzenie, Ryan wiedział, że wiezie go ku koszmarowi.

5

Internista Ryana prowadził prywatną praktykę obejmującą tylko trzystu pacjentów. Gwarantował wizytę w ciągu jednego dnia od zgłoszenia, ale przyjął Ryana już trzy godziny po odebraniu jego telefonu.

Z gabinetu na czternastym piętrze Ryan widział zatokę Newport, Pacyfik i odległe statki płynące do nieznanych portów. Jego lekarz, Forest Stafford, już go zbadał, a technik medyczny wykonał elektrokardiogram. Potem Ryan zjechał na trzecie piętro, gdzie mieściła się klinika obrazowania medycznego, a tam przeprowadzono mu echokardiografię.

Teraz przy oknie na czternastym piętrze czekał na doktora Stafforda, który miał wrócić z opisem badań.

Armada wielkich białych chmur płynęła powoli na północ, ale cienie, jakie rzucały na morze, miały kolor żelaza i przytłaczały fale.

Drzwi za Ryanem się otworzyły. Czując się pozbawiony ciężaru jak chmura i nieracjonalnie przejęty lękiem, że w tym padającym pod kątem światło nie rzuci żadnego cienia, odwrócił się od okna. Potężna kwadratowa sylwetka Foresta Stafforda kontrastowała z jego trójkątną twarzą o pociągłych rysach, jakby podlegających jakiejś szczególnej sile przyciągania, która nie oddziaływała na resztę ciała. Ponieważ był wrażliwym człowiekiem, tą deformującą go siłą, która robiła swoje od lat, mogło być cierpienie pacjentów. Oparłszy się o blat, w którym znajdowała się mała umywalka, lekarz powiedział:

– Rozumiem, że nie chcesz, abym owijał w bawełnę.

Ryan nie podszedł do krzesła, tylko stał zwrócony plecami do okna i morza, które tak kochał.

– Znasz mnie, Forry.

– To nie był zawał.

– To by było za proste – domyślił się Ryan.

– Masz hipertrofię serca. Czyli przerost.

Ryan od razu odrzucił tę diagnozę, jakby Forry był sędzią, który pod wpływem perswazji mógł uznać go za zdrowego.

– Ale... zawsze dużo ćwiczyłem, odżywiałem się prawidłowo.

– Przyczyną może być czasami niedobór witaminy B1, ale wątpię, żeby u ciebie wiązało się to z dietą czy ćwiczeniami.

– To z czym?

– Z wadą wrodzoną, która dopiero teraz dała o siebie znać.

Albo z nadużywaniem alkoholu, ale to ciebie nie dotyczy.

W pokoju nie zrobiło się nagle zimno, nie spadła też temperatura za oknem, Ryan poczuł jednak dreszcze na karku i wzdłuż kręgosłupa.

Lekarz wyliczał dalej możliwe przyczyny schorzenia:

– Uszkodzenie wsierdzia, amyloidoza, zatrucie, zaburzony metabolizm komórkowy...

– Zatrucie? Kto by chciał mnie otruć?

– Nikt. Nie chodzi o truciznę. Ale żeby postawić dokładną diagnozę, muszę cię skierować na biopsję mięśnia sercowego.

– Nie brzmi zbyt zabawnie.

– To nieprzyjemne, ale bezbolesne. Rozmawiałem właśnie z Samarem Gupta, wybitnym kardiologiem. Może cię przyjąć dziś po południu na wstępne badanie.

– Nie mam wiele czasu na zastanowienie – odparł Ryan.

– A nad czym się tu zastanawiać?

– Nad życiem... śmiercią... Sam nie wiem.

– Nie możemy podjąć leczenia bez ostatecznej diagnozy.

Ryan zawahał się.

– To się leczy? – zapytał.

– Można – odparł Forry.

– Wolalabym, żebyś odpowiedział po prostu „tak”.

– Wierz mi, Kropka Com, chciałbym tak odpowiedzieć.

On i Ryan poznali się na wyścigach starych samochodów i zaprzyjaźnili, zanim jeszcze został jego lekarzem. Jane Stafford, żona Forry'ego, polubiła Samanthę i przywiązała się do niej, jakby to była jej córka; od tego czasu często nazywali Ryana Kropka Com.

– Samantha – szepnął Ryan.

Dopiero gdy wymówił jej imię, uzmysłowił sobie, że usłyszawszy wstępną diagnozę, skupił się wyłącznie na samym fakcie, który stanowił gwałtowny zwrot w jego życiu, uderzającym fakcie, że jest śmiertelny.

Teraz oderwał się od tego i myślami wybiegł dalej.

Wizja grożącej mu śmierci wydała mu się w pierwszej chwili abstrakcją budzącą lodowaty strach. Ale kiedy pomyślał, co straciłby wraz z życiem, kiedy to wszystko stanęło mu przed oczami – Samantha, morze, blask poranka, purpurowy zmierzch – strach przeobraził się w przerażenie.

– Nie mów nic Sam – poprosił Ryan.

– Jasne, że nie.

– Ani nawet Jane. Wiem, że nie powiedziałyby Sam. Ale ona wyczułaby, że coś jest nie tak, i wyciągnęłyby z niej prawdę.

Jak wosk odsunięty od ognia, grobowa powaga na twarzy Stafforda zastygła w wyraz smutku.

– Kiedy jej powiesz?

– Po biopsji.

– Są takie dni, w których żałuję, że nie poszedłem na stomatologię – rzucił Forry z westchnieniem.

– Próchnica zębów rzadko grozi śmiercią.

– Czy nawet paradontoza.

Lekarz przysiadł na krześle obrotowym, które zwykle zajmował, gdy słuchał skarg pacjentów i robił notatki w kartach.

Ryan usadowił się w jednym z foteli. Po chwili zapytał:

– Podjąłeś decyzję w sprawie tego kabrioletu mercury z czterdziestego roku?

– Uhm. Właśnie w tej chwili. Kupię go.

– Edelbrock dwugaźnikowy z kolektorem? Zgadza się?

– Tak. Powinieneś go posłuchać.

– Jak ma koła? – zapytał Ryan.

– Imperiale z sześćdziesiątego roku. Piętnastocalowe.

– Niski dach?

– Niziutki.

– Musi mieć świetny kształt przedniej szyby.

– No – potwierdził Forry.

– Popracujesz jeszcze nad nim?

– Mam pewne pomysły.

– A ja chyba chciałbym mieć deuce coupe z trzydziestego

- drugiego – rzekł Ryan.
– Pięciodrzwiowego?
– Może trzydrzwiowego bez błotników.
– Pomogę ci go znaleźć. Rozejrzemy się na jakichś pokazach.
– Bardzo bym chciał.
– Ja też.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

Gabinet miał biały wyciszony płytami sufit, jasnoniebieskie ściany, podłogę z szarych płyt winylowych.

Na jednej ze ścian wisiała reprodukcja obrazu Childe'a Hassama. Nosił tytuł *Biała łódź, Gloucester* i pochodził z 1895 roku.

Na jasnej wodzie, w białej łódce siedziała kobieta o jasnej cerze.

Miała na sobie białą suknię, różową plisowaną bluzkę z falbankami i słomkowy kapelusz.

Delikatna, atrakcyjna, byłaby pożądaną żoną w tamtych czasach, kiedy zawierano małżeństwa na całe życie. Ryana ogarnęło dziwne pragnienie, żeby ją poznać, usłyszeć jej głos, posmakować ust, ale zagubiła się gdzieś w czasie, tak jak i on mógł wkrótce się zagubić.

- Cholera – powiedział.
– No – potwierdził Forry.

6

Doktor Samar Gupta miał okrągłą śniadą twarz i oczy kolory melasy. Mówił melodyjnym głosem, z bardzo wyraźną dykcją, gestykulując smukłymi, starannie wypielęgnowanymi dłońmi. Po obejrzeniu echokardiogramu i zbadaniu Ryana wyjaśnił, jak przeprowadza się biopsję mięśnia sercowego. Posłużył się przy tym dużą makietą układu krążenia.

Mając przed oczami kolorowy schemat budowy ludzkiego serca, Ryan zauważył, że myślami ucieka do portretu kobiety w białej łódce z gabinetu Forry'ego Stafforda.

Doktor Gupta wydawał się nienaturalnie spokojny, każdy jego ruch był celowy, każdy gest oszczędny. Jego puls w stanie spoczynku musiał wynosić pięćdziesiąt na minutę. Ryan zazdrościł mu opanowania i zdrowia.

– Proszę zgłosić się w recepcji szpitala jutro o siódmej rano – powiedział kardiolog. – I nie jeść nic ani nie pić po północy.

– Nie lubię środków uspokajających, utraty kontroli.

– Dostanie pan łagodny środek, po którym się pan odpręży, ale będzie pan przytomny, żeby wykonywać instrukcje podczas badania.

– A ryzyko...

– Tak jak mówiłem. Ale jak dotąd w trakcie żadnej z przeprowadzanych przeze mnie biopsji nie zdarzyły się... komplikacje. Ryan ze zdziwieniem usłyszał własne słowa:

– Wierzę w pańskie umiejętności, doktorze Gupta, ale mimo to się boję.

W sprawach zawodowych Ryan nigdy nie zdradzał niepewności, nie mówiąc już o strachu. Nie chciał, żeby ktokolwiek dostrzegł w nim jakąś słabość.

– Od chwili narodzin powinniśmy się bać, proszę pana, ale nie śmierci.

•••

Na obitym pluszem tylnym siedzeniu mercedesa S600, w drodze do domu, do Ryana dotarło, że nie zrozumiał ostatniej uwagi kardiologa.

„Od chwili narodzin powinniśmy się bać, ale nie śmierci”.

W gabinecie, w tamtej chwili, te słowa wydawały mu się mądre i stosowne. Ze strachu i pragnienia, aby go stłumić, Ryan odebrał je jako uspokajające, chociaż w gruncie rzeczy wcale takie nie były. Teraz uwaga lekarza wydała mu się tajemnicza, nawet zagadkowa i niepokojąca.

Siedzący za kierownicą sedana Lee Ting raz po raz zerkał w lusterko wsteczne. Ryan udawał, że nie zauważa zaniepokojonego wzroku podwładnego.

Lee nie wiedział, którego z wielu lekarzy w budynku, gdzie mieścił się gabinet doktora Gupty, odwiedził Ryan, a był zbyt dyskretny, żeby o to zapytać. Jednak jako człowiek bardzo bystry i spostrzegawczy wyczuwał powagę szefa.

Słońce złościło strzępiaste palmy i czubki dachów na zachodzie.

Niknące cienie drzew i budynków, latarni i pieszych, wyciągnęły się ku wschodowi, jakby całe wybrzeże wyczekiwało już nadejścia nocy.

Dotychczas, podczas tych rzadkich okazji, kiedy pełnił funkcję szofera, Lee zawsze prowadził statecznie, jakby był dziesiątki lat starszy niż w rzeczywistości i jechał w jakiejś królewskiej kawalkadzie. Tym razem przekraczał dozwoloną prędkość razem z innymi i przejeżdżał przez skrzyżowania na żółtym świetle.

Jakby wiedział, że jego pracodawca chce znaleźć się w zaciszu domowym, potrzebuje schronienia.

7

W drodze od doktora Gupty Ryan zadzwonił do Kay Ting i wydał dyspozycje dotyczące kolacji. Żeby je zrealizować, musiała pojechać do jego ulubionej restauracji po dania na wynos.

Później, korzystając z windy, Tingo wie wyekspediowali stół z kolacją do salonu na drugim piętrze, stanowiącego część apartamentu pana domu. Rozłożyli dodatkowy blat, żeby przekształcić stół w stół i nakryli go białym obrusem.

Znajdowały się na nim, sprowadzone specjalnie dla Ryana, trzy rodzaje lodów domowej produkcji – z ciemnej czekolady, czarnej

wiśni i limoncello – wszystkie wstawione do dużej miski z lodem. Były też porcje ciasta czekoladowego bez mąki, tarta cytrynowa, tarta orzechowo-maślana, truskawki z kwaśną śmietaną i brązowym cukrem, wybór egzotycznych ciasteczek i butelki piwa korzennego w wiaderku z lodem.

Ponieważ Ryan pozwalał sobie na deser tylko raz czy dwa w tygodniu, Tingów zainteresowała przyczyna tej nietypowej ekstrawagancji.

Udawał, że świętuje zawarcie szczególnie korzystnej transakcji handlowej, ale wiedział, że mu nie wierzą.

Wybór słodczy przypominał raczej ostatni posiłek skazańca, który choć już trzydziestoczteroletni, jeszcze nie dorósł.

Jedząc w samotności, przy stole na kółkach, Ryan przerzucał kanały na ekranie wielkiego telewizora plazmowego, szukając starych filmów. Wybierał komedie, ale żadna z nich jakoś go nie bawiła.

Ponieważ nagle przestał przejmować się kaloriami i cholesterolem, początkowo to dogadzanie sobie bez poczucia winy było dla niego czymś tak nowym, że nawet sprawiło mu przyjemność.

Wkrótce jednak zemdlila go to różnorodność słodczy, uczta godna nastolatka, za dużo tego było.

Żeby zagrać śmierci na nosie, zjadł więcej, niżby chciał. Piwo korzenne zaczęło przypominać syrop.

Wyprowadził stół z pokoju, zostawił go w holu i przez interkom poinformował Kay, że już zjadł.

Tinowie już wcześniej przygotowali mu łóżko do spania i przetrzepali poduszki.

Kiedy Ryan włożył piżamę i wsunął się między prześcieradła, dopadła go bezsenność. Jeśli to nie strach przed śmiercią nie pozwalał mu zasnąć, na pewno sprawił to poziom cukru we krwi.

Boso, mając nadzieję, że odpędzi lęk, przeszedł się po domu.

Za wielkimi oknami rozciągała się świetlista panorama miast hrabstwa Orange, położonych poniżej na wielkich równinach. Ich blask dawał wystarczająco dużo światła, żeby Ryan mógł poruszać się po domu, nie włączając lampy.

Niedługo przed północą światło w holu na tyłach domu przyciągnęło go do składziku, gdzie w mahoniowych szafkach przechowywano zastawę i szkło. Usłyszał głosy dochodzące z przyległej kuchni.

Chociaż za dnia w domu pracowały jeszcze inne osoby, na stałe mieszkali w nim tylko Tingowie. Mimo to Ryan nie od razu rozpoznał głosy Lee i Kay, bo mówili po cichu, prawie szeptem.

Zwykle o tej porze Tingowie leżeli już w łóżku. Zaczynali pracę o ósmej rano.

Mimo że Ryan nigdy nie ulegał żadnym przesądom, teraz nagle ogarnęło go wrażenie niesamowitości. Miał poczucie, że ten dom ma swoje sekrety, że w jego pokojach znajdują się nieznanne ob-

szary i że dla własnego samopoczucia musi dowiedzieć się wszystkiego, co się przed nim ukrywa.

Przytknąwszy ucho do szpary w drzwiach, wyteżył słuch, żeby pochwycić wypowiedane słowa.

Przestronna kuchnia została zaprojektowana tak, żeby można było przygotowywać w niej wyszukane menu na duże przyjęcia. Przyciszone głosy odbijały się od dużych granitowych blatów i licznych stalowych urządzeń.

Ryzykując, że zostanie zdemaskowany, lekko pchnął wahadłowe drzwi, tak że szpara między nimi powiększyła się o cal. Głosy nie stały się rozpoznawalne, podobnie jak szepty i pomruki z syczących dźwięków nie przekształciły się w słowa.

Ryan jednak usłyszał delikatne pobrzękiwanie i stukanie naczyń, co wydało mu się dziwne. Lee i Kay powinni byli pozmywać po kolacji już wiele godzin temu, a jeśli nabrali ochoty na późną przekąskę, przygotowaliby ją w kuchni należącej do ich prywatnego mieszkania.

Pochwyił też dziwny zgrzytliwy dźwięk, delikatny i rytmiczny. To nie był codzienny odgłos, choć dziwnie znajomy i – z powodów, których nie potrafiłby wytłumaczyć – złowrogi.

Podśluchiwanie coraz bardziej wydawało mu się głupie. Jediną niepokojącą rzeczą w całym domu była jego wyobraźnia, która wymknęła się spod kontroli i w obliczu śmierci zaczęła go ponosić. Niemniej, gdy zastanawiał się, czyby nie popchnąć drzwi i nie poznać tożsamości ludzi w kuchni, obudził się w nim strach. Serce nagle zabiło mu tak głośno jak kopyta końskie na kamiennym bruku i tak szybko, jak zbliżający się czterej jeźdźcy Apokalipsy. Zdjął rękę z drzwi, tak że się zamknęły, i odszedł od nich.

Przyłożył prawą rękę do serca, a lewą oparłszy się o szafkę, żeby się uspokoić, czekał, aż pod wpływem kolejnego ataku ugną się pod nim nogi i upadnie bezsilnie na podłogę.

W składziku zapadła ciemność.

Ryan mógłby pomyśleć, że stracił wzrok, gdyby nie światło w holu, za otwartymi drzwiami, przez które wszedł.

W kuchni, za zamkniętymi drzwiami wahadłowymi, zgaszono lampę. Do kontaktu na ścianie podłączone było także światło w składziku.

Teraz ciemność zapanowała także w holu.

W pozbawionym okien składziku nie mogłoby być ciemniej, nawet gdyby była to wyściełana jedwabiem, zatrzaśnięta trumna z brązu.

Nie słysząc nic poza łomotaniem własnego serca, Ryan odniósł wrażenie, że ktoś się zbliża, ktoś, kto widział równie dobrze w tym całkowitym mroku jak kot grasujący w blasku księżyca. Czekał, że poczuje rękę na ramieniu albo zimne palce nieznajomego kneblujące mu usta.

Ciężar na piersi kazał mu usiąść na podłodze. Nogi ugięły mu

się w kolanach i osunął się plecami po powierzchni szafy, dźgany uchwytami szuflad.

Minęła chwila, podczas której bunt w jego piersi nie przekształcił się w pełną anarchię i puls odzyskał normalny, miarowy rytm.

Oslabienie mu przeszło i wraz z powrotem sił strach Ryana przemienił się upokorzenie.

Przytrzymując się uchwytów szuflad, Ryan wstał. W ciemności po omacku znalazł drogę w kierunku wahadłowych drzwi.

Zatrzymał się pod nimi i zaczął nasłuchiwać. Z kuchni nie dochodziły już żadne pomruki, szepty, brzęki ani stukania, żadne lekkie, złowróżbne zgrzyty.

Wszedł przez drzwi, puścił je i stanął odwrócony do nich plecami.

Po jego prawej stronie, nad zlewami i obudową z blatów, znajdowały się wychodzące na zachód okna. Ich obszar wyznaczały poświata wybrzeża Newport i blask księżyca nad morzem.

Odważył się zapalić światło i zobaczył, że jest sam.

Poza drzwiami do składziku w wielkiej kuchni znajdowały się jeszcze trzy inne wyjścia: pierwsze do patio, drugie do pokoju śniadaniowego i ostatnie do tylnego holu. Z pokoju śniadaniowego również można było przejść do patio i do holu.

Głosy na pewno należały do Lee i Kay. Musieli robić coś całkiem prozaicznego, nie wiedząc o jego obecności w składziku.

Ale skoro sądzili, że Ryan śpi w swojej sypialni piętro wyżej, i to po drugiej stronie wielkiego domu, to dlaczego mówili szeptem?

Na każdym końcu kuchni, podobnie jak w innych punktach całego domu, w ścianę wbudowane były panele Crestona.

Dotknął jednego z nich i ekran się rozjaśnił. Za jego pośrednictwem mógł sterować oświetleniem w całym domu, podobnie jak systemem audio, ogrzewaniem, klimatyzacją i tak dalej.

Wybrał okno systemu bezpieczeństwa i zobaczył, że zgodnie z procedurą Tingowie włączyli alarm obwodowy. Nikt nie mógł wejść do domu, nie włączając syreny i elektronicznej identyfikacji miejsca przerwania obwodu.

Teren posiadłości monitorowało dwadzieścia kamer zewnętrznych. Przerzucił podgląd z nich wszystkich. Chociaż technologia noktowizyjna oferowała różną jakość obrazu z poszczególnych kamer, zależnie od warunków oświetleniowych, nie zauważył żadnych intruzów wokół domu, żadnego ruchu poza nagłym trzepotaniem skrzydeł pojawiającej się od czasu do czasu ćmy.

Wrócił do swojego apartamentu, ale nie do łóżka. W alkowie za salonem, gdzie jadł kolację, stało biurko w stylu art déco z narry, z około tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku. Usiadł przy nim, ale nie zamierzał pracować.

Lee i Kay Tingowie służyli u niego od dwóch lat. Byli zdolni, oddani i odpowiedzialni.

Ich przeszłość została zbadana dokładnie przez Wilsona Motta, ekspolicjanta z wydziału zabójstw, teraz konsultanta do spraw bezpieczeństwa, do którego Ryan zwracał się we wszystkich sprawach niezwiązanych bezpośrednio ze swoją firmą, Be2Do. Forry Stafford powiedział jednak coś, co dźwięczało mu w pamięci: „Uszkodzenie wsierdza, amyloidoza, zatrucie...”. Za każdym razem miał wrażenie, że Forry położył złowieszczy nacisk na słowo „zatrucie”, chociaż nie sądził, że to przydarzyło się Ryanowi.

Dla człowieka, który przez całe życie był zdrowy, i to nie tylko zdrowy, ale wręcz pełen energii, niespodziewana choroba serca domagała się wyjaśnienia wykraczającego poza wadę dziedziczną czy defekt fizyczny. Ciągła walka i mozolne współzawodnictwo nauczyły go, że są na tym świecie ludzie, którzy mają podejrzone motywy i uciekają się do bezwzględnych metod.

Otrucie.

Jakiś cichy odgłos przyciągnął jego uwagę do zachodniego okna. Hałas ustał w chwili, gdy Ryan odwrócił głowę, żeby sprawdzić źródło jego pochodzenia.

Stalowy blask księżycy w nowiu był zbyt nikły, żeby dało się w nim zobaczyć, co stukalo w szybę. Prawdopodobnie chciała go odwiedzić ćma albo jakiś inny nocny owad.

Spojrzał na swoje zaciśnięte dłonie. Wcześniej, podczas ataku, miał wrażenie, jakby jego serce ścisnęła okrutna pięść.

Znowu zza okna doszedł dźwięk przypominający nie tyle pacnięcie, ile lekkie uporczywe pukanie knykциями obciążonymi rękawiczką z jagnięcej skóry.

Znajdował się na drugim piętrze. Za oknem nie było balkonu, nic, tylko płaska pionowa ściana, a dalej trawnik. Za tymi zalanymi światłem księżycy szybami nie mogło być nikogo, kto chciałby zwrócić na siebie jego uwagę.

Stan serca zakłócił mu jasność myślenia, podważając jego zwykłą pewność siebie. Nawet coś tak nieszkodliwego jak ćma mogło go przestraszyć.

Zabronił sobie spoglądać w stronę okna, bo nie chciał ulegać następnym urojonym lękom. Jego stanowczość została nagrodzona i następne pukanie było już słabsze, aż wreszcie ustało i zapanaowała cisza.

Otrucie.

Od wymyślonych zagrożeń jego myśli zwróciły się ku prawdziwym, ku znanym mu ze sfer zawodowych ludziom, którzy kierowani chciwością, zawiścią lub ambicjami uciekali się do niemoralnych metod.

Ryan zdobył fortunę uczciwie, nie stosując żadnych brutalnych praktyk. Niemniej przysporzył sobie wrogów. Niektórzy ludzie nie chcieli pogodzić się z porażką, nawet jeśli wynikała ona z ich błędów albo mylnych przewidywań.

Pod wpływem tej refleksji sporządził listę osób, na której widniało pięć nazwisk.

Wśród numerów telefonicznych Wilsona Motta był jeden szczególny, na komórkę, którą detektyw odbierał osobiście bez względu na porę dnia i nocy. Tylko dwóch czy trzech jego najbogatszych klientów znało ten numer. Ryan nigdy dotąd z niego nie korzystał.

Zawahał się, zanim go wybrał. Ale intuicja podpowiadała mu, że znalazł się w niezwyklej sieci knowań i że potrzebna mu innego rodzaju pomoc niż lekarska. Wystukał siedem cyfr.

Kiedy zgłosił się Mott, równie przytomny i rzeczowy jak o każdej rozsądnej porze dnia, Ryan przedstawił się, ale ani nie wymienił żadnego z pięciu nazwisk ze swojej listy, ani nie sugerował dalszego przeświadczenia Tingów, jak zamierzał.

Zamiast tego, powiedział coś, co go samego tak zaskoczyło, że umilkł na chwilę, rzuciwszy pierwsze zdanie:

– Chciałbym, żebyś odnalazł niejaką Rebecę Reach.

8

Rebecca Reach. Matka Samantha.

Ryan dopiero ostatniego wieczoru, podczas kolacji z Sam, dowiedział się, że jej matka żyje. Przez rok dawała mu do zrozumienia, że Rebecca nie żyje.

Nie, był niesprawiedliwy. Samantha nie wprowadziła go w błąd. Sam przyjął, że Rebecca umarła, na podstawie tego, że Samantha niewiele o niej mówiła.

Najwyraźniej matka i córka żywiły do siebie taką urazę, że nie rozmawiały ze sobą i pewnie nie zamierzały rozmawiać. „Ona nie żyje, dla mnie umarła” – powiedziała Samantha.

Rozumiał, dlaczego – po tym jak Rebecca postanowiła odłączyć niepełnosprawną Teresę od aparatury – Samantha chce odciąć się od wspomnień o swojej nieżyjącej siostrze bliźniaczce i o matce, przez którą czuła się zdradzona.

– Ma pan coś poza jej nazwiskiem? – zapytał Wilson Mott.

– Las Vegas – dorzucił Ryan. – Zdaje się, że Rebecca Reach mieszka w jakimś apartamencie w Las Vegas.

– Pisze się R-e-a-c-h?

– Tak.

– A o co chodzi, panie Perry?

– Wolałbym nie mówić.

– Chce się pan dowiedzieć czegoś konkretnego?

– Nie. Podstawowe rzeczy dotyczące tej kobiety. I adres.

Numer telefonu.

– Rozumiem, że chce pan, abyśmy nie rozmawiali z nią bezpośrednio.

– Otóż to. Dyskretnie, proszę.

– Może jutro o piątej – zaproponował Mott.
– Świetnie, o piątej. Rano i wczesnym popołudniem i tak będę zajęty.

Ryan rozłączył się pełen wątpliwości, czy to, co zrobił pod wpływem intuicji, jest błyskotliwe czy głupie. Nie miał pojęcia, czy to, czego się dowie, będzie miało jakikolwiek związek z jego obecną sytuacją.

Wiedział jedynie, że postąpił tak, jak często zdarzało mu się postępować w sprawach zawodowych, gdy zdawał się na przecucia wsparte racjonalnym rozumowaniem. To właśnie dzięki intuicji zbił majątek.

Gdyby Samantha się o tym dowiedziała, pewnie uznałaby, że jego podejrzliwość przekracza dopuszczalne granice, a nawet że jest niegodny zaufania. Ale przy odrobinie szczęścia nigdy się nie dowie o jego postępkach.

Ryan wrócił do łóżka. Włączył telewizor i nastawił *Rzymskie wakacje*, klasyk z Audrey Hepburn i Gregorym Peckiem, a potem wyłączył lampkę na szafce.

Wsparty na poduszkach, oglądał film, nie śledząc w gruncie rzeczy fabuły.

Nigdy nie prosił Wilsona Motta, żeby zbadał przeszłość Samantha. Zlecał coś takiego, gdy zamierzał kogoś zatrudnić.

Poza tym zgłosiła się do niego na zlecenie dużego czasopisma, jako dziennikarka o pewnym doświadczeniu i reputacji. Nie widział powodu, żeby sprawdzać ją dodatkowo, skoro jej wiarygodność nie budziła wątpliwości i mieli razem spędzić prawdopodobnie tylko kilka godzin.

W ciągu ostatnich lat miał w mediach do czynienia z ludźmi nieobliczalnymi. Przeważnie okazywali się nieszkodliwi, czasami kryli coś w zanadrzu, ale nie było to nic groźniejszego niż uprzedzenia, które uzasadniały ich zdaniem przeinaczanie jego słów. Gdyby jednak coś w związku z Rebecca Reach zrodziło podejrzenia, Mott mógł przecież dokładniej prześwietlić Samanthę. Ryan był rozczarowany – nie Sam, bo na razie nie miał powodów, żeby zmienić o niej zdanie, ale samym sobą. Dobrze mu z nią było. Kochał ją. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że mógł pomylić się co do niej, że mógł nie dostrzec, iż jest kimś innym, niżby wskazywały pozory.

Co gorsza, był przerażony tym, że pod wpływem strachu tak szybko stracił do niej zaufanie. Do tej pory jedyne kryzysy, z jakimi miał do czynienia, wiązały się z problemami zawodowymi – brakiem kapitału, opóźnieniami we wprowadzaniu produktów na rynek, konkurencyjnymi ofertami przejęcia. Teraz stanął wobec groźby egzystencjalnej i jego uzasadniony lęk przed inwalidztwem i śmiercią przekształcał się w podstępą paranoję, w której nie tyle dopatrywał się u siebie słabości fizycznej, ile możliwości, że rzeczywiście któryś z jego wrogów ma nieczne zamiary.

Zakłopotany, jeśli nie zażenowany, że tak uległ lękom, zaczął się zastanawiać, czyby nie zadzwonić do Wilsona Motta i nie odwołać zlecenia dotyczącego Rebecki Reach.

Ale Forry Stafford wspominał o ewentualności zatrucia. Jeśli to mogło być przyczyną stanu Ryana, rozsądek nakazywał mu zbadać sprawę.

Nie dotknął telefonu.

Po chwili wyłączył telewizor.

Nie mógł spać. Za kilka godzin kardiolog, Samar Gupta, wydobędzie trzy maleńkie fragmenty tkanki z serca Ryana. Jego życie zależy od tego, co to badanie ujawni. Jeśli diagnoza okaże się niepomysłna, będzie miał mnóstwo czasu na sen – całą wieczność. Z ciemności, w niesamowitej ciszy, od strony okna dobiegło słabe stukanie, stłumione przez zasłony; od tego okna czy tamtego – nie umiał powiedzieć.

Kiedy uniósł głowę, nasłuchując, uparta ćma czy jakiś chrząszcz, a może dłoń w rękawiczce z jagnięcej skóry, przestały stukać.

Za każdym razem, gdy przykładał głowę do poduszki, następowała cisza, ale nie trwało to długo. Prędzej czy później znowu rozlegało się „stuk”, „stuk, stuk”, a potem „stuk, stuk, stuk”, stłumione, bezbarwne, głuche, tępe i płaskie.

Mógł podejść do okien, odsunąć zasłony i przyłapać intruza na gorącym uczynku. Ale powiedział sobie, że to stukanie to wytwór jego wyobraźni, i skupiał się na czymś innym, na bliższym i bardziej niepokojącym biciu własnego serca.

Dostrzegł w tym wyparciu pewne tchórzostwo. Miał wrażenie, że gdzieś w głębi duszy wiedział, kto domaga się jego uwagi, i zdawał sobie sprawę, że odsunięcie zasłon i konfrontacja z tym kimś będzie oznaczać jego koniec.

9

Księżyc już zaszedł i niebo było jeszcze ciemne tego piątkowego rana, kiedy Ryan wyruszył do szpitala. Światła miasta tłumili blask gwiazd, ale na zachodzie morze i ziemia zlewały się w jedną, ciemną, bezkresną przestrzeń.

Mimo że mógł doznać ataku, prowadząc samochód, zaryzykował i zajął miejsce za kierownicą. Wolał, aby Lee Ting nie wiedział, że poddaje się biopsji mięśnia sercowego.

Wmawiał sobie, że nie chce niepokoić ludzi, którzy dla niego pracują albo są z nim w jakiś inny sposób związani. Tak naprawdę jednak nie chciał dawać wrogowi, jeśli go miał, satysfakcji ani przewagi wynikającej z faktu, że był osłabiony i mniej sprawny.

Gdy szedł samotnie przez podziemny parking szpitalny, gdzie magiczne jasnożółte światło zamieniało karoserie samochodów w opalizujące panczerzyki żuków, wydawało mu się, że jest w domu i

śpi, że to miejsce i zabieg, któremu miał się poddać, tylko mu się śnią.

Z rejestracji dla pacjentów dochodzących sanitariusz zaprowadził go do laboratorium diagnostyki kardiologicznej.

Siostra przełożona oddziału kardiologii Kyra Whipset nie mogłaby być szczuplejsza, nawet gdyby nie jadła nic poza selerem naciowym i codziennie brała udział w biegu maratońskim. Miała tak mało tkanki tłuszczowej, że zatonełaby jak kotwica nawet w bardzo słonej wodzie o dużej gęstości.

Upewniwszy się, że Ryan nie jadł nic po północy, siostra Whipset podała mu środek uspokajający i wodę w papierowym kubeczku.

– Nie zaśnie pan po tym – wyjaśniła. – Tylko się pan odpręży.

Druga pielęgniarka, Ismay Clemm – starsza, przyjemnie okrągła czarna kobieta – miała zielone oczy z cętkami przypominającymi fasety kunsztownie szlifowanych szmaragdów. Te oczy zwracałyby uwagę w każdej twarzy; w tej zauważało się je tym bardziej przez kontrast z gładką ciemną skórą.

Gdy siostra Whipset usiadła przy biurku, żeby wypisać Ryanowi kartę, Ismay patrzyła, jak połyka tabletkę.

– Wszystko dobrze, chłopcze?

– Nie za bardzo – odparł, zgniatając pusty kubeczek w dłoni.

– To nic – zapewniła go, gdy wrzucił kubek do kosza na śmieci. – Jestem przy tobie. Będę nad tobą czuwać. Nic ci się nie stanie.

W zestawieniu z ascetyczną, wyprężoną sylwetką siostry Whipset krągłości Ismay wraz z jej melodyjnym głosem, który uspokajał równie skutecznie jak kołysanka podziały na Ryana kojąco.

– Wyjmie mi pani z serca trzy kawałki – powiedział.

– Małe kawałeczki, kotku. Podejrzewam, że ty zabrałaś znacznie większe kawałki z serduszek kilku miłych dziewcząt. A wciąż żyją, prawda?

W przyległym gabinecie rozebrał się do bokserek, wsunął stopy w jednorazowe kapcie i włożył cienką, jasnozieloną koszulę bez kołnierzyka, z krótkimi rękawami.

Gdy wrócił do laboratorium diagnostycznego, zobaczył, że przyjechali już doktor Gupta i radiolog.

Stół do badania był wygodniejszy, niż Ryan się spodziewał.

Samar Gupta wyjaśnił, że wygoda jest konieczna, bo podczas zabiegu pacjent musi leżeć na plecach bez ruchu co najmniej przez godzinę, a niekiedy nawet dwie i więcej.

Zawieszony nad stołem rentgenoskop natychmiast wyświetlał obraz na fluorescencyjnym ekranie.

Gdy kardiolog z pomocą siostry Whipset przygotowywał się do zabiegu, Ismay Clemm kontrolowała puls Ryana.

– Grzeczny chłopczyk.

Środek uspokajający zaczął działać i Ryan poczuł się spokojniejszy, choć zachował pełną świadomość.

Kyra Whipset potarła jego szyję wacikiem z jodyną.

Po zastosowaniu znieczulenia zewnętrznego, żeby Ryan nie poczuł wbicia igły, doktor Gupta polecił znieczulić ten sam rejon zastrzykiem.

Ryan nie czuł już nic, gdy lekarz chwilę później sprawdził odruch nerwowy na jego szyi.

Zamknął oczy, podczas gdy jego znieczulone ciało zostało potarte czymś o ostrym zapachu.

Opisując głośno Ryanowi swoje kolejne działania, doktor Gupta wykonał małe nacięcie żyły szyjnej i wprowadził do niej cienki, bardzo giętki cewnik.

Ryan otworzył oczy i obserwował obraz z rentgenoskopu ukazującego powolne przesuwanie się cewnika, który kardiolog wprowadził uważnie do jego serca, spoglądając na ekran urządzenia.

Zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby w trakcie tego zabiegu doznał ataku, tak jak poprzednio na desce surfingowej – i jego puls osiągnął dwieście-trzysta uderzeń na minutę. Wolał o to nie pytać.

– Jak się pan czuje? – zapytał doktor Gupta.

– Dobrze.

– Proszę się zrelaksować. Świetnie nam idzie.

Ryan uświadomił sobie, że Ismay Clemm cicho podaje informacje o jego pulsie, który najwyraźniej stał się trochę niestabilny po wprowadzeniu do serca cewnika.

Może było to normalne, może nie, ale puls się wyrównał. „I serce nadal bije”.

Kiedy pierwszy cewnik dotarł na miejsce, doktor Gupta wprowadził drugi, biotom, z małymi szczękami na końcu.

Ryan stracił poczucie czasu. Mógł leżeć na stole zarówno kilka minut, jak i godzinę.

Bolały go nogi. Mimo środka uspokajającego mięśnie łydek miał napięte. Prawa dłoń zacisnęła się w pięść; rozwarł ją, jakby liczył, że poczuje dotknięcie innej ręki lub dostanie prezent.

Leżał tak długo, zastanawiając się i bojąc.

Szczęki biotomu rozwarły się i zacisnęły.

Wciągając powietrze z sykiem przez zaciśnięte zęby, Ryan nie sądził, że wyobraził sobie to szybkie bolesne uszczypnięcie, ale być może zareagował na chwilowe szamotanie się swojego serca, które obserwował na fluorescencyjnym ekranie.

Doktor Gupta pobrał pierwszą próbkę tkanki z mięśnia sercowego Ryana.

– Nie wstrzymuj oddechu, kotku – poprosiła siostra Clemm.

Nabierając powietrza, Ryan zdał sobie sprawę, że spodziewał się umrzeć podczas tego zabiegu.

Po zaledwie siedemdziesięciu minutach biopsja została zakończona, a nacięcie na szyi zaszyte.

Środek uspokajający osiągnął maksymalne działanie, a ponieważ Ryan miał za sobą nieprzespaną noc, preparat podziałał na niego silniej, niż przypuszczano. Doktor Gupta zalecił Ryanowi, żeby poleżał w sąsiednim pokoju na wąskiej kozetce i odpoczął trochę, zanim poczuje się w pełni przytomny i będzie mógł prowadzić.

W małym pomieszczeniu nie było okien. Lampy fluorescencyjne nad głową były wyłączone i jedyne źródło światła stanowił kinkiet we wnęce nad małą umywalką.

Ciemny sufit i ściany pełne cieni wywoływały klaustrofobiczne wrażenie. Ryana opadły myśli o trumnie i zwyczajnych robakach, ale szybko wyzwolił się z tej fobii.

Zmęczenie i ulga, że zabieg przebiegł dobrze, podziałały na niego uspokajająco. Ryan nie spodziewał się, że zaśnie, ale tak się stało.

We śnie, przy akompaniamencie jakiejś fałszywie brzmiącej melodii, szedł drogą w dolinie do położnego wysoko na stoku pałacu. Przez rozświetlone na czerwono okna zobaczył w środku olbrzymie postacie, które poruszały się w niesamowity sposób; serce zaczęło mu bić szybciej, wręcz walić, dopóki ta wizja nie zniknęła i nie pojawiła się następna.

Jezioro w lesie, otoczone ze wszystkich stron czarnymi skałami i wysokimi sosnami, wyglądało uroczo, jak odcięte od świata.

Potem jego atramentowe wody wezbrały, drobne fale zaczęły obmywać brzeg, na którym stał, i zrozumiał, że to jezioro jest zbiornikiem trucizny. I że ta zatoczka stanie się jego grobem.

Między tymi krótkimi snami na wpół odzyskiwał świadomość i za każdym razem widział w ciemnym pokoju, przy kozetce Ismay Clemm, która raz mierzyła mu puls, raz przykładła rękę do jego czoła, a czasami tylko patrzyła na niego, lecz jej twarz pozostawała w cieniu, tak że dziwnie rozświetlone oczy jakby wisiały w powietrzu.

Kilkakrotnie odezwała się do niego. Za pierwszym razem mruknęła:

– Słyszysz go, prawda, chłopcze?

Ryan był za słaby, żeby zapytać, o kogo chodzi.

– Tak, słyszysz go – pielęgniarka odpowiedziała sama sobie.

Potem, pomiędzy jednym snem a drugim, poleciła:

– Nie słuchaj, chłopcze.

A jeszcze później:

– Jeśli usłyszysz żelazne dzwony, przyjdź do mnie.

Kiedy obudził się po przeszło godzinie, był sam. Pojedyncze

światło, cienie na ścianach i oszczędne umeblowanie wydały mu się mniej realne niż pałac z czerwonym światłem w oknach, czarne jezioro czy inne miejsca, które mu się śniły.

Żeby się upewnić, że już nie śpi i że wspomnienie biopsji jest realne, unióś rękę i dotknął małego opatrunku na szyi, który przykrywał zaszytą ranę po nacięciu.

Wstał, zdjął szpitalną koszulę i włożył swoje ubranie.

Kiedy wszedł do przyległego gabinetu diagnostycznego, Ismay Clemm tam nie było. Doktor Gupta i radiolog też zniknęli.

Siostra Whipset zapytała Ryana, czy dobrze się czuje.

Miał wrażenie, że jest nierzeczywisty, pozbawiony ciężaru, i że unosi się w powietrzu jak duch, zjawą, którą pielęgniarka wzięła za kogoś z krwi i kości.

Oczywiście nie pytała, czy czuje się dobrze psychicznie, tylko czy środki uspokajające przestały działać. Odpowiedział twierdząco.

Poinformowała go, że próbki pobrane podczas biopsji zostaną wysłane do badania. Doktor Gupta zalecił jednak bardziej szczegółową analizę, żeby uzyskać dokładniejszą diagnozę i więcej informacji; nie spodziewa się więc wyników wcześniej niż we wtorek.

Początkowo Ryan zamierzał spytać, gdzie może znaleźć Ismay Clemm. Chciał ją zagadnąć o to, co miały znaczyć te wszystkie dziwne rzeczy, które mówiła w krótkich okresach, gdy na wpół się budził.

Teraz, w sterylnym i jasnym laboratorium, nie był pewny, czy w ogóle się do niego odzywała. Mogła mu się po prostu przyśnić.

Wyjechał mercedesem z podziemnego parkingu i ruszył do domu. Na jasnym niebie widać było więcej ptaków niż zazwyczaj i pojawiały się częściej. Ich stada przybierały dziwne szyki, tworząc kaligrafię, która mogła mieć jakieś znaczenie, gdyby tylko potrafił odczytać język, w jakim zostały napisane.

Stojąc na czerwonym świetle, zerknął na srebrnego lexusa na sąsiednim pasie i zauważył, że kierowca go obserwuje – czterdziestokilkuletni facet o surowej pozbawionej wyrazu twarzy.

Popatrzyli na siebie i pod wpływem intensywnego spojrzenia nieznanego Ryan pierwszy opuścił wzrok.

Dwie przecznice dalej, na kolejnym czerwonym świetle, młody mężczyzna za kierownicą podrasowanego forda pick-upa Q ściętym dachu rozmawiał przez telefon, korzystając z zestawu głośnomówiącego. Tkwiąca w jego uchu słuchawka skojarzyła się Ryanowi z dawnymi filmami science fiction: „obcy” – pasożyt kontrolujący człowieka, swojego żywiciela.

Kierowca pick-upu spojrział na Ryana, natychmiast odwrócił wzrok, ale chwilę później znowu zerknął na niego ukradkiem; i jego usta zaczęły poruszać się szybciej, jakby Ryan był przedmiotem rozmowy, którą prowadził przez telefon.

Kilka mil dalej, po zjeździe z autostrady Pacific Coast na Newport Coast Road, Ryan spoglądał kilkakrotnie w lusterko wsteczne, rozglądając się za srebrnym lexusem i fordem pick-upem o ściętym dachu.

Znalazłszy się w domu, Ryan na schodach, w holu, kolejnych pokojach nie natknął się na nikogo ze służących: ani Lee, ani Kay, ani ich pomocników Denniego czy Renatę.

Usłyszał cichnące kroki na wapiennych płytach podłogowych i lekkie trzaśnięcie drzwi w sąsiednim pokoju. Odległe pytanie i krótka odpowiedź były niezrozumiałe.

W kuchni sprawnie przyrządził sobie wczesny lunch. Unikał świeżej żywności i z otwartych pojemników, wybierał raczej produkty w puszkach i słoikach.

Salatka z młodych pieczarek, serca karczochów, buraczki, ciecierzycy i białe szparagi – to wszystko zostało przybrane włoskim dressingiem z zamkniętej fabrycznie butelki i posypane parmezanem z nowego pojemnika, który Ryan otworzył, sprawdzwszy, czy wcześniej ktoś przy nim nie majstrował.

Postawił salatkę na tacy razem z zapakowaną panettone z importu i sztuccami. Po chwili wahania wziął jeszcze kieliszek i małą butelkę chardonnay Far Niente.

Gdy niósł tacę do swojego gabinetu w zachodnim skrzydle na parterze, nie spotkał nikogo, choć w oddali słyszał, że ktoś włączył odkurzacz.

W żadnym pokoju nie było kamer, ale na korytarzach je zainstalowano. Zapis wideo przechowywano na płytach DVD, żeby można go było obejrzeć na wypadek, gdyby do domu włamał się ktoś w celach rabunkowych albo wkradł się, korzystając z okazji. Nikt nie śledził na bieżąco podglądu z kamer w holu. Niemniej Ryan czuł się obserwowany.

11

Ryan zjadł lunch przy biurku w gabinecie, spoglądając przez wielkie okna na basen i dalej na morze.

Zadzwoił telefon, zastrzeżona prywatna linia, której numer znała tylko garstka ludzi. Odczytał na wyświetlaczu, że to Samantha.

- Hej, Winky, wciąż starzejesz się z klasą?
- Cóż, jeszcze nie wyrosły mi włosy w uszach.
- To dobry znak.
- I nie nabawiłem się cycków na piersi.
- Przedstawiasz się w bardzo kuszącym świetle. Posłuchaj, przepraszam za środę.
- Co masz na myśli?
- Zepsułam cały wieczór, mówiąc o Teresie, o odłączeniu jej od aparatury, zagłodzeniu i tak dalej.

– Nigdy mi jeszcze niczego nie zepsułaś, Sam.
– Jesteś kochany. Ale chcę ci to wynagrodzić. Przyjdź do mnie dziś wieczorem na kolację. Przygotuję saltimbocę alla romana.
– Uwielbiam twoją saltimbocę.
– Z polentą.
– To dużo roboty.

– A na początek caponatę.

Nie miał powodu jej nie ufać.

– A może wybierzemy się do jakiejś knajpki? – zaproponował.

– Nie będzie trzeba sprzątać po kolacji.

– Sprzątanie to już moja sprawa.

Kochał ją. Ona kochała jego. Dobrze gotowała. Chyba ulegał irracjonalnym lękom.

– To za dużo zachodu – rzekł. – Słyszałem o świetnej nowej restauracji.

– Jak się nazywa?

To było kłamstwo, wcale nie słyszał o żadnej nowej restauracji.

Ale jakąś znajdzie.

– Chcę ci zrobić niespodziankę – powiedział.

– Czy coś się stało?

– Nie, po prostu mam ochotę gdzieś wyjść. Chciałbym sprawdzić tę nową knajpkę.

Potem jeszcze chwilę rozmawiali o tym, jak Samantha powinna się ubrać i o której godzinie Ryan ma po nią przyjechać.

– Kocham cię – powiedziała na zakończenie.

– Ja też cię kocham – odparł zmieszany.

Zjadł nie więcej niż jedną trzecią lunchu, ale stracił apetyt.

Wyszedł na zewnątrz z kieliszkiem far niente, przeciął patio i przystanął, obserwując satynowe wstęgi światła słonecznego na niebieskawych kafelkach z włoskiego szkła, którymi wyłożono brzeg basenu.

Uświadomił sobie, że przesuwając palcami po bandażu na szyi.

Tak jak Cyganki czytają z fusów herbaty i z dłoni, jakiś szaman zbada próbki tkanek i przepowie mu przyszłość.

Wizja Cyganki wróżącej przy świecy przywiodła mu na myśl opowieści, w których ktoś posługujący się czarną magią za pomocą kosmyka włosów rzuca klątwę na bohatera.

W rękach wyznawcy voodoo trzy kawałki żywego serca – pochodzące z samego wnętrza i dlatego znacznie potężniejsze niż kilka kosmyków włosów – mogły stać się narzędziem szczególnie makabrycznej zbrodni.

Kiedy poczuł rozchodzący się wzdłuż kręgosłupa chłód, serce przyspieszyło bicie, a na czole pojawiły się kropelki potu; Ryan zganił się za uleganie irracjonalnym myślom. Nieuzasadniona podejrzliwość wobec Sam obudziła w nim jakieś idiotyczne przesady.

Wrócił do gabinetu i zadzwonił do Samantha.

– Po namyśle doszedłem do wniosku, że jednak wolę twoją saltimbocę.
– Co się stało, że zmieniłeś zdanie?
– Nie chcę dzielić się tobą z gromadą patrzących zazdrośnie facetów.
– Jaką gromadą?
– Kelnerem, pomocnikiem kelnera i każdym innym szczęściarzem w restauracji, który będzie mógł się na ciebie gapić.
– Czasami, Winky, przekraczasz cienką linię między prawdziwym romantyzmem a wstawianiem kitu.
– To, co mówię, płynie prosto z serca.
– Dobra, kochanie, jeśli zamierzasz zaszuwać w tym stylu dziś wieczorem, to weź ze sobą łopatę. Bo ja jej nie mam.
Rozłączyła się i zanim Ryan odłożył słuchawkę, usłyszał coś, co przypominało krótki stłumiony śmiech.
Choć Sam przerwała połączenie, w słuchawce nie rozległ się normalny sygnał. Ryan usłyszał słaby głuchy syk.
– Kto tam? – zapytał.
Nikt nie odpowiedział.

Domowy telefon należał do cyfrowego systemu hybrydowego z dziesięcioma liniami, interkomem i funkcjami domofonu. Żadna z linii nie była wspólna i z żadnego aparatu w domu nie można było podsłuchiwać rozmów zajętej w danym czasie linii.
Czekał na następny odgłos, który by coś mu powiedział, jak kontrolowany oddech czy jakiś dźwięk z pokoju, w którym siedział podsłuchujący, ale daremnie. Miał tylko wrażenie czyjejs obecności w eterze, kogoś nieprzyjaznego, rzeczywistego lub nie.
W końcu odłożył słuchawkę na bazę.

•••

W piątek o czwartej po południu, wcześniej niż zapowiadał, Wilson Mott przesłał mu e-mailem raport dotyczący matki Samantha.

Ryan wydrukował go, potem przerzucił wiadomość do kosza i natychmiast ją stamtąd usunął, aby mieć pewność, że nikt jej nie odzyska. Usiadł na fotelu przy basenie, żeby przeczytać zdobyte przez Motta informacje.

Rebecca Lorraine Reach, lat pięćdziesiąt sześć, mieszkała w Las Vegas w strzeżonym niskim apartamentowcu o nazwie Oasis. Pracowała jako krupier w jednym z lepszych kasyn, przy stole do gry w blackjacka.

Podejrzany sposobem Mott zdobył aktualne zdjęcie Rebecki, pochodzące z akt Komisji Kontroli Gier Hazardowych w Nevadzie. Nie wyglądała na więcej niż czterdziestkę – i obie z córką były bardzo do siebie podobne.

Jeździła fordem explorerem. Nie miała na koncie żadnych wykroczeń drogowych.

Nigdy też nie była zamieszana w żadne sprawy kryminalne ani

postępowania cywilne w Nevadzie. Jej wiarygodność kredytowa nie budziła zastrzeżeń.

Według informacji uzyskanych od sąsiadki, Amy Crocker, Rebecca rzadko spotykała się z innymi mieszkańcami Oasis, raczej zadzierała nosa, nigdy nie mówiła o tym, że ma córkę, ani żywą, ani umarłą, i pozostawała w związku z jakimś Spencerem Barghestem.

Mott donosił, że Barghest został dwa razy w Teksasie oskarżony o morderstwo i dwa razy uniewinniony przez sąd.

Jako aktywista opowiadający się za prawem do eutanazji był obecny przy dziesiątkach publicznych samobójstw. Istniały powody do przypuszczeń, że niektórzy z osób popełniających w ten sposób samobójstwo nie były śmiertelnie – ani nawet chronicznie – chore i że ich podpisy pod żądaniem uwolnienia od cierpień zostały sfalszowane.

Ryan nie miał pojęcia, jak odbywa się takie samobójstwo z asystą. Może Barghest dostarczał środki usypiające będące bezbolesną trucizną, ale jednak trucizną.

W raporcie Motta znalazło się także zdjęcie Spencera Barghesta. Miał twarz komika występującego z krótkimi monologami: sympatyczną, ale plastyczną jak z gumy, przebiegłą, przymilny uśmiech i szopę siwych włosów z punkowskim czubem, który wyglądał śmiesznie u pięćdziesięciokilkuletniego faceta.

Ryan, mając świadomość, że może być śmiertelnie chory, doszedł do wniosku, że ma wiele wspólnego z facetem, który chętnie wysłałaby go w zaświaty, za jego zgodną czy bez niej.

To jednak nie potwierdzało jego przeczucie, że matka Sam – a może ona sama – ma jakiś związek z jego nagłymi problemami zdrowotnymi.

W życiu często pojawiają się pewne zbieżności, zaskakujące powiązania, które można uznać za znaczące. Ale jak sama nazwa wskazuje, zbieg okoliczności to zbieg okoliczności.

Barghest mógł być nieciekawym typem, ale w jego relacji z Rebeccą Ryan nie dopatrywał się niczego podejrzanego. Poza tym facet w żaden sposób nie był z nim powiązany.

W obecnym stanie umysłu musiał się strzec, żeby nie popaść w manię prześladowczą. Ta właśnie pod wpływem tej godnej pozwolania skłonności zamówił u Motta raport dotyczący matki Samantha.

Tymczasem okazało się, że Rebecca jest zwykłą kobietą, prowadzącą zwyczajne życie. Podejrzenia Ryana były irracjonalne. Teraz, gdy się nad tym zastanowił, obecność Spencera Barghesta w życiu Rebecki Reach nie wydała mu się wcale zaskakująca. Nie zasługiwała nawet na miano przypadku, a co dopiero podejrzanej okoliczności.

Przed sześcioma laty Rebecca podjęła trudną decyzję, żeby odłączyć córkę w stanie śmierci mózgowej od aparatury podtrzy-

mującej życie. Mogło ją nękać poczucie winy – zwłaszcza że Samantha stanowczo nie aprobowwała jej postanowienia. Aby pozbyć się wyrzutów sumienia, Rebecca mogła zainteresować się literaturą na temat eutanazji, szukając filozoficznego uzasadnienia dla tego, co zrobiła. Niewykluczone, że wstąpiła nawet do organizacji aktywistów i na którymś zebraniu poznała Spencera Barghesta.

Ponieważ Samantha nie utrzymywała kontaktów z matką od śmierci Teresy, pewnie nawet nie wiedziała, że Barghest i Rebecca są parą.

Zawstydzony, że mógł zważyć w Sam, Ryan wstał z fotela stojącego nad basenem i wrócił do gabinetu.

Usiadł za biurkiem i włączył niszczarkę. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w warkot jej silnika, zgrzyt ostrzy.

W końcu wyłączył niszczarkę. Schował raport do sejfku za ruchomą płytą we wbudowanej w ścianę szafie.

Strach złapał go tak mocno w swoje kleszcze, że Ryan nie mógł się z niego wyzwolić.

12

Z biegiem lat wielkie drzewo pieprzowe prawie całkiem zarosło taras na pierwszym piętrze. W efekcie wrażenie, że jest się w domku na drzewie, było tam jeszcze większe, niż gdy się wyglądało przez okna mieszkania.

Samantha nakryła stół ogrodowy czerwonym kraciastym obrusem, porozkładała na nim białe talerze oraz sztuce i postawiła czerwony wazon z białymi różami.

Przefiltrowane przez gałęzie drzewa słońce późnego popołudnia obsypywało ją złotem, kiedy nalewała Ryanowi wykraczającego poza jej budżet caberneta sauvignon, podczas gdy on usiłował wytłumaczyć obecność opatrunku na szyi.

Po szkarłatnym zachodzie słońca, o purpurowym zmierzchu Samantha zapaliła świece w szklanych pucharach i gdy na niebie pojawiły się gwiazdy, podała kolację przy akompaniamencie muzyki celtyckiej Connie Dover.

Ponieważ pozwolił, żeby pod wpływem strachu znowu obudziły się w nim podejrzenia wobec Sam, no i zamówił raport na temat jej matki, Ryan przygotował się na to, że w towarzystwie dziewczyny będzie czuł się niezręcznie. W pewnym sensie zawiódł jej zaufanie.

Od pierwszej chwili czuł się jednak całkiem naturalnie. Niezwykła uroda Sam poprawiła mu nastrój bardziej niż wino, a doskonałe jedzenie okazało się mniej krzepiące niż nieskazitelna gładkość jej złotawej skóry.

Po kolacji, gdy wstawili już naczynia do zlewu i dopijali wino, rzuciła:

– Chodźmy do łóżka, Winky.

Wtedy Ryan przestraszył się nagle, że jednym z objawów jego choroby może być impotencja. Jednak martwił się niepotrzebnie. W łóżku przyszło mu na myśl, że seks może zakłócić pracę jego serca i wywołać kolejny atak. Ale jakoś przeżył.

Już po wszystkim, obejmując Samanthę, która złożyła głowę na jego piersi, rzekł:

– Straszny ze mną idiota.

Westchnęła.

– Dopiero teraz to sobie uświadomiłeś?

– Nie. Już wcześniej coś takiego przyszło mi do głowy.

– A co się takiego stało, że teraz sobie o tym przypomniałeś?

Gdyby przyznał się do swoich absurdalnych podejrzeń, musiałby też opowiedzieć jej o kłopotach zdrowotnych. A nie chciał jej martwić, dopóki nie spotka się z doktorem Gupta i nie pozna wagi problemu.

Zamiast tego powiedział:

– Wyrzuciłem tamte sandały.

– Te ze starych opon po recyklingu?

– Dałem się uwieść ekologicznej nazwie firmy: Green Footwear*.

* Green Footwear (ang.) – zielone obuwie.

– Jesteś cudowny, Kropka Com, ale głuptas z ciebie.

Przez dłuższą chwilę rozmawiali o błahych sprawach, które czasami są najlepszym tematem rozmowy.

Wreszcie Samantha zasnęła – złota bogini w świetle lampy – i jej obraz przed oczami Ryana zastąpiły senne wizje.

Jeden sen przechodził płynnie w drugi, aż wreszcie Ryan znalazł się w jakimś mieście w głębinach morza. Świątynie, wieże i pałace zalewało dziwne światło, które spowijało kopuły, iglice, królewskie ganki, święte przybytki, potężne babilońskie budowle. On unosił się nad podwodnymi ulicami, pogrążony w charakterystycznej dla głębokiego morza ciszy... aż usłyszał melancholijne, groźnie brzmiące niskie dźwięki. Chociaż znał ich źródło, nie śmiał go nazwać, bo to oznaczałoby, że uznaje jego istnienie.

Obudził się w przygaszonym świetle. Strach, który go przytłoczył, nie wynikał z bezpośredniego zagrożenia, ale z jakiegoś ogromnego niebezpieczeństwa, które miało nadejść w następnych tygodniach i miesiącach, i nie wiązało się z dolegliwościami fizycznymi, tylko z czymś gorszym, bezimiennym. Serce nie biło mu szybko, każde jego uderzenie przypominało jednak ruch potężnego tłoka w jakiejś wielkiej powolnej maszynie.

Chociaż w pościeli unosił się zapach Samanthy, dziewczyna wstała z łóżka, gdy Ryan spał. Był sam w pokoju.

Zegar cyfrowy na szafce nocnej pokazywał jedenastą dwadzieścia cztery. Ryan spał niecałą godzinę.

Światło dochodzące przez na wpół otwarte drzwi przypominało mu dziwny blask w podmorskim mieście z jego snu.

Wciągnął spodnie i bosy ruszył na poszukiwanie Samantha.
W połączonym z jadalnią salonie lampa z abażurem ze szklanych paciorków, stojąca przy jednym z foteli, dawała światło w kolorze brandy, rzucając cętkowany cień na podłogę.
Przedłużenie głównego pomieszczenia stanowiła kuchnia, i drzwi prowadzące stamtąd na taras, gdzie jedli kolację, były otwarte.

Świece zgasły. Noc rozświetlał tylko nikły blask księżyca, w którym gałęzie drzew wyglądały jak macki.

W ciepłym powietrzu unosiła się lekka woń pobliskiego morza i nieco mocniejsza jaśminu.

Samanthy nie było na tarasie. Jednak z tarasu na dziedziniec między garażem a domem prowadziły schody.

Słyszac dochodzące stamtąd stłumione głosy, Ryan podszedł do barierki przy schodach. Spojrzał w dół i zobaczył Samanthę – blask księżyca ujął wartości jej włosom, srebrząc je, zamiast złocić, i wydobywał perłową biel jej jedwabnego szlafroka.

Osoba, z którą rozmawiała Sam stała w cieniu, ale z tembru głosu Ryan zorientował się, że jest to mężczyzna.

Nie mógł zrozumieć słów ani z rytmu rozmowy wyczuć jej nastroju.

Jak poprzedniej nocy w składzie zastawy, kiedy próbował bezskutecznie podsłuchać szepty w kuchni, tak i teraz ogarnął go niepokój, podsuwający mu zwodnicze wizje ukrytych wymiarów i sekretnych znaczeń tego wszystkiego, co do tej pory wydawało się całkiem zwyczajne, jasne i w pełni zrozumiałe.

Ze zmiany tonu głosów Ryan wniósł, że kończą rozmowę. I rzeczywiście, mężczyzna odwrócił się od Samantha.

Nieznajomy początkowo wciąż pozostawał w mroku, ale układ cieni się zmienił. Księżyc rzucał pewne światło, ale jednocześnie zwodził i mamił, osłaniając w takim samym stopniu, jak ujawniając.

Wysoki szczupły mężczyzna, poruszający się pewnie jak ktoś wysportowany, przeciął usiany plamami cienia trawnik, kierując się w stronę alejki za garażem – jego siwe włosy ostrzyżone na punka przypominały wyszczerbioną koronę z lodu.

Spencer Barghest, rzekomy kochanek Rebecki Reach, pełen współczucia dla cierpiących, gorliwy rzecznik eutanazji, był widoczny tylko przez krótką chwilę. Blask księżyca cofnął się przed nim i wzięły go w posiadanie cienie; został zasłonięty przez gałęzie i liście drzewa pieprzowego.

Samantha odwróciła się w stronę schodów.

Ryan wycofał się na bosaka z tarasu i tyłem wyszedł przez otwarte drzwi. Odwrócił się i wybiegał z kuchni, przecinając salon.

W sypialni szybko ściągnął spodnie. Rzucił je na oparcie fotela, tak jak poprzednio, i wrócił do łóżka.

Pod prześcieradłem zdał sobie sprawę, że działał w sposób nieprzemyślany, wycofał się pod wpływem impulsu, chcąc uniknąć konfrontacji. Już z perspektywy tego krótkiego czasu nie był pewny, czy postąpił słusznie.

Udając, że śpi, słyszał, że Samantha weszła do sypialni, a szelest jedwabiu powiedział mu, że zdjęła szlafrok.

Położywszy się do łóżka, odezwała się cicho:

– Ryan?

Ponieważ nie odpowiedział, powtórzyła jego imię.

Gdyby domyśliła się, że udaje sen, mogłaby podejrzewać, że widział ją z Barghestem albo słyszał fragment ich rozmowy.

Dlatego powiedział jakby sennie:

– Uhmhhh?

Przytuliła się do niego i sięgnęła ręką tam, gdzie chciała.

Nie sądził, żeby w takiej sytuacji mógł stanąć na wysokości zadania. Ale ze zdziwieniem – i z konsternacją – stwierdził, że pożądanie przezwyciężyło niepokój wywołany podejrzeniem, iż Samantha mogłaby coś ukrywać albo go oszukiwać.

Najbardziej pociągały go w kobiecie inteligencja, poczucie humoru oraz serdeczność i czułość. Sam miała wszystkie te cechy, a nie mogła udawać pierwszych dwóch, i Ryan przestraszył się teraz, że inteligencja ułatwiałaby jej manipulację oraz wszelkie ewentualne intrygi. Zaczął się zastanawiać, czy naprawdę go kocha i chce dla niego jak najlepiej, czy od początku była nieuczciwa. Nigdy dotąd nie kochał się, mając w sercu taki uczuciowy zamęt, kiedy fizyczna namiętność pozbawiona była wszelkich głębszych uczuć. Miłość tak naprawdę nie musiałaby mieć z tym nic wspólnego.

Kiedy skończyli, Samantha pocałowała go w czoło, w brodę, w szyję. Szepnęła:

– Dobranoc, Winky. – I odwróciła się od niego, wracając na swoją stronę łóżka.

Wkrótce regularnie oddychała przez uchylone usta, co znaczyło, że zasnęła. Albo udawała, że śpi.

Ryan przyłożył dwa palce do szyi, żeby zmierzyć sobie puls.

Zdziwił się, wyczuwając powolny, spokojny rytm, który wydawał mu się kolejnym oszustwem, jak dotąd najbardziej perfidnym: jego ciało udawało, że jest zdrowe, mimo że właśnie go zawodziło.

Przez godzinę wpatrywał się w sufit, choć tak naprawdę analizował rok swojego związku z Samanthą. Próbował przypomnieć sobie zdarzenie, które – z nowego punktu widzenia – mogłoby świadczyć o mroczniejszych intencjach, niż przypisywał jej do tej pory.

Początkowo nic z jej zachowania w ciągu ostatnich miesięcy nie wydawało się w najmniejszym stopniu podejrzane. Kiedy jednak

po raz drugi przeanalizował te same sytuacje, dostrzegł cienie tam, gdzie ich wcześniej nie widział, i w każdym wspomnieniu zaczął doszukiwać się ukrytych motywów i sekretnych zakulisowych działań.

Nie potrafił wskazać nic, co mogłoby być dowodem nieuczciwości Sam, żadnych przykładów jej podwójnej gry w okresie poprzedzającym te kilka ostatnich dni, a jednak podejrzliwość zmroziła mu krew.

Zawsze niepokoiła go skłonność do paranoi, która dotknęła współczesną kulturę. Zrobiło mu się wstyd, że zwodzi samego siebie, co tak denerwowało go u innych. Owszem, stanął wobec kilku niepokojących faktów, jednak następne pod wpływem gorączkowych fantazji fabrykował już sam.

Ryan wstał po cichu z łóżka. Samantha się nie poruszyła.

Przez okno wpadało tak niewiele światła księżyca, że gdyby nie znał dobrze pokoju, nie zorientowałby się w położeniu mebli.

Jak na wpół niewidomy, ale z wyczuciem ślepca, odnalazł swoje rzeczy, ubrał się i po cichu wyszedł z sypialni. Bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

Ponieważ znał rozkład mieszkania i przyzwyczał się już do ciemności, dotarł do kuchni, nie wpadając na nic ani się nie potykając. Włączył światło nad zlewem.

Na bloczku z kartkami przy telefonie zostawił wiadomość:

„Sam, maniakalna bezsenność wróciła. Zbyt mnie nosi, żebym mógł leżeć w łóżku. Zadzwoń jutro. Całuję, Winky”.

Wrócił do domu, a tam spakował walizkę.

Pogrążony w mroku dom był cichy jak przestrzeń międzyplanetarna. Chociaż Ryan powodował tylko niewielki hałas, każdy dźwięk brzmiał jak grzmot.

Pojechał do hotelu, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy go szukać, ani z domowników, ani bliskich.

W anonimowym pokoju, na zbyt miękkim łóżku, spał przez sześć godzin tak mocno, że nic mu się nie śniło. Kiedy obudził się w sobotę rano, wciąż leżał w pozycji płodowej, w jakiej zasnął. Bolały go ręce. Najwyraźniej zaciskał je w pięści przez większość nocy.

Zanim zamówił śniadanie do pokoju, przeprowadził dwie rozmowy telefoniczne. Pierwszą z detektywem Wilsonem Mottem. Drugą – żeby zamówić jeden z odrzutowców Be2Do, którym zmierzał polecieć do Las Vegas.

14

Bezlitosne promienie pustynnego słońca przeszywały powietrze i drgający żar, który unosił się nad pasem startowym lotniska, był suchy jak oddech martwego morza.

Learjet wraz z załogą miał stać w gotowości, żeby następnego

rana odstawić Ryana z powrotem na południe Kalifornii. Czarny mercedes sedan z szoferem już czekał na niego pod terminalem dla prywatnych samolotów. Kierowca przedstawił się jako George Zane, pracownik agencji bezpieczeństwa i ochrony Wilsona Motta.

Ubrany był w czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Zamiast półbutów miał sznurowane za kostkę buty o zaokrąglonych noskach, które wyglądały, jakby były wzmocnione stalowym okuciem.

Na jego ogolonej głowie, tuż nad brwią, widniały dwie zgrubiałe jasne blizny. Wysoki, muskularny, o grubej szyi, szerokich nozdrzach i intensywnym spojrzeniu ciemnych oczu o barwie śliwki Zane wyglądał tak, jakby wywodził się od byka, a blizny na czaszce były efektem operacyjnego usunięcia rogów.

Był nie tylko kierowcą, ale także ochroniarzem i kimś więcej. Wsadził walizkę Ryana do bagażnika, otworzył przed nim tylne drzwi samochodu i podał mu telefon komórkowy.

– Dopóki pan tu jest – powiedział – proszę dzwonić z tego aparatu. Nikt pana nie namierzy.

Wykonany na zamówienie sedan niczym limuzyna wyposażony był w szybę między przednimi a tylnymi fotelami.

Ryan przez przyciemnione szyby spoglądał na łyse, pustynne góry w oddali, dopóki las hoteli i kasyn całkowicie nie przesłonił naturalnej scenerii.

Pod hotelem, w którym miał się zatrzymać, Zane zaparkował w strefie dla VIP-ów. Gdy Ryan czekał w samochodzie, szofer wniósł jego walizkę.

Po powrocie Zane otworzył drzwi wozu i podał Ryanowi klucz magnetyczny.

– Pokój tysiąc sto. To apartament. Wynajęty na moje nazwisko. Pańskie nazwisko nigdzie się nie pojawi.

Gdy odjechali spod hotelu, zadzwonił nowy telefon komórkowy i Ryan go odebrał.

Jakaś kobiety zapytała:

– Jest pan gotów zwiedzić mieszkanie Rebecki?

Rebecki Reach. Matki Samantha.

– Tak – odparł Ryan.

– Numer trzydzieści cztery, na pierwszym piętrze. Jestem już w środku.

Zakończyła rozmowę.

Poza sławnym Stripem Vegas składało się ze spalonych słońcem przedmieść. Jasne otynkowane domy odbijały bezkrwiste słońce pustyni Mohave, a w ogrodach elementem krajobrazu były głównie kamienie, skały, kaktusy i inne sukulenty.

Liście palm były suche. Drzewa oliwne wydawały się bardziej szare niż zielone.

Wstęgi upału, unoszące się nad wielkimi parkingami, sprawiały,

że galerie handlowe drgały i zmieniały kształt jak podwodne miasto z jego niepokojącego snu.

Nawiewane przez wiatr piasek, wyschnięta roślinność i śmieci wdzierały się na drogi tej niezagospodarowanej krainy.

•••

Oasis, ekskluzywny rozległy jednopiętrowy apartamentowiec, był kremową konstrukcją o dachu z turkusowych płytek. Front, za którym krył się duży dziedziniec, wyłożono mozaiką przedstawiającą karawanę wielbłądów w stylu art déco, harmonizującą z barwą dachu.

Za kompleksem znajdowały się garaże oraz parking dla gości, ocieniony bugenwillami, które pięły się po treliach.

Zane opuścił szybę między przednimi a tylnymi fotelami i otworzył okna, a potem wyłączył silnik.

– Lepiej, żeby poszedł pan sam. Proszę zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

Wysiadłszy z samochodu, Ryan zapragnął, żeby natychmiast do niego wrócić i odwołać tę podejrzaną operację.

Jednak wspomnienie Spencera Barghesta stojącego z Samanthą pod drzewem pieprzowym, szopy jego włosów, które wydawały się jeszcze bielsze w blasku księżyca, uzmysłowiło Ryanowi, czego musi się dowiedzieć i z jakiego powodu.

Za tylną bramą znajdował się kryty chodnik prowadzący na dziedziniec, ale można ją było otworzyć tylko kluczem. Musiał więc pójść do ogólnodostępnego wejścia.

Frontowa brama z kutego żelaza przedstawiała palmę i została tak wykończona, żeby wyglądała jak pokryta patyną.

Na środku dziedzińca znajdował się duży basen i spa zwieńczone kopułą z turkusowych płytek. W gorącym powietrzu unosiły się lekkie opary chloru, które przeniknęły do nozdrzy Ryana.

Kilku opalonych na brąz i błyszczących od olejku mieszkańców spoczywało na leżakach, prosząc się o czerniaka. Nikt z nich nawet na niego nie spojrział.

Szeroki taras okalający apartamenty na pierwszym piętrze stanowił dach werandy wokół parteru. Wśród bujnych zadbanych roślin dominowały palmy o różnej wysokości, które skutecznie zasłaniały poszczególne skrzydła budynku.

Ryan wszedł po zewnętrznych schodach i odnalazł apartament numer trzydzieści cztery. Drzwi do niego były uchylone i otworzyły się szerzej, gdy się do nich zbliżył.

W holu czekała na niego atrakcyjna brunetka o ustach przywodzących na myśl miesiąc miodowy i szarych oczach w kolorze nagrobkowego granitu, które z kolei kojarzyły się z pogrzebem.

Pracowała dla Wilsona Motta. Choć bardzo kobieca, sprawiała wrażenie, że potrafiłaby obronić swoją cnotę, jeżeli jeszcze ją zachowała, i zostawić na twarzy potencjalnego napastnika odcisk swojego obcasa.

Zamykając drzwi za Ryanem, powiedziała:

– Rebecca pracuje jako krupier na dziennej zmianie. Będzie w kasynie jeszcze przez kilka godzin.

– Zauważyła pani coś niezwykłego?

– Nie patrzyłam, proszę pana. Nie wiem, czego pan szuka. Jestem tu, żeby stać przy drzwiach i szybko pana stąd zabrać.

– Jak ma pani na imię?

– Gdybym panu powiedziała, i tak byłoby nieprawdziwe.

– Dlaczego?

– Bo to, co tu robimy, jest nielegalne. Wolę występować incognito.

Po jej zachowaniu domyślił się, że nie podoba jej się ani to zadanie, ani on sam. Ale oczywiście to jego życie było w niebezpieczeństwie, nie jej.

Klimatyzacja, mimo nieobecności Rebecki, nastawiona była na dwadzieścia jeden stopni Celsjusza, co świadczyło, że kobieta żyje na wysokiej stopie.

Ryan zaczął poszukiwania od kuchni, oczekując niemal, że znajdzie w spiżarni cały asortyment trucizn.

15

Początkowo, gdy myszkował po mieszkaniu Rebecki Reach, Ryan czuł się jak włamywacz, choć nie miał zamiaru niczego ukraść. Paliła go zaczerwieniona twarz, a poczucie winy spowodowało szybsze bicie serca.

Skończywszy przeszukiwanie kuchni, jadalni i salonu, doszedł do wniosku, że nie może sobie pozwolić na wstyd, wyrzuty sumienia ani żadne inne silne emocje, które mogłyby wywołać atak. Później już działał z niemal kliniczną obojętnością.

Po wystroju wnętrza zorientował się, że Rebecca nie należy do osób ceniących ciepło domowego ogniska. Minimalistyczne umeblowanie było w nijakich odcieniach beżu i szarości. Jedyne obrazy – abstrakcyjna pustka – wisiał w salonie; w jadalni nie było żadnego.

Brak jakichkolwiek pamiątek czy bibelotów wskazywał, że nie jest sentymentalna.

Kurzu nie dostrzegł, a alfabetyczne ustawienie słóczków z przyprawami w kuchni i symetria sześciu kolorowych poduszek na kanapie wskazywały, że Rebecca lubi porządek i czystość. Prawdopodobnie była osobą poważną i surową.

Gdy Ryan wkroczył do gabinetu, zadzwonił jego nowy telefon.

Na ekranie wyświetlacza nie pojawiła się żadna informacja o numerze, z którego telefonowano.

Kiedy odebrał, nikt się zgłosił, ale gdy powtórzył „Halo?“, usłyszał kobiecy głos nucący melodią. Nie zidentyfikował piosenki, ale śpiew był miły, melodyjny.

– Kto dzwoni? – zapytał.

Głos stał się cichszy, słabszy, ale nadal robił kojące wrażenie; słabł i słabł, aż w końcu umilkł.

Wolną ręką Ryan dotknął bandaża na szyi, w miejscu, gdzie poprzedniego dnia wprowadzono mu do żyły cewnik.

Chociaż kobieta nie zaśpiewała ani słowa, Ryan, być może podświadomie, rozpoznał jej głos – albo wydawało mu się, że rozpoznaje – bo przed oczami stanął mu obraz szmaragdowozielonych oczu i gładkiej ciemnej cery Ismay Clemm, pielęgniarki ze szpitalnego laboratorium diagnostyki kardiologicznej.

Odczekawszy minutę, żeby kobieta mogła odezwać się znowu, przerwał połączenie i z powrotem wsadził telefon do kieszeni spodni.

Przypomniało mu się, co Ismay powiedziała do niego, gdy przysnął, dochodząc do siebie po środkach uspokajających: »Słyszysz go, prawda, chłopcze? Tak, słyszysz. Nie słuchaj, chłopcze». Ogarnęły go złe przecucia i przez chwilę miał ochotę uciec z tego mieszkania. Nie powinien tu przebywać.

Głęboko wciągając powietrze i wydychając je powoli, starał się uspokoić.

Przybył do Las Vegas, żeby dowiedzieć się, co mu zagraża, sprawdzić, czy powinien się bać tylko natury czy i siatki spisowców. Od tego, czy doprowadzi swoje dochodzenie do końca, zależało jego życie.

Gabinet Rebecki okazał się równie oszczędnie umeblowany i bezosobowy jak reszta pomieszczeń. Błat biurka był pusty.

Na półkach stała z setka książek w twardych oprawkach. Nie była to beletrystyka, wszystkie dotyczyły samodoskonalenia i inwestowania.

Z dokładniejszej analizy wynikało, że żadna z książek nie oferowała poważnego programu samorealizacji ani mądrego zarządzania pieniędzmi. Mówiły raczej o mistycznej sile pozytywnego myślenia, woli odniesienia sukcesu, zdradzając taki czy inny tajemny sekret, który gwarantował rewolucję w sprawach finansowych i w całym życiu.

Krótko mówiąc, były to książki w stylu „jak szybko się wzbogacić”. Obiecywały wielkie powodzenie przy niewielkim nakładzie pracy.

To, że Rebecca miała tak wiele pozycji o podobnej tematyce, sugerowało, że żyła marzeniami o bogactwie. Teraz, w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, mogła być zgorzkniała na skutek życiowych rozczarowań czy frustracji i... niecierpliwa.

Żadna z książek nie zalecała, żeby wydać córkę za mąż za bogatego człowieka i otruć go w celu przejęcia jego majątku. Taki plan mógł powziąć tylko ktoś prymitywny, i to bez pomocy książki.

Ryan natychmiast pożałował, że wyciągnął taki grubiański wniosek. Podejrzewając Rebecę o tego rodzaju podłość, był nie-

sprawiedliwy wobec Samantha.

Oświadczył się Sam już przed wieloma miesiącami. Gdyby brała udział w spisku mającym na celu zamordowanie go dla pieniędzy, od razu przyjęłaby oświadczyzny. I byłiby już małżeństwem.

W jednej z szuflad biurka Ryan znalazł osiem czasopism.

Na samej górze leżał ten numer „Vanity Fair”, w którym ukazał się artykuł Samantha na jego temat.

W każdym z siedmiu pism, pochodzących z okresu ostatnich dwóch lat, znajdowały się artykuły Samantha.

Sam być może zerwała stosunki z matką, ale Rebecca najwyraźniej z zainteresowaniem śledziła karierę córki.

Przerzucił wszystkie te publikacje, szukając jakiegoś listu, notatki, samoprzylepnej kartki, czegokolwiek, co by dowodziło, że to Sam przesłała czasopisma matce. Ale jego poszukiwania były bezskuteczne.

W dobrze wyposażonej łazience i dużej sypialni nie znalazł nic ciekawego. Jeśli chodzi o Rebeccę, Ryan dowiedział się wystarczająco dużo, żeby jego podejrzliwość zamieniła się w nieufność. Bezimienna pracownica Wilsona Motta czekała w holu. Po przygotowaniu drzwi do zamknięcia na samozatraskujący się zamek wyszła z mieszkania razem z Ryanem.

Był zaskoczony, gdy wzięła go za rękę, uśmiechając się, jakby byli parą zakochanych idących na lunch i popołudniową randkę. Prawdopodobnie wyznając teorię, że nikt nie będzie ich podejrzewał, jeśli zwrócą na siebie uwagę, opowiadała wesoło o filmie, który ostatnio widziała.

Gdy szli otwartym tarasem wokół pierwszego piętra i schodzili po schodach na dziedziniec, Ryan dwukrotnie mruknął coś w odpowiedzi. Za każdym razem kobieta zaśmiała się z zachwytem, jakby był najdowcipniejszym facetem na świecie.

Zarówno jej głos, jak i śmiech były melodyjne, a w oczach błyskały chochliki.

Kiedy przeszli przez zaśniedziałą bramę frontową i znaleźli się na chodniku przed Oasis, jej głos stracił melodyjną tonację. Jej pełne usta o uniesionych dotychczas kącikach przybrały płaską linię, a szare oczy odzyskały kamienny wyraz.

Puściła jego rękę i otarła wnętrze dłoni o spódnice.

Z zażenowaniem Ryan uświadomił sobie, że miał spoconą dłoń, gdy go za nią wzięła.

– Zaparkowałam przy sąsiedniej przecznicy – powiedziała. – George odwiezie pana do hotelu.

– A co ze Spencerem Barghestem?

– Jest teraz w domu. Mamy powody przypuszczać, że wychodzi wieczorem. Wtedy zabierzemy pana do jego mieszkania.

Patrząc za nią, gdy oddalała się chodnikiem, zaczął się zastanawiać, jaka jest ta kobieta, kiedy nie pracuje dla Wilsona Motta.

Czy o jej prawdziwej naturze świadczył zimny wyraz szarych oczu

– czy melodyjny śmiech i chochliki w oczach?

Nie był już pewny, czy potrafi właściwie oceniać ludzi.

Wrócił do mercedesa, w którym czekał na niego George Zane.

W drodze powrotnej do hotelu świat widziany przez przyciemnione szyby lekko, ale wyraźnie zmienił się przed jego zmęczonym wzrokiem – spłaszczony przez blask słońca, wysklepiony przez cień, o każdej powierzchni twardszej, niż zapamiętał, o każdej krawędzi ostrzejszej – aż Ryan zaczął odnosić wrażenie, że nie jest to ta ziemia, na której się urodził.

16

W hotelu, korzystając z własnego telefonu komórkowego, Ryan zadzwonił do Samantha zgodnie z tym, co obiecał w tych kilku liniijkach napisanych na kartce w kuchni poprzedniej nocy.

Poczuł ulgę, gdy zgłosiła się jej poczta głosowa. Powiedział, że musiał polecieć do Denver w nagłej sprawie biznesowej i że wróci we wtorek.

Na koniec dodał, że ją kocha, i wierzył, że mówi prawdę.

Chociaż rzadko pijał wino przed kolacją, razem z lunchem zamówił do pokoju małą butelkę lancaster cabernet sauvignon.

Zamierzał pójść do kasyna, w którym pracowała Rebecca Reach. Chciał jej się przyjrzeć osobiście.

Mimo że nie zamierzał grać przy jej stole, uznał, że nierozsądnie było przyglądać się jej nawet z daleka. Jeśli czytała artykuł córki w „Vanity Fair”, mogła też widzieć zdjęcia Ryana.

Może Rebecca pozostawała w kontakcie z córką, wbrew temu, co mówiła Samantha, a w takim wypadku nie powinna zauważyć Ryana, zwłaszcza że miał być w tym czasie w Denver.

Po lunchu wywiesił na drzwiach pokoju tabliczkę z napisem:

„Nie przeszkadzać”. Odprężony dzięki działaniu wina wyciągnął się w ubraniu na łóżku.

Ostre pustynne słońce próbowało wdrzeć się do środka przez zaciągnięte zasłony, ale w pokoju było chłodno, ciemno i sennie.

Znowu przyśniło mu się podwodne miasto. Upiorne światło rozjaśniało otchłań, rzucając zniekształcone cienie na świątynie, wieże, pałace, altany z rzeźbionym bluszczem i kamiennymi kwiatami.

Unosząc się dziwnie oświetlonymi, a mimo to ciemnymi ulicami, poruszał się bardziej jak pływak niż duch. Niebawem uzmysłowił sobie, że podąża za jakimś widmem, jakąś jasną sylwetką.

Kiedy ta istota się obejrzała, zobaczył, że to Ismay Clemm;

miała na sobie strój pielęgniarki i dlatego była tak jasna. Ryan chciał jej zadać jakieś ważne pytanie, ale nie mógł go sobie przypomnieć. W całym śnie ani razu nie zbliżył się do niej na tyle, żeby mogła usłyszeć jego głos przez zatopione ulice.

Gdy się obudził, słońce nikło już za kotarami. W ciemności

meble wyglądały jak szare wyspy.

Czy obudziło go lekkie natarczywe stukanie, czy nie, Ryan słyszał je teraz. Dezorientacja towarzysząca nagłemu przebudzeniu ze snu powoli go opuściła i zdołał zidentyfikować źródło dźwięku, który najwyraźniej dochodził z sąsiedniego pokoju.

Włączył lampę w salonie i stukanie zwabiło go do drzwi.

Przyłożył oko do wizjera, który dawał szerokokątny obraz korytarza, ale nikogo nie zobaczył.

Ryan był już całkowicie przytomny i miał wrażenie, że miarowe „stuk, stuk, stuk” dobiega od okna salonu, przez które widać było rozległą panoramę Stripu.

Na horyzoncie krwawe słońce napierało na poszarpane góry, wezbrało i pękło, spryskując czerwienią niebo na zachodzie.

Tu, na jedenastym piętrze, nic nie dobijało się do okien oprócz pulsujących świateł i migających neonów kasyn, które wraz z zapadnięciem nocy wywoływały nastrój podniecenia i fałszywym blaskiem wabiły bogate tłumy na ulicach, żeby doprowadzić je do ruiny.

Odwracając się od okna, Ryan usłyszał ciche pukanie dochodzące z innej strony. Ruszył za nim do drzwi łazienki, które wcześniej zatrzasnął za sobą.

Drzwi można było zamknąć na zasuwkę tylko od środka. Nie mogło tam być nikogo, kto by pukał, żeby go wypuścić.

Niepewnie, z nasilającym się poczuciem, że coś mu zagraża, Ryan wkroczył do łazienki, włączył światło i zamrugnął oślepiony odbitym w lustrach blaskiem.

Nowa dźwięczna nuta znanego mu dźwięku sugerowała, że może on pochodzić z rury ściekowej. Otworzył drzwi prysznicza i pochylił się nad każdą z dwóch umywalek, ale wciąż nie potrafił zidentyfikować jego źródła.

Przyciągnięty z powrotem do sypialni Ryan odniósł wrażenie, że stukanie dochodzi z wielkiego plazmowego telewizora, choć do tej pory ani razu go nie włączał.

„Nie słuchaj, chłopcze”.

Nagłe pogorszenie stanu zdrowia spowodowało, że stał się bardzo słaby psychicznie. Zaczął się zastanawiać nad swoją równowagą umysłową.

Zadzwoił leżący na szafce nocnej telefon komórkowy, który mu pożyczono.

Ryan odebrał i usłyszał głos George'a Zane'a:

– Droga wolna, może pan wybrać się z drugą wizytą. Za pół godziny będę czekał w samochodzie przed hotelem.

Ryan rozłączył się, odłożył telefon i czekał, aż znowu rozlegnie się pukanie.

Uporczywa cisza nie uspokoiła jego nieokreślonych obaw. Nie wpuścił nikogo do apartamentu, ale miał wrażenie, że nie jest już sam.

Powściągając irracjonalną chęć zajrzenia we wszystkie kąty i do wszystkich szaf, wziął szybki prysznic. Kiedy na szklanych drzwiach osiadła para, przetarł ją, żeby mieć widok na łazienkę. Ubrany i przygotowany do wyjścia nie czuł się ani odświeżony, ani mniej zaniepokojony możliwością, że jeszcze ktoś przebywa w apartamencie. Pod wpływem manii prześladowczej przeszukał jednak wszystkie szafy i zajrzał za meble.

Próbował przesunąć drzwi prowadzące na balkon. Były zablokowane. Nikt nie mógł tędy wejść.

W przestronnym foyer zerknął na swoje odbicie w lustrze nad komodą. Chociaż niemal oczekiwał, że ktoś się za nim pojawi, nie zobaczył nikogo.

Spencer Barghest, dwukrotnie oskarżony w Teksasie o morderstwo i dwukrotnie uniewinniony, mieszkał na osiedlu jednopokojowych domków klasy średniej.

George Zane przejechał obok wskazanego adresu, żeby zaparkować przecnicę za domem Barghesta; Ryan ruszył tam pieszo.

Ciepłe nocne powietrze było tak suche, że nie unosił się w nim zapach drzew ani kwitnących krzewów, tylko zwyczajna alkaliczna woń pustyni, na której teren wdzierało się miasto, choć nad nią nie zatriumfowało.

Reflektory zewnętrzne, umieszczone wysoko na drzewie herbacianym, rzucały na chodnik od frontu cienie tak suchych liści, że odnosiło się wrażenie, iż zaraz zaczną trzeszczeć pod stopami.

W zasłoniętych oknach widać było światło i bezimienna brunetka o miękkich ustach i kamiennym wzroku powitała go, zanim zdążył nacisnąć dzwonek.

Już w środku, gdy kobieta zamknęła za nim drzwi, Ryan zapytał:

– Ile mam czasu?

– Co najmniej trzy, cztery godziny. Pojechał na kolację z Rebeccą.

– Tyle czasu zajmuje im kolacja?

– Kolacja i tańce w pozycji horyzontalnej już u niej.

Według naszych informacji Barghest to viagra-kowboj. Nie ma dnia, żeby jej nie łyknął i sobie nie pojeździł.

– Doktor Śmierć jest takim donżuanem?

– Za dużo powiedziane. To zwykły dziwkarz.

– A jeśli przyjadą tutaj?

– Nie przyjadą. Może kilka szurniętych kobiet ten wystrój podnieca, ale niewiele. Rebecca do nich nie należy.

W salonie pokazała mu, co ma na myśli. Poza meblami, których należało się spodziewać, byli w nim dwaj martwi mężczyźni i jedna martwa kobieta, wszyscy nadzy.

Ryan czytał w gazetach o wystawach sztuki nekromańskiej, które objeżdżały renomowane muzea, galerie i uczelnie na całym świecie, i od razu zorientował się, że miał przed oczami bynajmniej nie rzeźby, nie zwykle odwzorowania zmarłych ludzi. Były to zakonserwowane z wielkim staraniem zwłoki.

Zwłoki ludzkie poddawano działaniu roztworów antybakteryjnych, środków wysuszających i konserwujących. Później były zanurzane w poliuretanie, który pokrywał je hermetyczną powłoką zapobiegająca rozkładowi, i przywiązywane do rozmaitych konstrukcji, utrzymujących je w różnych pozycjach.

Jeden z mężczyzn najwyraźniej umarł na jakąś wyniszczającą chorobę, bo był bardzo chudy. Wąskie usta miał mocno zaciśnięte. Z jednym okiem otwartym, a drugim zamkniętym sprawiał wrażenie, jakby brakowało mu odwagi, żeby stawić czoło zbliżającej się do niego śmierci.

Drugi mężczyzna wyglądał zdrowo; trudno było się domyślić przyczyny jego zgonu. Wydawał się niemal żywy, poza tym, że jego powleczone poliuretanem głowa błyszczała jak polany tłuszczem świeżecznym indyk.

Kobieta, w średnim wieku, zmarła najwyraźniej po mastektomii, bo okropne blizny na jednej z piersi nie zdążyły się zagoić. Podobnie jak mężczyźni miała ogoloną głowę.

Jej niebieskie oczy spoglądały na Ryana ze wstydem i przerażeniem, jakby była świadoma tych okrucieństw, jakim poddano ją po śmierci.

Odzyskawszy mowę, Ryan zapytał:

– Czy władze o tym wiedzą?

– Każda... z tych osób zgodziła się przekazać Barghestowi swoje ciało po śmierci... albo zrobiły to ich rodziny. A on wystawia je przy różnych okazjach.

– Żadnych zagrożeń dla zdrowia?

– Specjaliści twierdzą, że nie, żadnych.

– Ale na pewno nie służy to niczyjemu zdrowiu psychicznemu.

– To wszystko już zostało rozpatrzone. Sądy uważają, że to sztuka, wypowiedź polityczna, element antropologii kultury, służy edukacji, jest modne, cool, zabawne.

Zdegustowany nie tym, że znajduje się w towarzystwie zmarłych, ale dlatego, że uważał wykorzystywanie ich zwłok za znieważanie godności ludzkiej, Ryan odwrócił wzrok.

– Kiedy znowu zaczniemy karmić chrześcijanami lwy? – zapytał.

– Bilety do kupienia od najbliższej środy.

Wróciła do przedpokoju, żeby mógł sam obejść dom.

Z salonu odchodził korytarz, a na jego końcu lśnił czwarty trup, oświetlony reflektorem punktowym.

Ten człowiek z kolei musiał zginąć w wypadku albo w wyniku

ciężkiego pobicia. Lewe oko w pokiereszowanej twarzy miał zapuchnięte, a prawą rękę czerwoną od krwi. Kość policzkowa została strzaskana. Przednia część czaszki pękła na pół i jedna z płaszczyzn przemieściła się w stosunku do drugiej.

Ryan zaczął się zastanawiać, czy w czaszce pozostał mózg, czy został usunięty. I co się stało z narządami wewnętrznymi. Nie orientował się tak dobrze w procesie konserwacji ciała.

Zaczął oswajać się z tą barbarzyńską „sztuką”, która wydawała mu się tak samo odrażająca jak na początku, ale zaciekawienie i coś w rodzaju mrocznej fascynacji spowodowały, że nie odczuwał współczucia ani oburzenia.

Powiedział sobie, że reaguje na te potworności nie apatią, nawet nie obojętnością, ale niezbędnym stoicyzmem. Gdyby nie stłumił współczucia dla tych ludzi i odrazy wobec tego, co zrobiono z ich szczątkami, nie zdołałby kontynuować poszukiwań, które stanowiły cel jego wizyty.

W sypialni zastał zmarłą kobietę w pozycji siedzącej. Jej sugestywna poza i intensywność martwego spojrzenia tak poraziły Ryana, że bardzo pobieżnie rozejrzał się po pokoju i przyległej szafie ściennej.

W domowym biurze Barghesta Ryan dokonał tylko jednego znaczącego okrycia, które mogło mieć związek z jego sytuacją. Na półce, wśród zwykłych książek, znalazł dwa segregatory zawierające wysokiej jakości kolorowe zdjęcia formatu osiem na dziesięć cali. Zdjęcia twarzy.

Każda z nich była pozbawiona wyrazu, ani jedna para oczu nie patrzyła w obiektyw ani nigdzie indziej. Były to twarze zmarłych. Wszystkie fotografie znajdowały się w przezroczystych foliowych koszulkach. Na każdej z nich przyklejona była karteczka jakby z numerem akt, wypisanym ręcznie.

Ryan przypuszczał, że ludzie ci – albo ich rodziny – zwrócili się do Barghesta, aby asystował przy ich odejściu z tego świata, samobójstwie czy, w przypadku niesprawnych umysłowo, podaniu jakiejś śmiertelnej, ale niewykrywalnej substancji.

Brak nazwisk i dat śmierci sugerował, że w ocenie Barghesta te zdjęcia mogły stanowić dowód przeciwko niemu, mimo obecnej tolerancji społecznej dla tego rodzaju miłosierdzia, które tak skwapliwie oferował.

Z ulgą stwierdziwszy, że w tym pokoju nie ma żadnego trupa, który by go obserwował, Ryan usiadł z segregatorami przy biurku. Nie wiedział, dlaczego zmusza się do studiowania tych wszystkich martwych twarzy, ale intuicja podpowiadała mu, że ta próba wytrzymałości zostanie nagrodzona.

Trofea Barghesta były różnej płci, różnego wieku i różnych ras. Ryan był zaskoczony, gdy przyszło mu do głowy to słowo, „trofeum”, ale obejrzawszy pierwszą dziesiątkę twarzy, doszedł do wniosku, że nie znajduje lepszego.

Kilkakrotnie oczy obiektów jakby zastygły otwarte w momencie śmierci. Czasami jednak przytrzymały je małe kawałki taśmy przyklejone do powiek i brwi.

Ryan wolał nie zastanawiać się, dlaczego otwarte oczy były tak ważne dla Barghesta. W nagłym przeblysku świadomości zrozumiał jednak, że zwolennicy eutanazji upajają się każdym spojrzeniem zmarłej osoby z fascynacją gwałciciela, który zmusza swoją ofiarę, aby patrzyła mu w oczy, że każde z tych zdjęć ma walor jakby pornograficzny.

Album nagle wydał mu się oślizgły, odłożył go więc.

Odsunął się wraz z fotelem od biurka, pochylił i zwiesił głowę.

Oddychając przez usta, próbował powstrzymać falę mdłości.

Serce Ryana nie przyspieszyło bicia, ale każde jego uderzenie było jak napływająca fala, która załamywała się w jego piersi.

Podłoga unosiła się i opadała, jakby się na niej kołysał, a cichy świst przypominał krzyk mew w oddali, choć Ryan uświadomił sobie, że to tylko jego zduszony oddech.

Wewnętrzne fale przychodziły setami, tak samo jak prawdziwe fale na morzu, niektóre większe, inne mniejsze, z przerwami.

Wiedział, że nieregularna siła uderzeń i zakłócenia rytmu są preludium do ataku.

Przyłożył dłoń do piersi, jakby mógł w ten sposób uspokoić serce.

Gdyby Ryan umarł w tym miejscu, agenci Wilsona Motta raczej zostawiliby jego ciało za biurkiem, niż ryzykowali próby wytlumaczenia, dlaczego znalazł się wraz z nimi w obcym mieszkaniu. Gdyby zastał go tu Doktor Śmierć, mógłby skończyć jako jeszcze jeden eksponat w jego galerii zwłok. Nagi, zakonserwowany i obłany poliuretanem, w upokarzającej pozycji, byłby ozdobą któregoś z pustych zakątków domu, a tym samym przedmiotem uwagi Spencera Barghesta i jego niecných zabiegów.

18

Czy to dzięki sile woli, czy za sprawą łaski boskiej, Ryan przeżył atak i po kilku minutach poczuł, że jego serce odzyskuje zwykły rytm i normalną siłę uderzeń.

Suche chłodne powietrze w domu Barghesta pozbawione było zapachu, ale miało lekki metaliczny posmak. Rezygnując z dociekań, co może stanowić jego źródło, Ryan przestał oddychać przez usta.

Usiadł prosto na fotelu biurowym i ponownie przysunął się z nim do biurka. Po chwili wahania otworzył pierwszy z segregatorów na zdjęciu, które studiował, zanim zebrało mu się na wymioty. Ciągłe kierując się intuicją, z ponurą determinacją przejrzał wszystkie fotografie do końca. Jego cierpliwość została wreszcie nagrodzona, kiedy zobaczył trzecią twarz w drugim segregatorze.

Samantha. Powieki przyklejone taśmą do brwi, pełne usta lekko uchylone, jakby westchnęła z zadowoleniem po zamknięciu migawki, która utrzymała jej obraz.

Oczywiście, nie była to Samantha, tylko Teresa, jej siostra bliźniaczka. Przed śmiercią długo pozostawała w stanie wegetatywnym, po wypadku samochodowym wiele miesięcy leżała w łóżku i to odbiło się na jej urodzie. Chociaż bardzo blada, Teresa nadal jednak była bardzo ładna, cierpienie przydało jej eterycznego blasku, delikatnej niezemskiej aury charakterystycznej dla mężczyzny, niemal świętej z obrazu dawnego mistrza.

Najwyraźniej Barghest znał Rebeccę już przed sześcioma laty. Musiał być obecny podczas śmierci Teresy.

Samantha, jak sama mówiła, też była przy łóżku siostry w tych ostatnich godzinach. Nigdy jednak nie wspomniała o Bargheście. Rzadko mówiła o zmarłej siostrze bliźniaczce. Ale było to zrozumiałe i w żaden sposób nie mogło budzić podejrzeń. Na pewno wciąż cierpiała po jej stracie.

Opowiedziała mu tragiczną historię Teresy zaledwie przed kilkoma dniami, pod poziomkowym drzewem. Wcześniej Ryan sądził, że jej siostra zginęła w wypadku albo zmarła wkrótce po nim.

I znowu milczenie Sam nie stanowiło żadnego dowodu poza tym, że wciąż bolała nad śmiercią Teresy.

Głowa kobiety ze zdjęcia spoczywała na poduszce. Jej złociste włosy wyszczotkowano i ułożono wokół twarzy z wyraźną troską. W zestawieniu z tymi włosami taśma powstrzymująca niewidzące oczy przed zamknięciem była zniewagą, a nawet gwałtem. Niedawno serce Ryana waliło głośno i nieregularnie, ale teraz uspokoiło się i biło miarowo. W domu panowała cisza, podobnie jak poza nim, na zewnątrz, jakby wszyscy ludzie w Las Vegas zapadli naraz w głęboki sen albo przemienili się w proch, jakby wszystkie koła przestały się obracać, a głośne urządzenia mechaniczne zostały pozbawione zasilania, jakby nocne ptaki nagle nie mogły unieść skrzydeł ani zaśpiewać, jakby wszystkie pełzające i wijące się stworzenia ogarnął nagle paraliż, a w powietrzu zapanał całkowity bezruch, jakby wszystkie powiewy wiatru, drobne wiry, bryza ustały. Czas zatrzymał się na zegarach, które przestały tykać.

Czy ta cisza była rzeczywista, czy wyimaginowana, Ryanowi ten moment wydał się tak niezwykle, że miał ochotę krzyknąć i ją zakłócić, zanim świat skamienieje na zawsze.

Nie wydał jednak żadnego dźwięku, bo czuł, że ta martwota ma jakiś sens, że prawda czeka na odkrycie.

Można było odnieść wrażenie, że źródłem ciszy jest leżące przez Ryanem zdjęcie, że bije ona z niego i zalewa świat, jakby twarz Teresy miała moc pozwalającą uspokoić wszelkie stworzenie i przyciągnąć uwagę Ryana. Podświadomość nakazała mu: „Patrz,

obserwuj, odkrywaj”. W tym wizerunku kryło się coś przerażającego, jakaś wstrząsająca tajemnica, którą przeoczył i która mogła go uratować.

Przyjrzał się martwemu spojrzeniu, zastanawiając się, czy odblask światła i cień w jej oczach mogłyby mu zdradzić, gdzie umarła i kto był przy jej śmierci, albo coś jeszcze, co wyjaśniłoby obecne śmiertelne zagrożenie, w którym się znalazł.

Ale te odbicia były zbyt drobne. Mrużenie oczu nie mogło przekształcić ich w obraz, który by coś mówił.

Jego wzrok przesunął się po kształtnych policzkach dziewczyny, pięknych liniach nosa, pełnych, idealnie zarysowanych ustach. Z uchylonych warg nie wydobywał się oddech, ale niemal spodziewał się, że usłyszy jakiś wewnętrznym zmysłem te kilka słów, które wyjaśnią tajemnicę jego przerośniętego serca i odsłonią przed nim przyszłość.

Przestraszył go nagły ruch na obrzeżach pola widzenia.

Uniósł głowę, przygotowany na to, że jeden z pokrytych błyszczącą powłoką trupów uwolni się od stelaża i podejdzie do niego.

Tymczasem do gabinetu weszła z holu bezimienna brunetka i jej głos przerwał zaklętą ciszę:

– Nie należę do bojaźliwych, ale to miejsce wywołuje u mnie ciarki.

– U mnie też.

Wysunął zdjęcie Teresy z przezroczystej koszulki, odłożył je i zamknął segregator.

– Zauważy jego brak – ostrzegła go brunetka.

– Może i zauważy. Nie obchodzi mnie to. Niech ma o czym myśleć.

Odstawił oba segregatory na półkę tam skąd je wyjął.

Brunetka oparła się o framugę drzwi i założyła ręce na piersi.

– Nasz człowiek ich obserwuje – powiedziała. – Zjedli kolację.

Teraz są w jej mieszkaniu.

Musiała mieć ze trzydzieści, najwyżej trzydzieści pięć lat, ale sprawiała wrażenie starszej. Biła od niej pewność siebie, bardziej wynikająca z mądrości niż dumy.

– Pozwoliłaby mu pani? – zapytał Ryan.

– Na co bym pozwoliła?

– Żeby panią dotknął.

Jej oczy nie przypominały już płyty granitu, ale raczej wał obronny wokół zamku, który tylko głupiec próbowałby sforsować.

– Odstrzeliłabym mu fiuta – odparła.

– Wierzę.

– Wyświadczyłabym przysługę ludzkości.

Ryana zastanowiło coś innego.

– Dlaczego więc Rebecca mu na to pozwala?

– Coś jest z nią nie tak.

– Co takiego?

– I nie tylko z nią. Połowa świata jest urzeczona śmiercią.

– Ja nie.

Jakby rzucając mu milczące oskarżenie, brunetka spojrzała na zdjęcie Teresy, które leżało na biurku.

– To tylko dowód – wyjaśnił Ryan.

– Na co?

– Jeszcze nie wiem.

Wcześniej przeszukał biurko. Wrócił teraz do szuflady, gdzie znajdowały się materiały piśmiennicze, i wybrał kopertę o wymiarach dziewięć na dwanaście cali, do której schował fotografię.

– No to skończyłem – oświadczył.

Wyszli razem z domu, wyłączając światła i udając, że nie nasłuchują kroków zmarłych za sobą.

W holu, przy panelu systemu alarmowego, kobieta powiedziała:

– Gdy tu przyszedłem, alarm był włączony. Muszę go ponownie uruchomić.

Gdy wstukiwiała kod, który jakimś sposobem знаła, Ryan zapytał:

– Jak udało się pani go wyłączyć, tak żeby nie zaczął wyć?

– Kilka małych narzędzi i lata praktyki.

Narzędzia były widocznie takich rozmiarów, że mieściły się w jej torebce, bo nic innego przy sobie nie miała.

– Proszę zostać ze mną – rzuciła na zewnątrz – i minąwszy zwieszające się gałęzie drzewa herbacianego, ruszyła chodnikiem na południe – Zaparkowałam za następną przecznicą.

Wiedział, że potrzebowała go do ochrony mniej więcej tak jak potężny George Zane.

Tu, kilka mil od rozświetlonych kasyn, na niebie widać było gwiazdy.

Jak wszystkie skupiska ludzkie na pustyni Mohave, niezależnie od wielkości i historii, tak i to wydawało się wieść kruchą egzystencję. Istniejący tu niegdyś ocean wycofał się tysiące lat temu, pozostawiając po sobie wielki obszar piachu, ale pustynia nie była bardziej wieczna od istniejących tu przed nią wód morskich, a miasto zdawało się o wiele bardziej efemeryczne niż ona.

– Cokolwiek dzieje się w pańskim życiu – powiedziała kobieta

– to nie moja sprawa.

Ryan nie oponował.

– Znając zasady prowadzenia firmy przez Wilsona Motta, zostałabym wywalona, gdybym powiedziała choć jedno słowo więcej niż do tej pory.

Zaciekawiony, dokąd to może prowadzić, Ryan zapewnił ją:

– Nie mam powodu powtarzać mu tego, co usłyszę od pani.

Po chwili milczenia wyrzuciła z siebie:

– Jest pan nawiedzony.

– Nie wierzę w duchy.

– Nie dziwi mnie to.

Po drugiej stronie ulicy stał mercedes z Zane'em za kierownicą.

Minęli go i szli dalej.

– Nie przez duchy. Opętała pana własna śmierć.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Że czeka pan, aż spadnie topór.

– Gdybym miał manię prześladowczą, zacząłbym się zastanawiać, czy Wilson Mott nie obserwuje mnie.

– Po prostu znam się na ludziach.

Coś przeleciało im z szelestem nad głowami. Uniósłszy głowę i zobaczywszy rozpostarte szeroko jasne skrzydła, Ryan pomyślała, że to mogła być sowa.

– Z tego, co mogę się zorientować – ciągnęła – zachodzi pan w głowę, kto to może być.

– „Kto”?

– Ten, kto chce pana zabić.

Monotonne brzęczenie cykad w nocnym powietrzu przypominało ostrzenie noża o nóż.

– Starając się zidentyfikować tę osobę... musi pan pamiętać o źródłach wszelkiej przemocy – powiedziała gdy przeszli kawałek dalej.

Zastanowiło go, czy była policjantką, zanim zaczęła pracować dla Motta.

– Jest ich tylko pięć – wyjaśniła. – Pożądanie, zawiść, gniew, chciwość i pragnienie zemsty.

– Chodzi pani o motywy.

Podeszła do swojego samochodu.

– Lepiej widzieć w nich słabości niż motywy – zauważyła.

Zapaliły się światła postojowe samochodu znajdującego się w pewnej odległości za nimi i usłyszeli ospały warkot włączanego silnika.

– Ale ważniejsze niż przyczyny – dodała – jest samo źródło przemocy.

Otworzyła drzwi hondy od strony fotela kierowcy i odwróciła się, aby spojrzeć na niego poważnie.

– A źródłem przemocy – powiedziała – jest zawsze najważniejsza, najgłębsza pobudka ludzkich działań.

Z licznych dziwnych chwil, które przeżył w ciągu ostatnich czterech dni, ta rozmowa wydawała mu się najdziwniejsza.

– Co jest tą pobudką? – zapytał Ryan.

– Nienawiść do prawdy.

Samochodem ruszającym za nimi okazał się mercedes. George Zane zatrzymał go na ulicy równoległe do hondy, ale trochę dalej od niej, zostawiając Ryana i kobietę wśród cieni rzucanych przez światło księżycy.

– Gdyby kiedyś chciał pan porozmawiać – odezwała się – jestem... Cathy Sienna. – Przeliterowała swoje nazwisko.

– Jeszcze dziś rano powiedziała pani, że nie zdradzi mi swojej prawdziwej tożsamości.
– Myliłam się. Jeszcze jedno, panie Perry...
Czekał, co powie.
– Nienawiść do prawdy to poważna przywara – stwierdziła. – Rodzi pychę i skłonność do anarchii.
W blasku księżycy jej szare oczy wyglądały teraz jak srebrne monety.
– Niedawno – ciągnęła – byliśmy w domu człowieka, który wykazuje silną skłonność do anarchii. Proszę zachować ostrożność. To może być zaraźliwe.
Gdy się żegnali, Cathy nie uścisnęła jego ręki, ale ujęła ją w obie dłonie, serdecznym gestem typowym raczej dla przyjaciela niż współpracownika.
Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wsiadła do wozu, zatrzasnęła drzwi i włączyła silnik.
Ryan stał na ulicy, patrząc, jak odjeżdża. Potem wsiadł do mercedesa.
– Wracamy do hotelu, proszę pana? – zapytał Zane.
– Tak, bardzo proszę.
Ryan trzymał w rękach beżową kopertę ze zdjęciem Teresy Reach, które według jego przypuszczeń stanowiło trop mogący go ocalić.
Żeby czegoś się z niego dowiedzieć, musiał je zeskanować w wysokiej rozdzielczości i obejrzeć w najlepszym programie do obróbki graficznej. Tej nocy nie mógł z nim zrobić nic więcej.
Podczas jazdy myślami powracał do Cathy Sienny i do kwestii, czy jej troska o niego była autentyczna.
W świetle ostatnich wydarzeń zaczął się zastanawiać, czy służyłaby mu radą i zaoferowała dalszą pomoc, gdyby nie był bogaty.

19

Ryan w samochodzie zadzwonił z telefonu komórkowego do kilku osób. Gdy dojechali do hotelu, miał poczucie, że może spokojnie powierzyć beżową kopertę George'owi Zane'owi.
Chociaż firma Wilsona Motta miała główne siedziby w Nowym Jorku, Los Angeles i Seattle, współpracowała z agencjami w innych miastach, w tym Las Vegas. Mogła zlecić cyfrową obróbkę zdjęcia Teresy godnym zaufania miejscowym specjalistom i udostępnić Ryanowi sprzęt z odpowiednim oprogramowaniem, żeby mógł lepiej je obejrzeć.
O szóstej trzydzieści rano, kiedy learjet zabrał Ryana z Las Vegas, ludzie Motta dostarczyli już przesyłkę ze zdjęciem Teresy do jego apartamentu w Denver.
Ponieważ Ryan powiedział Samancie, że został wezwany do Denver w interesach, zamierzał tam polecieć. Nie wiedział jednak

dłaczego.

Ta podróż nie miała zneutralizować kłamstwa, które jej powiedział, ani zmniejszyć jego ciężaru gatunkowego. Nie zamierzał na tym etapie wspominać Samancie o swoim śledztwie w sprawie jej matki czy Spencera Barghesta – było to przemilczenie, celowe zatajenie, które stanowiło znacznie większą zdradę wobec niej niż kłamstwo o celu podróży.

Powrót do domu, na wybrzeże Newport, kilka dni przed wtorkowym spotkaniem z doktorem Gupta nie wchodził w grę. Po zdarzeniu w kuchni, gdy usłyszał, jak Lee i Kay Tingowie szepczą ze sobą, miał poczucie, że jest obserwowany we własnym domu. Las Vegas nie oferowało mu niczego poza hazardem. Ryan już i tak uczestniczył w grze o najwyższą stawkę i ani kości, ani blackjack, ani bakarat nie mogły wciągnąć go na tyle, żeby zapomniał o grożącej mu śmierci.

Tak więc następnego ranka wyruszył do Denver.

Jak wcześniej zamówił lunch do pokoju, tak teraz zamówił kolację. Nie miał apetytu, ale ją zjadł.

Tej nocy też miał sny, co go już nie zdziwiło. Ale choć przypuszczał, że pojawią się w nich trupy, spreparowane czy nie, tak się nie stało.

Nie śnili mu się ludzie ani złe duchy, ale krajobrazy i architektura, między innymi, choć nie tylko, podwodne miasto.

Szedł doliną w stronę pałacu na stoku wzgórza. Dolina była kiedyś pełna zieleni. Teraz płynącą środkiem rzekę, która toczyła skłębione masy ciemnej wody, popioły i gruz, porastały spalona trawa, zwiędłe kwiaty i łyse drzewa. Okna pałacu, niegdyś jaśniające złotym światłem, były dziwnie czerwone i pełne ruchomych cieni, i w miarę jak zbliżał się do otwartych drzwi, coraz bardziej bał się tego straszego tłumu, który z nich wypadnie i rzuci się na niego.

Potem znalazł się na brzegu jeziora gdzieś w głuszy, otoczonego czarnymi skałami i drzewami, które górowały nad nim ze wszystkich stron. Uśmiechnięty szeroko księżyc na mrocznym niebie oświetlał czarną toń. Fale obmywały kamienie, na których stał, i coś uniosło się pośrodku jeziora, jakiś wielki potwór, po którym spływała atramentowa woda i drgający blask księżyca.

Rano, gdy brał prysznic, jadł śniadanie, leciał odrzutowcem do Denver, często powracały do niego obrazy z tego koszmaru. Miał wrażenie, że był już kiedyś w tych miejscach, przed wieloma laty, nie we śnie, ale na jawie, bo były zbyt rzeczywiste, żeby stanowiły wytwór wyobraźni, zbyt wyraziste, zbyt znane, zbyt bliskie.

Znowu naszyły go wątpliwości, czy zawodzi go jedynie ciało, czy też umysł. Być może złe funkcjonowanie serca zaburzało krążenie, co miało fatalne skutki dla mózgu.

Hotel był pięciogwiazdkowy. Z okna apartamentu prezydenckiego – jedyne dostępne z tak krótkim wyprzedzeniem – rozciągał się widok na wieżowce ze szkła i stali tworzące poszarpaną linię horyzontu.

Na zachodzie potężne, porośnięte lasem góry sięgały ku jeszcze potężniejszym chmurom – Andom cumulusów, na których wspierały się Himalaje cumulonimbusów, tak że gdyby ta niebieska architektura runęła w dół, mogłaby zgruchotać ziemię.

W przytulnej bibliotece należącej do apartamentu stał już komputer i odpowiedni sprzęt, który umożliwił mu dokładną analizę zdjęcia martwej Teresy. Przy klawiaturze Ryan zobaczył pudełko ciastek z najlepszej cukierni w Denver. Wilson Mott zawsze pamiętał o takich rzeczach.

Program do analizy fotograficznej obejmował także dobrze napisaną instrukcję. Chociaż Ryan zbił fortunę na Internecie i świetnie radził sobie zarówno z obsługą oprogramowania, jak jego projektowaniem, przez większość poranka eksperymentował, żeby swobodnie korzystać z dostarczonego programu.

O dwunastej doszedł do wniosku, że dobrze zrobi mu przerwa. Ponieważ objadł się ciastkami, nie miał ochoty na lunch. Ale pomyślał, że chętnie by się przejechał, i pożałował, że nie ma tu swojego forda woodie wagon czy któregoś ze starych przerobionych samochodów.

Wprawdzie stan jego serca nakazywał skorzystanie z usług szofera, ale Ryan pragnął sam prowadzić. Podczas lotu z Vegas pilot zadzwonił do hotelu, prosząc o wynajęcie dla Ryana SUV-a dostępnego dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Czarny cadillac escalade miał wszelkie wygody. Ryan mógł nim jeździć po mieście bez obawy, że się zgubi, bo gdyby chciał wrócić do hotelu, system nawigacji wskazałby mu drogę.

Chociaż odwiedził już dwa razy Denver, nigdy nie zapuszczał się poza centrum i jego okolice. Teraz chciał zobaczyć więcej. Ze względu na niedzielę ruch był niewielki. W ciągu pół godziny Ryan natknął się na mały park, zajmujący najwyżej dwa-trzy akry. Przylegał on do starego kościoła z cegły.

Co skłoniło go, żeby zaparkować samochód przy krawężniku i ruszyć dalej na piechotę, to osiki, a przynajmniej tak sądził. W złotej jesiennej szacie drzewa wyglądały szczególnie ładnie, zwłaszcza na tle zasnutego chmurami nieba.

W parku nie było placu zabaw ani żadnego pomnika wojennego, tylko kręte ceglane ścieżki zasłane zeschniętymi liśćmi i od czasu do czasu ławki, na których można był przysiąść i podziwiać piękno natury.

W to pogodne popołudnie pierwszy śnieg wydawał się odległy o całe tygodnie.

Gdy na dużej wysokości ku wschodowi płynęły galony chmur, świat na ziemi wydawał się spokojniejszy. Osiki drżały jednak nawet w tym bezruchu, jak zwykle.

Idąc, często przystawał, żeby posłuchać szeptu drzew, dźwięku, który zawsze kochał. Osiki poddawały się nawet lekkiemu ruchowi powietrza, bo ich ogonki, wąskie wstążeczki, osadzone były pod odpowiednim kątem do blaszek.

Usiadłszy na ławce, uświadomił sobie, że nie pamięta, kiedy ostatnio słyszał szumiące osiki i skąd wiedział, że to kształtowi liści zawdzięczały niemilkący głos.

Widok parku poruszył w nim jakąś czułą strunę. Gdy wszedł między drzewa, poczuł do nich sympatię, która była dla niego czymś zupełnie nowym.

Teraz, gdy siedział na ławce pod kopułą błyszczących żółtych liści, ta sympatia przeszła nawet w intensywniejsze uczucie, w pełną czułości tęsknotę, nostalgię. W tajemniczy sposób, choć nigdy wcześniej tu nie był, miał wrażenie, że wiele razy siadywał pod tymi właśnie drzewami, we wszystkich porach roku i przy różnej pogodzie.

Świstunki leśne, które wkrótce miały odlecieć na południe, śpiewały wśród szepczących drzew w wysokiej czystej tonacji: sło-sło-sło-tki-tki-tki.

Ryan nie miał pojęcia, skąd wie, że te ptaki to świstunki, ale nagle pod wpływem ich śpiewu nie tylko poczuł dziwną nostalgię, ale doznał *déjà vu*. Nie pierwszy raz znalazł się w tym parku. Pewność, że był tu już wcześniej, nie raz, ale wielokrotnie, zelektryzowała go tak, że niemal zerwał się na równe nogi, przesyty do głębi świadomością działania sił nadnaturalnych, od której zjeżyły mu się włosy na głowie i na karku, a wzdłuż kręgosłupa przebiegł dreszcz, jakby skrupulatny wykładowca fizjologii przesunął po nim wskaźnikiem laserowym.

Chociaż kościół przykuł jego uwagę tylko jako element scenerii, Ryan obrócił się ku niemu z przekonaniem, że przy jakiejś okazji, której nie pamiętał, już w nim był. Wcześniej nie przechodził obok niego na tyle blisko, aby sprawdzić, pod czym jest wezwaniem, ale jakimś sposobem wiedział, że to kościół rzymskokatolicki.

Dzień wciąż był pogodny, ale zrobiło się chłodniej. Ryan wsunął ręce do kieszeni kurtki, gdy szedł przez park w stronę kościoła. Tylko kilka osikowych liści zaścielało betonowe stopnie kościoła św. Gemmy, zamiatane codziennie przed porannym nabożeństwem. Ostatnia msza tego dnia została już odprawiona i w kościele panowała cisza.

Ryan, który zatrzymał się na pierwszym stopniu, wiedział, że krucyfiks nad ołtarzem wykonano z drewna, a korona cierniowa na głowie Chrystusa jest złocona, podobnie jak paznokcie u jego dłoni i stóp. Że za krzyżem znajduje się złocona aureola. A z tej aureoli odchodzą rzeźbione, połączane promienie boskiego światła.

Wszedł po stopniach.

W drzwiach niemal się odwrócił.

W narteksie panował mrok, jaśniej było w nawie głównej, gdzie docierało światło dziennie zabarwione przez witraże w oknach i paliły się lampki przy ołtarzu.

Imponujący krucyfiks okazał się taki sam, we wszystkich szczegółach, jak przewidywał Ryan.

Był sam w kościele. Stał w nawie głównej jak wrosły w ziemię, drążąc niczym osiki w parku.

Nadal miał pewność, że nigdy wcześniej tu nie był. Poza tym nie był katolikiem. A jednak ogarnął go spokój, jaki się czuje w miejscach, do których ma się szczególny sentyment.

Ten spokój jednak go nie pokrzepił i nie ukoił, ale skłonił do ucieczki.

Na zewnątrz, już na schodach, potrzebował chwili, żeby odzyskać oddech.

Wrócił do parku, usiadł na ławce, do której ledwie dotarł na chwiejnych nogach, i zadzwonił z telefonu komórkowego do Wilsona Motta pod jego zastrzeżony numer.

Po rozmowie z Mottem zamierzał posiedzieć w parku jeszcze chwilę, bo wciąż nie doszedł do siebie i nie mógł prowadzić. Ale błyski osikowych liści, czarne żelazne latarnie o szybach z popękane szkła, ławka z kutego żelaza pomalowana lśniąca czarną farbą i chodnik z ułożonych w jodełkę cegieł przepęłniły go wielką tęsknotą za przeszłością, której nie potrafił sobie przypomnieć i której w gruncie rzeczy nie znał.

Dziwaczność tego wszystkiego była ponad jego siły i wyszedł z parku może nie biegiem, ale szybkim marszem.

Gdy wprowadził nazwę hotelu do systemu nawigacyjnego samochodu, słodki głos cierplivej młodej kobiety sprawnie poprowadził go przez Denver, mimo kilku pomyłek przy skrętach.

21

W bibliotece apartamentu prezydenckiego, wysoko nad Denver, Ryan Perry pracował zawzięcie nad zeskanowaną fotografią martej Terasy.

Program do analizy zdjęć dostarczał narzędzi, którymi mógł poprawić jakość fragmentu, gdzie znajdowały się oczy zmarłej, powiększyć i wyostrzyć to, co odbijało się na ich błyszczącej powierzchni. Niektóre techniki można było łączyć. A kiedy interesująca strefa została tak powiększona, że straciła ostrość, program klonował piksele, aż obraz odzyskał jakość.

Niemniej o siódmej pięć w niedzielę wieczorem, kiedy przyjechał agent Wilsona Motta, Ryan nie uzyskał żadnej informacji z układu świateł i cieni w tych odbiciach.

Wcześniej, tuż przed wyjściem z parku, kiedy zadzwonił do

Motta, żeby skorzystać z usług zaufanego i dyskretnego laboranta pobierającego krew do badania, dowiedział się, że najlepszym technikiem medycznym, którego można by zaangażować, jest George Zane, ale jeszcze nie wrócił z Las Vegas do siedziby firmy w Los Angeles. Zanim zaczął pracę u Motta, Zane służył w korpusie medycznym armii Stanów Zjednoczonych, udzielającym pierwszej pomocy na polach działań wojennych w Iraku.

Teraz Ryan leżał na łóżku w głównej sypialni, z ręcznikiem podłożonym pod ramię, podczas gdy Zane po dokonaniu wene-sekcji pobierał czterdzieści mililitrów krwi do ośmiu pięciomililitrowych ampułek.

– Chcę, żeby przebadano krew na obecność wszelkich znanych trucizn – powiedział Ryan.

– Dobrze, proszę pana.

– Nie tylko tych, które mogą powodować hipertrofię serca.

– Znaleźliśmy odpowiednie laboratorium tu, w Denver, i dwóch specjalistów od analizy krwi, którzy popracują nad tym w nocy. Nie musi pan wiedzieć, ile biorą.

– To mnie nie obchodzi.

Jeśli się miało naprawdę duży majątek, a jeszcze do tego znało się właściwych ludzi – jak Wilson Mott – można było uzyskać wszystko, czego się chciało i kiedy tylko się chciało. I niezależnie, jak ekscentryczne przedstawiono życzenie, nikt nie unosił brwi ze zdziwieniem i wszyscy odnosili się do człowieka z najwyższym szacunkiem, przynajmniej w jego obecności.

– Chcę, żeby zbadano też krew na obecność narkotyków.

Włącznie – nie, szczególnie – ze środkami halucynogennymi i lekami, które mogą wywoływać halucynacje czy wizje jako efekty uboczne.

– Dobrze, proszę pana – odparł Zane, odstawiając czwartą ampułkę. – Pan Mott poinformował mnie o wszystkim.

Z bliznami na łysej głowie, czujnym spojrzeniem ciemnych oczu, poruszającymi się nozdrzami, jakby podniecał go zapach krwi, George Zane mógłby budzić lęk. Mimo to działał na Ryana uspokajająco.

– Sprawnie posługujesz się igłą, George.

– Dziękuję panu.

– Wcale nie bolało. Masz dobre podejście do pacjenta.

– To dzięki służbie w wojsku.

– Nie wiedziałem, że w wojsku uczą podejścia do pacjenta.

– Pole walki tego uczy. Cierpienia, jakie się widzi. Człowiek wtedy stara się być delikatny.

– Nigdy nie byłem w wojsku.

– W wojsku czy nie, wszyscy codziennie walczyliśmy na wojnie.

Jeszcze tylko dwie strzykawki, proszę pana.

Gdy Zane wymieniał napełnioną krwią strzykawkę na nową, pustą, Ryan zagadnął go:

- Pewnie myślisz, że jestem jakimś czubkiem.
- Nie, proszę pana. Na świecie istnieje zło. Świadomość tego sprawia, że człowiek jest realistą, nie czubkiem.
- Pomysł, że ktoś może mnie truć albo podawać mi narkotyki...
- Nie byłby pan pierwszy. Wróg nie zawsze znajduje się Po drugiej stronie lufy czy działa. Czasami jest tuż obok. Czasami wygląda jak my, przez co staje się niemal niewidzialny, i wtedy jest najgroźniejszy.

•••

Ryan polecił też Mottowi, żeby załatwił mu środek nasenny i przysłał przez Zane'a. Potrzebował leku tak silnego, żeby nie tylko pokonał bezsenność, niepozwalającą zmrużyć oka, nerwową i pełną napięcia, podczas której gotów byłby dosiąść rekina, ale jeszcze uspił go dostatecznie głęboko, żeby nic mu się nie śniło. Gdy Zane wyszedł, zabierając ze sobą ampułki z krwią, Ryan zamówił do pokoju obfitą kolację, mając nadzieję, że podziała na niego równie nasennie, jak koktajl z barbituranów. Po kolacji przeczytał informacje o dawkowaniu leku zamieszczone na buteleczce, wziął dwie kapsułki zamiast jednej, jak zalecano, i popił je szklanką mleka.

Już w łóżku za pomocą pilota posurfował po oceanie rozrywki oferowanym przez sieć telewizji satelitarnej, z którą hotel miał umowę. Na kanale klasyki filmowej znalazł film o uwięzionych kobietach, ale był tak nudny, że Ryanowi prawdopodobnie nie były potrzebne żadne leki usypiające.

Zasnął.

•••

Cisza i ciemność, niewyraźne wrażenie, że pościel jest splątana, a potem znowu cisza i mrok, tylko rytmiczne skurcze serca i tętnienie krwi w żyłach, ciemnej jak jezioro w blasku księżyca, jak krucze skrzydła, ciemność i nic więcej, tylko ona i nic poza nią... Wtedy ten migocący sen przybrał postać prostokąta otoczonego mrokiem.

Rozległy się głosy, męski i damski, męski był znajomy, rozbrzmiała muzyka, której towarzyszyło wrażenie napięcia, a następnie odgłosy strzelaniny.

Sen zamigotał, bo Ryan zamrugał, a obraz znalazł się w prostokątnym obramowaniu, ponieważ to nie był sen, nie film o uwięzionych kobietach, ale jakiś inny, który kanał klasyki filmowej uznał za odpowiednio klasyczny na tę porę nocy.

Na zegarze cyfrowym przy łóżku jaśniała godzina druga trzydzieści sześć. Spał cztery godziny, może pięć.

Pragnął więcej, potrzebował więcej, odszukał więc po omacku pilota, unicestwił prostokąt kolorowych obrazów, uciszył odgłosy strzałów, muzykę, bohaterkę i Williama Holdena.

Gdy pilot wysunął się z jego zwiotczalej ręki, gdy Ryan zapadał

w kojącą nieświadomość, zdał sobie sprawę, że przy tym samym filmie, który właśnie wyłączył, obudził się w czwartek po tamtej okropnej nocy, kiedy postanowił pójść do swojego lekarza, Forry'ego Stafforda.

Odzyskawszy wtedy przytomność na podłodze w swojej sypialni, skulony w pozycji płodowej, ze sklejonymi powiekami, suchością i cierpkim smakiem w ustach, był przekonany, że ten nieznanemu mu film z Williamem Holdenem, nadawany w telewizji, ma dla niego jakieś szczególne znaczenie, że to wiadomość, którą musi rozszyfrować, ostrzeżenie dotyczące przyszłości.

To wrażenie przeminęło, gdy w pełni odzyskał jasność myślenia i przypomniał sobie atak bólu, który dopadł go w nocy.

Teraz jednak, prawie cztery dni później, poczucie, że jest bliski odkrycia prawdy, powróciło i Ryan pomyślał, że powinien zwalczyć senną ociężałość, wstać, włączyć telewizor, zidentyfikować film i wycisnąć z opowiadanej przez niego historii wszelkie złowróżbne znaki, które może kryć.

Po ciężkostrawnej kolacji, silnym leku, wyczerpany i w pewnym sensie przestraszony, pozwolił jednak ulecieć resztkom świadomości.

•••

Przespał ponad dziesięć godzin i obudził się w poniedziałek rano z takim bólem głowy, jakby brał udział w trzydniowej popijawie.

Gdy stanął pod prysznicem, każda kropla wody spadająca na jego głowę była jak grad. Nawet przyćmione światło raziło go w oczy, a każdy zapach wydawał się nie do zniesienia.

Próbował pokonać tego kaca dzbankami kawy. Pierwszy, który wypił, zawierał czarną, drugi – ze śmietanką, ale bez cukru.

Później zamówił tost bez żadnych dodatków. Jeszcze później angielską muffinkę. Po południu zażył sobie pucharek lodów waniliowych.

Przynoszono mu to wszystko pojedynczo, gdy tylko zadzwonił, jakby był chorym dzieckiem pod opieką nadopiekuńczej matki. W tym czasie bez przerwy pracował na komputerze, próbując podkręcić odbicia w martwych oczach Teresy i dotrzeć do tego, co spodziewał się w nich znaleźć. Nawet gdy już wiedział, że nic się w nich nie kryje, jeszcze przez wiele godzin trzymał się nad tymi bliźniaczymi obrazami.

Gdyby nie miał tego zajęcia, mógłby poprosić o wyprowadzenie escalade'a z garażu hotelowego i jeszcze raz pojechać do parku z osikami, jeśli oczywiście udałoby mu się go znaleźć. W parku jednak, nie zdołałby się oprzeć sile kościoła Św. Gemmy, a bał się, że druga wizyta nie tylko nie przyczyniłaby się do rozwiązania tej tajemnicy ani nie zbliżyłaby go do żadnego wyjaśnienia, ale wywołałaby jeszcze większą dezorientację.

Liczne dziwne zdarzenia z ostatnich kilku dni wzbudziły jego

konsternację, a ta z kolei podsyciła zaciekawienie. Jednocześnie powodowała zamęt, który z biegiem czasu osłabiał go umysłowo i psychicznie.

W poniedziałek po południu w końcu musiał przyznać, że nic w oczach Teresy nie pomoże mu ani zidentyfikować ludzi, którzy mogli zmówić się przeciwko niemu, ani odkryć ich motywów. Niemniej nadal czuł, że to zdjęcie oznacza coś ważnego. Niewątpliwie zostało zrobione przez Spencera Barghesta, czyli asystował Rebecce Reach w ostatnich chwilach życia Teresy.

Samantha twierdziła, że zerwała stosunki z matką.

„Ona nie żyje. Dla mnie umarła. Rebecca jest pochowana w mieszkaniu w Las Vegas. Chodzi, mówi, oddycha, ale dla mnie nie żyje”.

Jednak w piątek wieczorem, niespełna czterdzieści osiem godzin po wygłoszeniu tej gniewnej deklaracji, wymknęła się ze swojego mieszkania, podczas gdy Ryan spał, i spotkała się z Barghestem w blasku księżyca pod drzewem pieprzowym.

Spencer Barghest odgrywał tu jakąś rolę, a ponieważ wydawał się w najlepszym razie podejrzany, a w najgorszym niebezpieczny, na pewno nie zaangażował się w tę sprawę z troski o niego. To on uśmiercił Teresę i być może brał udział w spisku, żeby uśmiercić także jego, co oznaczałoby, że intuicyjne odczucia Ryana wobec tego zdjęcia – dziwne przekonanie, że kryje ono klucz do tej zagadki – nie powinny zostać zlekceważone.

Jeśli odpowiedź nie znajdowała się w oczach, to może należało jej poszukać gdzie indziej.

Ryan skupił więc teraz uwagę na pełnych ustach Teresy. Były lekko uchylone, jakby rozdzieliło je ostatnie tchnienie.

Kryjąca się za nimi ciemność nie była jednolita, jeśli chodzi o odcień i fakturę, jak się wydawało na pierwszy rzut oka. Miał wrażenie, że Teresa trzyma coś w ustach, tuż za zębami, jakiś tajemniczy przedmiot o zbyt geometrycznym kształcie, aby mógł to być język.

Powiększył jej usta do rozmiarów ekranu. Sklonował piksele, aby przywrócić obrazowi ostrość.

Kształtne usta kobiety jakby go wołały, choć nic nie zakłóciło ciszy, i nie wiedział, jakie były jej ostatnie słowa wypowiedziane do Barghesta, gdy w jakiś sposób zakończył jej życie.

Ryan zabrał się do roboty tak obsesyjnie jak poprzednio, gdy studiował odbicia w oczach Teresy.

•••

O ósmej czterdzieści, gdy Ryan, siedząc przy komputerze, jadł kanapkę z serem stiltonskim i korniszonami, zadzwonił George Zane, żeby podać wyniki badań krwi.

Podczas wyczerpującej analizy dwaj specjaliści i ich laboranci nie wykryli żadnych śladów trucizn, narkotyków ani innych podejrzanych substancji chemicznych w tych czterdziestu mililitrach

krwi, które Zane pobrał Ryanowi.

– Mogli coś przeoczyć – odparł Ryan. – Nikt nie jest nieomylny, bez przerwy zdarzają się jakieś wpadki.

– Chce pan, żebym jeszcze raz pobrał krew i oddał ją komuś innemu do zbadania? – spytał Zane.

– Nie. Cokolwiek tam mam, jest zbyt subtelne, żeby zostało wykryte podczas standardowej analizy. Mógłbyś pobrać mi całą krew, zaangażować tysiąc hematologów i nie dowiedzielibyśmy się niczego więcej ponad to, co już wiem.

•••

Ryan wrzucił środki nasenne do toalety i spuścił wodę, a następnie zamówił do pokoju dzbanek kawy.

Czuł, że kończy mu się czas, i to nie dlatego, że do spotkania z doktorem Gupta, podczas którego miał poznać wyniki biopsji mięśnia sercowego, pozostało nie więcej niż osiemnaście godzin.

Z upływem wieczoru, a potem nocy wargi Teresy Reach, jej zęby i wnętrze ust stały się dla niego wszechświatem, tak absorbującym i uwodzicielskim, że nie miał ochoty położyć się do łóżka, i w efekcie zasnął w fotelu biurowym, przed komputerem, po trzeciej nad ranem, nadal nie zbliżywszy się do prawdy.

•••

W drodze z Denver na lotnisko Johna Wayne'a w hrabstwie Orange, w Kalifornii, Ryan, siedząc wygodnie w odrzutowcu, od czasu do czasu studiował zdjęcie już bez pomocy narzędzi elektronicznych i zastanawiał się, czy trop, którego szuka, nie kryje się we włosach Teresy, delikatnej muszli odsłoniętego ucha, a nawet w fałdach poduszki, widocznej po jednej stronie jej twarzy...

Samolot wylądował i podkołował do terminalu niespełna godzinę przed spotkaniem Ryana z kardiologiem.

Ponieważ nie chciał zdradzać swoich sekretów Lee Tingowi, prosząc, żeby przyjechał po niego na lotnisko, Ryan zamówił służbową limuzynę. Przysłano mu długiego białego cadillaca z uprzejmym kierowcą, który na szczęście nie uważał, że do jego obowiązków należy rozmowa z pasażerem.

Już w limuzynie, podczas jazdy do gabinetu doktora Gupty, Ryan znowu wpatrywał się w martwą twarz Teresy.

Popadł w nietypowy dla siebie stan umysłu. Mętlik, który ogarnął go w Denver, spotęgował się do tego stopnia, że Ryan był już nie tylko dezorientowany, ale i zagubiony – zdolność logicznego rozumowania zakłócało mu to, czego się dowiedział, i to, co przeżył, a także fakt, że nie potrafi się w tym wszystkim dopatrzeć sensu.

Zagubienie, którego doświadczał pierwszy raz w życiu, już dostatecznie pogorszyło jego samopoczucie, a na dodatek powoli budziła się w nim rezygnacja, co było znacznie gorsze, bo do tej pory sądził, że nie podda się tak łatwo.

Egoizm rodziców i ich obojętność wobec niego budziły w nim

jedynie wolę walki, nie tylko w dorosłym życiu, ale i w dzieciństwie, kiedy postanowił, że nie będzie taki jak oni.

W sprawach zawodowych każdą komplikację traktował jako szansę, każde zwycięstwo jako wyzwanie, żeby osiągnąć jeszcze więcej. Nigdy się nie poddawał, nigdy nie składał broni, nigdy nie rezygnował, chyba że ustępując na jednym polu, uzyskiwał znacznie większą przewagę na innym.

Chciał wierzyć, że jego rosnąca rezygnacja miała w sobie element hartu ducha, który pokona rozpacz. Ale hart ducha wynikał z wytrzymałości i odwagi, a przy każdym skręcie limuzyny czuł się coraz bardziej oddalony od tego, co dotychczas dawało mu siłę, i coraz mniej odważny.

Zaczął się zastanawiać, czy jego wszystkie działania w ostatnich pięciu dniach – całe to śledztwo w sprawie Rebecki Reach i Barghesta – nie były tylko desperacką próbą ucieczki przed tym, czego prawdopodobnie dowie się niebawem na spotkaniu z kardiologiem. Nie chcąc przyjąć do wiadomości diagnozy, na którą nie mógł nic poradzić, być może zajął się szukaniem złego ducha, z którym przynajmniej mógłby podjąć walkę.

Limuzyna zajęła pod budynek, w którym mieścił się gabinet doktora Gupty, i zatrzymała się w strefie niedozwolonego parkowania.

Ryan wsunął zdjęcie Teresy do beżowej koperty.

Szofer wysiadł i obszedł samochód, żeby otworzyć Ryanowi drzwi.

Pod wpływem irracjonalnego impulsu Ryan zabrał ze sobą zdjęcie kobiety, nie żeby pokazać je kardiologowi, ale żeby po prostu mieć je przy sobie, jakby to był talizman, którego moc może go ocalić przed pokonaniem ostatniego stopnia, prowadzącego w dół od rezygnacji do rozpacz.

22

– Kardiomiopatia – oznajmił doktor Gupta.

Siedział z Ryanem nie w gabinecie, ale w prywatnym pokoju, jakby czuł, że powinien przekazać mu wieści w mniej bezosobowym, przytulniejszym otoczeniu.

Na półce za biurkiem stały w srebrnych ramkach zdjęcia rodziny lekarza. Jego żona była śliczna. Mieli dwie córki i syna, bardzo ładne dzieci, oraz golden retrievera.

Na półce znajdowały się też model żaglówki oraz dwie fotografie przedstawiające rodzinę Gupty – z psem – na pokładzie prawdziwej łodzi.

Słuchając diagnozy, Ryan Perry pozazdrościł kardiologowi rodziny i najwyraźniej bogatego życia dającego inny – lepszy – rodzaj szczęścia niż pieniądze.

– To choroba mięśnia sercowego – powiedział Gupta. – Po-

woduje zmniejszenie siły skurczów, obniża sprawność krążenia. Ryan chciał zapytać o przyczynę, o możliwość otrucia, o którym wspomniał Forry Stafford, ale czekał.

Gupta mówił z równie wyraźną dykcją jak zwykle, ale melodyjny ton jego głosu tłumilo współczucie, pod którego wpływem stał się bardzo uroczysty.

– Kardiomiopatia dzieli się na trzy grupy: rozstrzeniową, restrykcyjną i przerostową.

– Przerostową. To ja tę mam.

– Tak. Zwyrrodnienie tkanki mięśnia sercowego. Komórki serca nie funkcjonują prawidłowo.

– A przyczyna?

– Zwykle to choroba dziedziczna.

– Moi rodzice jej nie mieli.

– Może ktoś z dziadków. Czasami nie ma objawów... następuje nagła śmierć, której przyczynę diagnozuje się jako atak serca.

Dziadek Ryana ze strony ojca umarł nagle na atak serca w wieku czterdziestu sześciu lat.

– Jak się to leczy?

Kardiolog wydawał się zakłopotany.

– To nieuleczalne – odparł, jakby ograniczenia medycyny w tym zakresie stanowiły jego osobistą porażkę.

Ryan spojrzał na golden retrievera z rodzinnego portretu.

Od dawna chciał mieć psa. Był zbyt zajęty, żeby go sobie sprawić. Zawsze wydawało się, że jeszcze będzie na to czas w nadchodzących latach.

– Możemy leczyć tylko objawy, podając leki moczopędne, żeby zapobiec niewydolności serca, i leki przeciw arytmii – wyjaśnił doktor Gupta.

– Surfuję. Prowadzę aktywne życie. Jakie czekają mnie ograniczenia, co się zmieni?

Wahanie kardiologia sprawiło, że Ryan oderwał wzrok od golden retrievera.

– Najważniejszą kwestią – zaczął doktor Gupta – jest nie to, jak ograniczone będzie pańskie życie... ale ile potrwa.

W łagodnych oczach lekarza, jak w kuli wróżki Ryan zobaczył swoją przyszłość.

– Pańskie stan nie jest stabilny. Objawy... mogą ustąpić, ale choroby, która je wywołuje, nie da się powstrzymać. Funkcjonowanie serca będzie się pogarszać.

– Ile czasu?

Doktor Gupta umknął spojrzeniem w bok, spoglądając na jeszcze jedno zdjęcie rodzinne, które stało na jego biurku.

– Według mnie... nie więcej niż rok.

W środę w nocy, zwiijając się z bólu na podłodze sypialni, Ryan myślał, że umrze zaraz, właśnie w tym momencie. W następnych dniach spodziewał się śmierci lada chwila.

Dlatego też rok powinien wydać mu się darem losu – a tymczasem ta prognoza okazała się jak gilotyna, ścięła go na miejscu i poczuł taki ból, że nie zdołał wydobyć z siebie głosu.

– Mógłbym opowiedzieć panu o postępach w badaniach nad dorosłymi komórkami macierzystymi – ciągnął doktor Gupta – ale w ciągu roku nic nie przyniosą, może nigdy nic nie dadzą, a pan nie należy do tych, którzy znajdują pocieszenie w myśleniu życzeniowym. Pozostaje tylko przeszczep.

Ryan uniósł głowę znad koperty ze zdjęciem Teresy; ścisnął ją w obu dłoniach, jakby to była boja utrzymująca go na wodzie.

– Przeszczep serca?

– Natychmiast zarejestrujemy pana w UNOS.

– UNOS?

– United Network for Organ Sharing*. Zajmują się przydzielaniem narządów.

* Centralny rejestr transplantacji.

– Więc... jest jakaś szansa.

– Rezultaty przeszczepu serca są całkiem dobre. Mam pacjentkę, która z nowym sercem żyje intensywnie już piętnaście lat i jest coraz silniejsza.

Szansa, że mógłby ująć przed śmiercią dzięki transplantacji, zamiast uspokoić Ryana, jeszcze bardziej rozchwiała go emocjonalnie.

Nie chciał rozplakać się w obecności Samara Gupty i pragnąc powiedzieć coś, co pomogłoby mu uniknąć wstydu, wrócił do głównego motywu ostatnich kilku dni:

– Czy to możliwe, żebym został otruty?

Doktor Gupta zmarszczył czoło.

– Na pewno nie.

– Doktor Stafford wspomniał, że to może być przyczyna przerostu serca. Chociaż też... ją odrzucił.

– Wyniki biopsji wskazują, że pańska choroba jest raczej wrodzona.

– Wrodzona?

– Dziedziczna. Komórki wykazują typowe cechy wady wrodzonej.

– Tak pan sądzi, ale nie jest pan pewny? – zapytał Ryan.

– Nic w życiu nie jest pewne, proszę pana.

Opanowawszy już łzy, Ryan uśmiechnął się słabo i odparł:

– Oprócz śmierci i podatków.

Doktor Gupta przyjął to z wdzięcznością i odpowiedział uśmiechem.

– Chociaż urząd skarbowy przynajmniej daje możliwość sądowego rozstrzygnięcia sprawy.

W dniach po spotkaniu z doktorem Gupta Ryan ulegał napadom buntu i wtedy całymi godzinami obsesyjnie przeszukiwał strony medyczne w Internecie, poświęcone najnowszym osiągnięciom w leczeniu kardiomiopatii.

Nie znalazłszy żadnych istotnych informacji naukowych, które podniosłyby go na duchu, przerzucił się z kolei na strony medycyny alternatywnej. Z przejęciem szukał wiadomości o pacjentach uleczonych wyciągiem z kory jakiegoś egzotycznego brazylijskiego drzewa albo naparem z liści rośliny znalezionej w głębi tajlandzkiej dżungli.

Raz po raz czytał gruby plik materiałów o przeszczepach serca, które dostał od doktora Gupty. Podziw dla umiejętności współpracujących chirurgów, który ogarniał go podczas lektury, ustępował miejsca frustracji z powodu zbyt dużej liczby pacjentów czekających na transplantację w stosunku do dawców narządów i zniecierpliwieniu na system wprowadzony przez opiekę medyczną, która odpowiadała za ten stan rzeczy.

Próbując przygotować się na radykalnie odmienioną przyszłość, jaka go czekała – czy jej brak – Ryan unikał Samanthy; udawał, że wciąż jest w Denver w sprawach służbowych.

Zanim się zobaczą, chciał oswoić się z diagnozą i w miarę możliwości z nią pogodzić. Zamierzał powiedzieć Samancie o swoim stanie zdrowia, gdy już całkowicie zapanuje nad sobą, bo niezależnie od tego, co by później zaszło między nimi, to spotkanie prawdopodobnie będzie najważniejsze w jego życiu. Musiał się na tyle uspokoić, żeby wychwycić wszelkie niuanse tego, co powie Samantha, najsubtelniejsze zmiany wyrazu jej twarzy i języka ciała.

Wciąż intrygowało go jednak zdjęcie Teresy.

Odlatując z Kolorado, zabrał ze sobą sprzęt do analizy fotograficznej, który załatwił mu w Denver Wilson Mott.

Teraz stał on na biurku w pokoju za sypialnią.

Ponieważ nie mógł stwierdzić, czy naprawdę w ustach zmarłej kobiety znajduje się jakiś przedmiot, podzielił zdjęcie na osiemdziesiąt jednocalowych kwadratów, powiększył je i po kolei dokładnie przeanalizował. Coś mogło się znajdować w jej błyszczących złotych włosach albo w fałdach poduszki. Albo w sposób niemożliwy wręcz do wyobrażenia jakiś ledwie widoczny ślad na jej twarzy mógł stanowić trop łączący śmierć Teresy z obecną sytuacją Ryana.

Po przestudiowaniu dwudziestu kwadratów w ciągu dwóch dni zaczął odnosić wrażenie, że wdał się w jałowe poszukiwania, że zdjęcie zrobiło na nim wrażenie wyłącznie dlatego, iż przedstawia siostrę Samanthy – patrząc na nią w tym stanie, niczym w przebłysku jasnowidzenia widział martwą Sam, co wywołało głęboki szok.

W końcu wyłączył komputer, zamierzając zrezygnować z ana-

lizi portretu.

Chociaż zdjęcie na monitorze już go tak nie fascynowało, choć był już nim zmęczony, oryginalna, błyszcząca odbitka o wymiarach osiem na dziesięć znowu przykuła jego uwagę, kiedy wyjął ją z beżowej koperty. I ponownie, jak w gabinecie Spencera Barghesta, ogarnęło go przekonanie, że jest bliski odkrycia, które nie tylko wyjaśni ostatnie dziwaczne zdarzenia, ale wręcz go uratuje.

Wszystkie przeczucia Ryana dotyczące spraw zawodowych okazały się z biegiem lat wiarygodne. Jednak jego ostatnie nieracjonalne spekulacje, nowa u niego skłonność do paranoi mogły stanowić efekt upośledzonej wydolności serca, niedotlenienia organizmu. Miał świadomość, że w takim wypadku nie powinien wierzyć intuicji, nie mógł też być pewny, że zachowa dotychczasową jasność myślenia.

Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że to niesprawiedliwe – zostać skazanym na śmierć w wieku trzydziestu czterech lat. Jak przy każdym niekorzystnym zwrocie w życiu można było albo się skarżyć, albo działać. A tylko działanie dawało jakąś nadzieję.

W przeciwieństwie do biznesu, gdzie zakres akcji podejmowanych w krytycznej sytuacji ograniczały tylko bystrość umysłu i gotowość do ciężkiej pracy, w sferze zdrowotnej możliwości były niewielkie. Ale Ryan nie zamierzał stać się ofiarą. Jeśli istniał sposób, żeby uniknąć ponurych prognoz, jakie przed nim roztańczano, postanowił go znaleźć.

Przyzwyczajając się do swojego stanu i pospiesznie zaznajamiał z procedurami przyznawania narządów oraz technikami chirurgii transplantacyjnej, ale jednocześnie w każdej chwili spodziewał się następnego ataku, na szczęście jednak żaden nie nastąpił. Doktor Gupta przepisał mu trzy leki, które widocznie na razie zwalczyły nękające go ostatnio dolegliwości.

Cały czwartek Ryan spędził w swojej części domu i nigdzie dalej się nie zapuszczał. Nie miał ochoty nikogo widzieć, bo obawiał się, że nawet podczas niewinnej rozmowy zdradzi się – albo da komuś powody do podejrzeń – że ma poważne problemy zdrowotne. Nie chciał, żeby jakieś wieści o jego stanie zdrowia dotarły do Samantha, zanim sam będzie gotów je jej przekazać.

Nagrywając się na pocztę głosową Kay Ting, wyliczył dania i przekąski, o które prosi, a także określił pory, o których miały być dostarczone. Posiłki te umieszczano na stoliku na kółkach i wysyłano windą dostawczą pod apartament pana domu.

Czasami, gdy popadał w stan pobudzenia, pisząc jakiś program, Ryan potrafił żyć przez kilka dni jak samotnik: chodził w piżamie i golił się dopiero wtedy, gdy twarz zaczynała go swędzieć. Dlatego jego obecne zachowanie nie wydawało się nikomu dziwne.

Nie obawiał się już, że to, co je i pije, może zawierać truciznę albo środki halucynogenne. Ponieważ podejrzewania doprowadziły go

do Rebecki Reach, a potem do Spencera Barghesta i jego domu ze współczesnymi mumiami, Tingowie i pozostali pracownicy stali się najmniej prawdopodobnymi uczestnikami ewentualnego spisku przeciwko niemu.

Poza tym jego serce było już chore. Truciciel, jeśli takowy istniał, nic więcej by nie uzyskał, podając mu dodatkowe dawki, a tylko ryzykowałby ujawnienie swojej tożsamości.

Sny o zatopionych miastach, samotnych jeziorach i nawiedzanych przez demony miejscach przestały go nękać. Nie słyszał już dziwnego pukania, żadna ćma ani ptak, ani dłoń w rękawiczce nie dobijała się do okna ani drzwi sypialni.

Może, gdy poznał ostateczną diagnozę i trzeźwe rokowania na przyszłość, skupił się wyłącznie na realnym zagrożeniu i przestał tracić energię na wyimaginowane groźby – na co nawet nie mógł sobie pozwolić, jeśli miał przeżyć do czasu znalezienia dla niego serca do przeszczepu.

W piątek był już gotów podzielić się ponurymi wiadomościami z Samanthą. Zdzwonił do niej, aby powiedzieć, że wrócił z Denver i że chciałaby umówić się z nią na kolację.

– To może przetestujemy tę nową restaurację, na którą się tak napaliłeś w zeszłym tygodniu – zaproponowała.

– Miałem ostatnio ciężkie dni, Sam. Wolałbym, żebyśmy spędzili kameralny wieczór, tylko we dwoje. Może być u ciebie?

– Mam dosyć gotowania, Kropka Com. Jeśli przyniesiesz żarcie, to w porządku.

– No to do zobaczenia o wpół do szóstej – powiedział i rozłączył się.

Zastanawiał się, czyby nie wziąć ze sobą zdjęcia martwej Teresy, na wypadek gdyby bieg wydarzeń wymagał trudnych pytań i jeszcze trudniejszych odpowiedzi.

Ale spojrzawszy jeszcze raz na portret dziewczyny, Ryan uznał, że nawet gdyby miał bardziej uzasadnione powody do podejrzeń wobec Samanthy niż do tej pory, użycie zdjęcia, żeby podważyć jej pewność siebie, stanowiłoby okrucieństwo, do którego nie był zdolny.

Z powrotem schował fotografię do koperty, którą włożył do szuflady biurka.

24

W jedwabnych pantoflach i złoto-niebieskim kimonie Samantha wyglądała jeszcze śliczniej, niż Ryan ją zapamiętał, i od razu poczuł się nie tylko rozbrojony, ale i zniewolony przez pożądanie. Ostatnio tyle czasu wpatrywał się w jej siostrę bliźniaczkę, której urodę naruszyło cierpienie, że piękna twarz Samanthy nieco zamglila się w jego pamięci.

Gdy tylko Ryan odstawił na blat w kuchni torbę ze specjalami,

Sam padła mu w ramiona. Pocałunkami od razu wabiła go do sypialni; a on niemal pozwolił się tam zaprowadzić.

Nagle usłyszał w pamięci głos młodej kobiety z systemu nawigacji satelitarnej w cadillacu escalade w Denver, który poprowadził go spod parku z osikami pod hotel. To dziwaczne skojarzenie przygasiło nieco płomień jego pożądania i odzyskał panowanie nad sobą.

– Umieram z głodu – oświadczył.

– Chyba żartujesz.

– Naprawdę.

– Co ty powiesz.

– Tylko posłuchaj – ciągnął – kanapki z peklowaną wołowiną.

– A ja sądziłam, że w tym kimonie nie można mi się oprzeć.

– Z tym serem, który lubisz, i specjalną musztardą.

– Następnym razem przebiorę się za peklowaną wołowinę z serem.

– I specjalną musztardą.

– Z piklami zamiast kolczyków.

– To może być już zbyt ryzykowny strój. Popatrz, coleslaw, sałatka ziemniaczana i ta z trzech rodzajów fasoli, papryki i selera, nie pamiętam, jak się nazywa.

– Coleslaw by wystarczyła. A co to? Ciasto z kremem budyniowym?

– A tu te pyszne ciasteczka.

– Chcesz mnie podtuczyć?

– Po prostu nie panuję nad sobą w delikatesach. Nie powinno się mnie tam posyłać bez nadzoru.

Przełożyli wszystko z toreb oraz plastikowych pojemników na talerze i półmiski, a potem zanieśli na stół na tarasie.

– Jestem zaskoczona, że nie przywiozłeś beczułki piwa – zauważyła.

– Nie piję piwa.

– A ja nie zjadam ośmiu funtów delicji za jednym posiedzeniem, ale to cię nigdy nie powstrzymywało.

– Przywiozłem wino – powiedział, wskazując butelkę, którą po przyjeździe postawił na stole, zanim poszedł do kuchni. – Świetny maritage.

– Przyniosę kieliszki.

Zanim zasiedli do stołu, nalał wina i stuknęli się kieliszkami, a ich delikatny brzęk, przypominający dźwięk wydawany przez srebrny dzwonek, poniósł się wśród gałęzi drzewa pieprzowego.

Pociągnęli łyk wina, pocałowali się i usiedli, a Ryan od razu poczuł się przy niej tak dobrze, że zrozumiał, iż niezależnie od tego, czy ta Sam jest autentyczna, czy nie, kocha ją i będzie kochał, nawet gdyby istniała jeszcze druga Sam, która spiskuje przeciwko niemu.

– Nie widzieliśmy się cały tydzień – powiedziała.

Gdyby się okazało, że nie tylko zdiagnozowano u niego chorobę serca, ale jeszcze tego wieczoru odkrył, że kocha się nie w doktor Jekyll, ale w pani Hyde, byłby to chyba najburzliwszy tydzień w jego życiu.

Spowiała ich misterna sieć cieni i wieczornego słońca i jakby w niej uwięźli – matryca światła i mroku, znana i nieznana, osnowa i wątek tajemnicy, która miała ukształtować ich przyszłość.

– Dlaczego dopuściliśmy, żeby minął cały tydzień? – zapytała.

– Powieść idzie ci dobrze, co?

– Tak. Miałam kilka dobrych dni z rzędu. Skąd wiesz?

Ryan nie miał zamiaru powiedzieć jej, że kiedy pochłaniało ją pisanie, mniej zastanawiała się nad jego propozycją małżeńską, a kiedy nie myślała o małżeństwie, miała większą ochotę na seks.

Zamiast tego rzucił:

– Oczy błyszczą ci z podniecenia, a w głosie słyszę radość.

– Może dlatego, że ty tu jesteś.

– Nie. Gdybyś cieszyła się na moje przyjście, przebrałabyś się za peklowaną wołowinę z serem.

– No dobra, chodzi o książkę. Trudno to wytłumaczyć. Ale tekst i podtekst schodzą się ze sobą w sposób, jakiego się spodziewałam.

– To rzeczywiście może być ekscytujące.

– Cóż, dla mnie jest.

– A jak sobie radzisz z imiesłowami?

– Mam je pod kontrolą.

– A rzeczowniki odsłowne, średniki i te wszystkie „kto kogo”?

– Gdyby to wino nie było takie dobre, wylałabym ci je na głowę.

– Dlatego właśnie zawsze kupuję najlepsze. Dla własnego dobra.

Na schodach prowadzących z dziedzińca rozległy się pospieszne kroki.

Ryan odwrócił się i zobaczył grzywę białych włosów, które tydzień wcześniej, w blasku księżyca, widział u wysokiego mężczyzny rozmawiającego na dziedzińcu z Samanthą.

Wtedy wziął go za Spencera Barghesta, w świetle dnia jednak taka pomyłka byłaby niemożliwa. Mężczyzna miał podobną sylwetkę, ale był z dziesięć lat młodszy niż Doktor Śmierć, bo po czterdzieście, a jego rysy nie przypominały gumowej twarzy komika, za którą krył się Barghest.

– Och – powiedział, widząc ich przy stole i zatrzymując na przedostatnim stopniu. – Przepraszam. Nie chciałem wam przeszkadzać.

– Kevin – powiedziała Sam – zapraszamy do nas. Przyniosę ci kieliszek.

– Nie, nie. Naprawdę. Mam tylko chwilę. Muszę iść do szpitala, zanim skończy się pora odwiedzin.

Gdy Ryan wstał z krzesła, Samantha zapytała:

– Znacie się?

Kiedy odparł z żalem, że nie, Samantha przedstawiła mu Kevina Spurlocka, syna Miriam Spurlock, właścicielki domu, w którym mieszkała Sam.

– I jak się ma twoja mama? – zapytała Samantha.

– Całkiem dobrze. Naprawdę.

Samantha wyjaśniła Ryanowi:

– Miriam miała tydzień temu poważny atak dusznicy... dokładnie tydzień temu.

– Była akurat w restauracji – dorzucił Kevin. – Pogotowie zabrało ją do szpitala. Najbardziej martwiło ją to, że wywołała taki zamęt w miejscu publicznym.

– Atak serca? – zapytał Ryan.

– Nie, dzięki Bogu. Ale badania wykazały niedrożność tętnic.

– Śmiertelnie groźną niedrożność – sprecyzowała Samantha. – Następnego dnia wszczepiono jej cztery bypassy.

– Była zachwycona kwiatami od ciebie – powiedział Kevin do Samantha. – Kalie... jej ulubione.

– Zastawię nimi cały jej pokój, gdy wróci do domu.

Gdy Kevin poszedł, Samantha opowiedziała Ryanowi kilka historii o Miriam, z których jedną już kiedyś słyszał. Jej gospodyni była trochę ekscentryczna, choć zawsze urocza i miła.

Tydzień wcześniej, gdy Ryanowi się wydawało, że przyłapał Samanthę na potajemnej rozmowie z Spencerem Barghestem, najwyraźniej dowiadywała o stan zdrowia Miriam Spurlock.

Widząc światło w mieszkaniu, Kevin musiał podejść do drzwi.

Jego pukanie nie wyrwało Ryana z drzemki po seksie. Żeby go nie budzić, Samantha wyszła na zewnątrz i tam rozmawiała z synem gospodyni.

A Ryan, pod wpływem paranoi, błędnie zinterpretował całkiem niewinne spotkanie i poleciał następnego rana do Las Vegas, szukać dowodu na nieistniejący spisek.

Teraz poradniki Rebecki Reach o tym, jak szybko się wzbogacić, wydawały się świadczyć jedynie o jej łatwowości i skłonności do fantazjowania.

Kolekcja czasopism, w których znajdowały się artykuły Sam, wskazywała, że choć nie utrzymywała kontaktów z córką, była z niej dumna.

Spencer Barghest mógł być zboczony czy nawet niebezpieczny, a Rebecca mogła nie znać się na mężczyznach, Wybierać niezbyt wyrobionych intelektualnie i moralnie podejrzanych – ale ani ona, ani jej lubujący się w zwłokach kochanek nie knuli nic przeciwko Ryanowi.

Samantha nigdy nie wspomniała, że zna Barghesta ani że był obecny, gdy wyprawiano jej siostrę na tamten świat.

Z perspektywy czasu jednak jej milczenie na ten temat wska-

zywałoby, że się po prostu wstydzi. Nikt nie chciałby się przyznać, że jego matka sypia z przyprawiającym o gęsią skórkę nihilistą, który trzyma w mieszkaniu trupy stanowiące rzekomo dzieła sztuki.

Po zdarzeniu na desce surfingowej i przerażającym ataku następnej nocy, po których zwrócił się o pomoc do Forry'ego Stafforda, Ryan skupił się obsesyjnie na jednym słowie, wypowiedzianym przez lekarza – na słowie „otrucie” – aby uniknąć konfrontacji z faktem, że zawodzi go ciało. Musiał znaleźć zewnętrznego wroga, z którym łatwiej byłoby mu walczyć niż z chorobą czy wadą genetyczną.

Zdesperowany przestał logicznie myśleć, co do tej pory niezawodnie pomagało mu pokonywać wszelkie problemy w życiu zawodowym i prywatnym. Porzucił zdrowy rozsądek na rzecz braku rozsądku.

Zmuszony przez Kevina Spurlocka przyznać się do słabości i błędu, Ryan poczuł wstyd. Licząc, że wino pomoże mu zapomnieć o tym zażenowaniu, nalał im obojgu po drugim kieliszku.

Był zadowolony z gry światła i cieni w zachodzącym słońcu, bo go częściowo maskowały. Miał nadzieję, że przynajmniej przy tej okazji Samancie trudniej będzie czytać z jego twarzy niż z książek doktora Seussa.

Po trzeciej opowieści o Miriam Sam przyniosła z kuchni cztery świece wotywnne. Ustawiła je na stole.

Gdy twarz Samantha pojaśniała w świetle zapalki, a jej wzrok wędrował od knota do knota, Ryan powiedział: „Kocham cię” – i poczuł się jak drań, ale drań na odwyku.

25

Gdy księżyc po wschodniej stronie nieba wspiął się wyżej, pod drzewem pieprzowym, zasłaniającym większość wiecznie niknących gwiazd, przyszedł czas na rozmowę o śmierci.

Po kolacji, gdy na stole pozostało już tylko wino i kieliszki, Ryan ujął lewą dłoń Samantha i powiedział:

– Byłem szczęśliwy w każdej chwili, jaką ze sobą spędziliśmy.

– Brzmi to tak, jakby teraz miało paść jakieś „ale”, a w tych pantoflach przecież nie skopię ci odpowiednio tyłka.

Nie zamierzał wspominać o swoich urojeniach, lęku, że ktoś go truje. Jeśli miał umrzeć w ciągu roku, chciał, żeby Sam zapamiętała go jako lepszego człowieka, niż jakim był w rzeczywistości.

Ponieważ Sam podchodziła do życia tak samo jak do fali na morzu podczas surfowania – na swoich warunkach, ale z szacunkiem dla jego nieprzewidywalnej natury, śmiało i bez obaw – Ryan przedstawił jej sytuację zwięźle i rzeczowo. Nie zrobił opery tragicznej z wieści, które miał jej do przekazania, ani też nie udawał, że jest to operetka kończąca się fanfarami i arpeggio na harfie.

Sam zacisnęła dłoń na jego rękę, jakby chciała zatrzymać go na tym świecie. Do oczu napłynęły jej łzy, załśniły, gdy usiłowała je powstrzymać, i płomyki świec wyraźniej zadrgały w tych lśniących powierzchniach niż w kryształowych świecznikach.

Zrozumiała, że przekazanie tych wiadomości było dla niego tak samo trudne, jak dla niej ich wysłuchanie. Oboje podziwiali u siebie wzajemnie dwie cechy: samowystarczalność i trzeźwą świadomość, że życie to walka wymagająca optymizmu i wiary w siebie.

Wdzięczny, że nie straciła panowania nad sobą i nie rozplakała się, zadowolony, że słuchała spokojnie i nie zarzuciła go pytaniami, Ryan wzruszył się, widząc, jak Sam stara się być dzielna i powstrzymuje łzy.

Nie można było nie wierzyć w autentyczność jej reakcji, bo serce zaczęło bić jej mocniej i szybciej, co zdradził puls na smukłej szyi. Kimono nie zdołało ukryć dygotu jej ciała – nawet w blasku świec szerokie rękawy w kształcie dzwonów i luźne fałdy połyskującego jedwabiu zdradzały, że Sam cała drży, tak jak jej głos. Kiedy Ryan skończył, dwa razy głęboko zaczerpnęła powietrza, opuściła wzrok z jego twarzy na ich splecione dłonie i postanowiła zmierzyć się z najbardziej przerażającą kwestią już w pierwszym pytaniu.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że dostaniesz nowe serce?

– Cztery tysiące Amerykanów rocznie potrzebuje serca do przeszczepu. Dawców jest tylko około dwóch tysięcy.

– Czyli pięćdziesiąt procent.

– Tak dobrze nie jest. Musi wystąpić zgodność pomiędzy sercem dawcy a układem odpornościowym biorcy, żeby zminimalizować ryzyko odrzucenia.

– A jakie jest prawdopodobieństwo takiej zgodności?

– Mam najczęściej występującą grupę krwi. To dobrze. Ale są też inne warunki. I nawet jeśli zostaną spełnione, serce dostanie ktoś wyżej na liście oczekujących, jeśli oczywiście wystąpi pomiędzy nimi zgodność.

– Ty już jesteś na tej liście?

– Wstępnie. W przyszłym tygodniu przejdę badania. Wszystko zależy od nich.

– Jak to?

– Lekarze próbują określić społeczne i behawioralne czynniki, które mogą utrudnić dojście do zdrowia.

– Masz na myśli... coś takiego jak alkoholizm?

– Alkoholizm, palenie, problemy psychiczne, z powodu których mógłbym być mniej podatny na leczenie i zmianę stylu życia niż ktoś inny.

Unosząc wzrok znad ich złączonych rąk i unikając jego spojrzenia, Sam zapatrzyła się w płomienie świec, jakby można w nich było wyczytać przyszłość.

– Na pewno liczy się dla nich inteligencja. Ktoś bystry powinien być lepszym pacjentem.

– Może tak.

– To przemawia na twoją korzyść. Co jeszcze? Jakie masz plusy?

– Jestem młody i poza tym zdrowy. Gdyby miał jeszcze inne problemy zdrowotne, na przykład cukrzycę, nie byłby idealnym kandydatem.

Przysunawszy do siebie jedną ze świec, Samantha najpierw podsycała płomień dmuchnięciem, a potem go zgasiała.

– Co jeszcze? Chcę więcej plusów.

– Nie potrzebuję zgody firmy ubezpieczeniowej. Mogę od razu wyłożyć pieniądze na stół.

Gdy błada wstążka dymu uniosła się znad syczącego przez krótką chwilę czarnego knota, Samantha przyciągnęła do siebie drugą świecę i ją też zgasiała dmuchnięciem.

– Czasami jest też problem z odległością – dodał Ryan. –

Kiedy stwierdza się u dawcy śmierć mózgową i chirurg wyjmuje jego serce, może ono być przechowane w schłodzonym do czterech stopni Celsjusza roztworze soli fizjologicznej... ale tylko przez sześć godzin.

– Więc zespół chirurgów... tak?... szuka biorcy w określonym promieniu?

– Dla mnie nie muszą go przywozić. To ja mogę do nich polecieć learjetem, podczas gdy dawca będzie podtrzymywany przy życiu.

Samantha zanurzyła palec wskazujący i kciuk w winie, a następnie zgasiała nimi płomyk trzeciej świecy.

– Liczba pacjentów, którzy przeżyli pięć lat po przeszczepie, powoli, ale w sposób stały dochodzi nawet do siedemdziesięciu procent.

Nie zwilżając już palców winem, Samantha zdusiła płomień ostatniej świecy i syknęła, jakby się sparzyła, ale też chciała się sparzyć.

Drzwi do kuchni były zamknięte i przez zasłonięte okno na taras nie dochodziło żadne światło.

– Jeśli przeżyję pięć lat, są duże szanse, że zdołam przeżyć następne pięć. A tyle się dzieje w medycynie. Co rok. Tyle się dzieje.

Choć noc nie była najciemniejsza, powinna dać Samancie możliwość skrycia się w niej. A mimo to na twarzy dziewczyny malował się cichy ból, którego dłużej nie potrafiła stłumić, i jej lzy zalśniły jakby zawierały sól fosforową.

Odsunawszy krzesło od stołu, wstała i trzymając go wciąż za rękę, powiedziała:

– Chodź ze mną do łóżka.

On też wstał.

– Połóż się i przytul mnie – poprosiła.

Położyli się w ubraniach na pościeli, Samantha oparła głowę na piersi Ryana i wtuliła się w niego, a on objął ją ramieniem. Zmęczenie prawie go obezwładniło. Czuł się stary i wykończony.

Przeszli w swoim związku inicjację – mieli już świadomość, że choć są jeszcze młodzi, tańczą ze śmiercią, a ich wspólne życie nie jest nieskończone.

Podobnie jak on Samantha miała wiele do powiedzenia, ale brakowało jej na to siły i w tej chwili nie znajdowała słów, żeby wyrazić, co myśli.

Zdrzemnęli się, ale nie spali głęboko, zmieniali pozycje, ale wciąż byli do siebie przytuleni.

Kiedy się wreszcie odezwała, jej głos zabrzmiał cicho i był pozbawiony zwykłej siły.

– Boję się.

– Ja też. Ale to nic. Znajdą dla mnie dawcę. Dostanę serce.

– Na pewno – odparła.

– Tak.

– Jeśli ktoś, to na pewno ty. Ale musisz uważać, Ryan.

– Będę robił wszystko, co zalecą lekarze.

– Zwłaszcza ty. Ponieważ jesteś taki, a nie inny, musisz uważać.

– Nie będę już ujeżdżał rekinów.

– Musisz zdać się na los, cokolwiek ma się stać.

– Dobrze.

– Boję się.

– Nie zniknę tak po prostu – powiedział. – To nie w moim stylu. Znasz mnie.

– Boję się o ciebie – dodała.

– Poradzę sobie, Sam.

– Nie radź sobie. Po prostu zdaj się na los.

– Nie martw się o mnie. Ja się nie boję.

– Czasami lepiej się bać. To pomaga zachować trzeźwość umysłu.

•••

– Wyjdź za mnie – poprosił jakiś czas później.

Nie odpowiedziała, ale był pewny, że nie spała.

– Uhm. Jestem przy tobie.

– Więc wyjdź za mnie.

– To by było tak, jakbym wyszła za ciebie, bo jesteś umiarkujący.

– Nie umrę.

– Wszyscy pomyślą, że wyszłam za ciebie dla pieniędzy.

- Nie obchodzi mnie, kto co sobie pomyśli. Nigdy mnie to nie obchodziło. Dlaczego miałoby obchodzić mnie teraz?
 - Kocham cię. I przejdę z tobą przez to wszystko. Krok w krok, tylko musisz robić, co każe ci doktor Gupta.
 - To mój lekarz. Oczywiście, że będę go słuchał.
 - Znam cię. Znam cię jak nikt. Tak bym chciała, żebyś się nie mylił... żeby wszystko dobrze się skończyło.
 - To weźmy ślub.
 - Weźmiemy ślub, gdy będzie już po wszystkim, gdy wyjdziemy na prostą.
 - Po przeszczepie?
 - Jeśli się odprężysz. Odpoczywaj sobie, pogódź się z tym, co ma być, i zdaj się na los.
 - Więc będziesz moją nagrodą? – zapytał.
 - Nie to miałam na myśli.
 - Tylko ciebie chcę, Sam – powiedział.
 - Będzie dobrze.
 - Jest dobrze. Stanowimy idealną parę.
 - Tak, rzeczywiście, świetnie nam razem, dzień w dzień – przyznała.
 - No właśnie.
 - Jeśli wyluzujesz, zdasz się na los i pogodzisz z nim, wtedy będziemy wiedzieli, że będzie nam dobrze ze sobą nie tylko dzień po dniu, ale i rok po roku.
 - Dobrze. Wezmę na wstrzymanie. Jeśli tego chcesz.
 - Musisz bardzo uważać, Kropka Com.
 - Patrz, jak biorę na wstrzymanie.
 - Bardzo uważać. Będę przy tobie cały czas, ale musisz mnie słuchać.
 - Tak, kochana.
 - Mówię poważnie. Masz mnie słuchać.
 - Dobrze.
 - Masz mnie słuchać.
 - Przecież słucham.
- Przytuliwszy się do niego, Samantha powiedziała:
- O Boże, tak się boję.

•••

Drzemiąc, odsuwali się od siebie. Odsuwając się, budzili. Po przebudzeniu, znowu przywierali do siebie. Taki był rytm ich nocy. O świcie Samantha znowu oprzytomniała, odnalazła go po omacku i przytuliła się do niego tak gwałtownie, jakby już myślała, że odszedł. Wyrwany ze snu przez jej poszukiwania i dotyk, przygarnął ją, ale ta bliskość już im nie wystarczała. Kochali się inaczej niż do tej pory, pragnąc całkowitego zjednoczenia, choć bez pożądania, dając, ale niczego nie oczekując w zamian, biorąc, ale jakby mimowolnie. Czuli, bezinteresowny, wręcz niewinny – to był akt celebrowania życia, ale i coś więcej,

upamiętnienie tego wszystkiego, co przeżyli razem do tej chwili, do tego punktu zwrotnego w ich związku, a także uświęcenie wzajemnego zobowiązania, że teraz będą stanowić jedność już na zawsze.

Mimo że Ryan usłyszał wirtualny wyrok śmierci z ust swojego kardiologa, doświadczył tak wspaniałego momentu uniesienia, co nie tylko dało mu nadzieję, ale jeszcze wzmogło determinację, żeby przeżyć.

To spełnienie o świcie był jego falą przyboju, najlepszym surfingiem w życiu, idealnym setem podwójnych gigantycznych swelli, i nie potrafił sobie wyobrazić, że w przyszłości nie będzie już tak samo, że to, co go czeka, nie będzie nowym życiem z nowym zdrowym sercem, tylko jakąś pomyłką, chaosem, czymś przerażającym, bolesnym, porażką.

Burzą.

27

Ryan przeszedł testy psychologiczne i został wpisany na listę biorców serca United Network for Organ Sharing.

Po tym, jak dowiedział się, że ma kardiomiopatię, i podzielił tą wiadomością z Samanthą, przestały go nękać koszmary z poprzedniego tygodnia. Podwodne miasto, jezioro o ciemnych wodach i nawiedzony pałac zniknęły z jego nocnych podróży.

W ich miejsce nie pojawiły się żadne inne niepokojące sny.

Spał dobrze, budził się wypoczęty, a przynajmniej dość wypoczęty.

Gdy był sam, nie słyszał już dziwnego pukania – w okna, drzwi, w rury kanalizacyjne czy dobiegające z plazmowego telewizora – jakby ktoś domagał się jego uwagi.

Wrażenie, że jest obserwowany, że jest obiektem spisku, minęło wraz z koszmarami sennymi i urojonym pukaniem. Do jego życia napłynęło świeże powietrze, które wymiotło stęchłe miazmaty irracjonalnego myślenia, jakby wrócił do zdrowia po przebytych katarze.

Nie miał już żadnych *déjà vu*. Przypuszczał nawet, że gdyby wrócił do Denver i odnalazł mały park z osikami, miejsce to – razem z przylegającym do niego kościołem – nie zrobiłoby na nim takiego wrażenia jak przedtem.

A jeśli chodzi o to, że wiedział, jak wygląda krucyfiks nad ołtarzem w kościele...

Bywał w różnych kościołach katolickich z okazji ślubów i pogrzebów. Nie pamiętał ołtarzy żadnego z nich, ale być może założył, że krucyfiksy wyglądają w nich podobnie. Pewna jednolitość mogła być nawet wymagana. Pewnie dlatego wiedział, co zobaczy w kościele Św. Gemmy, po prostu widział już identyczny krucyfiks – albo prawie identyczny – na jednym z tych ślubów czy pogrze-

bów.

Ten spokój i jasność umysłu, które pozwoliły mu wyzwolić się z manii prześladowczej, przypisywał lekarstwom zaleconym mu przez doktora Gupte, między innymi środkiem moczopędnym zapobiegającym niewydolności serca i lekom antyarytmicznym. Miał teraz lepiej dotlenioną krew, dzięki czemu niebezpieczne toksyny były skuteczniej usuwane z organizmu.

Obawy, że podstępny truciciel, jakaś współczesna Lukrecja Borgia, kryje się wśród jego pracowników, były zupełnie nieracjonalne. Jak na ironię jedynym trucicielem było jego własne serce, które z powodu swojej niewydolności zakłóciło funkcjonowanie umysłu, powodując urojenia. W każdym razie doszedł do takiego wniosku.

W październiku i listopadzie największym problemem Ryana okazał się brak cierpliwości. W miarę jak inni oczekujący na przeszczep otrzymywali serca albo odchodzili z tego świata, Ryan przesuwał się ku górze listy, ale nie tak szybko, jakby sobie życzył. Miał dotkliwą świadomość, że Samar Gupta dał mu co najwyżej rok życia. Jedna szósta tego czasu już minęła.

Oglądając w telewizji wiadomości o wypadkach samochodowych, w których ktoś ginął, zastanawiał się, czy ofiara, uzyskując prawo jazdy, podpisała zgodę na oddanie swoich narządów wewnętrznych. Czasami refleksja, że większość ludzi tego nie robi, wywoływała u niego gniew. Było to o tyle niesprawiedliwe wobec tych, na których tak się złościł, że sam, będąc w dobrym zdrowiu, nie pomyślał o podpisaniu takiej zgody.

Teraz, już oświecony, za pośrednictwem prawnika załatwił formalności konieczne do przekazania – ewentualnie – swoich narządów innym, gdyby jego ciało przetrwało spustoszenia dokonywane przez kardiomiopatię albo gdyby mimo transplantacji umarł.

•••

W grudniu doktor Gupta musiał zmodyfikować leczenie Ryana i dodać do jego baterii medykamentów jeszcze dwa leki, które miały zapobiec nawrotowi niepokojących i osłabiających objawów choroby.

Kardiolog posługiwał się tajemniczą terminologią medyczną, żeby uniknąć takich słów jak „pogarszanie się stanu zdrowia”. Ale Ryan wiedział, że jego stan jest coraz gorszy.

Nie czuł się inaczej niż we wrześniu, poza tym, że łatwiej się teraz męczył i spał dłużej niż wtedy.

Kiedy patrzył na siebie w lustrze, zauważał tylko niewielkie zmiany. Lekkie obrzmienie. Od czasu do czasu uporczywe rumieńce na policzkach, innym razem szaroniebieskie cienie pod oczami.

Niecierpliwiło go nie tylko powolne przesuwanie się na liście oczekujących, ale także Samantha. Czasami naprawdę wystawiała

na próbę jego wytrzymałość.

Po pierwsze, miał wrażenie, że Sam pokłada zbyt dużą wiarę w organizację, która prowadziła listę i typowała biorców.

Gdyby Ryan kierował swoją firmą przy takich nieuzasadnionych założeniach i z taką tolerancją dla biurokratycznej inercji, jakie obserwował w tym środowisku medycznym, nigdy nie doszedłby do majątku. Ponieważ chodziło tu o ludzkie życie, twierdził, że ci stróżowie porządku powinni być bardziej – a na pewno nie mniej – sprawni od niego, gdy budował swoje imperium w sieci oparte na portalu towarzyskim.

Samantha wysłuchiwała jego skarg na ten temat, a potem przypominała mu, że miał przeczekać ten okres spokojnie. Obiecał, że nie będzie próbował wpływać na to, na co w gruncie rzeczy nie miał wpływu, i podda się biegowi wypadków.

– Kropka Com, martwisz mnie – mówiła mu. – Ta nerwowość, te napady złości. To niedobre. Nie służy ci. Tracisz energię.

•••

Tydzień po tygodniu Ryan wynajdywał coraz bardziej egzotyczne sposoby na uratowanie życia, studiował wszelkiego rodzaju terapie z zakresu medycyny alternatywnej, które mogły uzupełnić leczenie, jakiemu poddawali go kardiologowie – od rzadkich substancji uzyskiwanych z zarodników paproci rosnących w lasach deszczowych, po metody uzdrawiania na odległość.

Samantha ze zrozumieniem, zdrowym rozsądkiem i humorem podchodziła do tych wszystkich sposobów leczenia, jakim chciał się poddać. Chociaż wiedział, że dziewczyna ma rację, czasami brał jej zjadliwe poczucie humoru za zimny sarkazm, realizm za zwykły pesymizm, a współczucie – za dwulicowość.

Ryan podejrzewał, że jego nastroje, częste napady niepokoju i wzburzenia były efektem działania leków. Przegląd wyszczególnianych na ulotkach i stronach internetowych skutków ubocznych każdego z nich potwierdził jego przypuszczenia.

– Przepraszam cię, Sam – mówił jej nieraz. – To te przeklęte leki. Nie jestem sobą. Niebawem wyrosną mi włosy na dłoniach i zacznę wyć do księżyca.

Miał świadomość, że ją męczy, że jej praca nad książką prawie utknęła w miejscu. Zaczął dawać jej więcej czasu dla siebie, chociaż protestowała, twierdząc, że jest do jego dyspozycji od rana do wieczora, codziennie, dopóki nie wróci w pełni do zdrowia, już z nowym sercem.

•••

Dwunastego grudnia jedli obiad w restauracji, której standard wyznaczały białe obrusy, porcelana z Limoges i kelnerzy w białych marynarkach, co decydowało także o atmosferze.

Nie było to jedno z tych ekskluzywnych snobistycznych miejsc w Newport Beach, do których chodziło się, żeby kogoś poderwać – zaspokajało raczej potrzeby zamożnych singli, którzy chcieli wy-

brać sobie towarzystwo do obiadu spośród osób siedzących przy barze. Tu klientela była starsza, spokojniejsza, przynajmniej stwarzająca wrażenie klasy, o uroku i wdzięku starych pieniędzy, wobec którego nawet prawdziwa klasa wydawała się cokolwiek tandetna.

Między przystawką a daniem głównym Ryan opowiedział Samancie o doktorze Dougalu Hobbie, znanym kardiologu i chirurgu sercowo-naczyniowym, który praktykował w Beverly Hills.

– Myślę, że mógłbym leczyć się u niego – oznajmił.

Samantha, zaskoczona, zapytała:

– A co jest nie tak z doktorem Guptą?

– Nic. Jest w porządku. Ale doktor Hobb cieszy się wielkim uznaniem. Jest najlepszy w swojej specjalizacji.

– Czy to wpłynie na twoją pozycję na liście?

– Nie. Zupełnie nie.

– A co mówi na to Forry Stafford?

– Nie rozmawiałem z nim.

– Dlaczego? To on skierował cię do Gupty.

Ryan i Samantha w restauracjach zwykle wybierali stolik w kącie, żeby mieć większą prywatność, ale tym razem usiedli pośrodku. Elegancka sala wokół nich aż lśniła, ciesząc oczy.

– Zadzwoń do Forry'ego – powiedział Ryan. – Na razie się z tym wstrzymywałem.

– Kropka Com, czy to nie jest tylko zmiana dla samej zmiany, kolejny przejaw niecierpliwości?

– Nie. Dobrze się nad tym zastanowiłem.

Kelner w asyście pomocnika przyniósł dania główne i postawił na stole talerze z efektownym gestem, który potwierdzał poziom obsługi, a nie zniżał się do taniego popisu.

Gdy przystąpili do jedzenia, Ryan zmienił temat.

– Ślicznie dziś wyglądasz. Wszyscy są tobą oczarowani, jesteś w centrum uwagi.

– Cóż, siedzimy pośrodku, jeśli nie zauważyłeś. I podejrzewam, że większość ludzi wie, kim jesteś, część ich uwagi przenosi się więc na mnie.

Dała mu możliwość wygłoszenia konwencjonalnych uprzejmości i wróciła do tematu doktora Hobba.

– Zanim zrezygnujesz z doktora Gupty, porozmawiaj z Forrym.

– Tak zrobię. Ale nie ma lepszego od Dougala Hobba. Już nawet zleciłem prześwietlenie go.

– Prześwietlenie?

– Godnej zaufania firmie. Żeby sprawdzić, czy nie wpłynęły jakiś pozwy przeciwko niemu o błąd w sztuce, czy ma jakieś problemy osobiste.

Niebieskozielone oczy Samanthy się nie zachmurzyły, ale jej nastrój się zmienił.

– Nasłaleś na niego prywatnego detektywa?
– Chodzi o moje życie, Sam. Chcę mieć pewność, że jestem w dobrych rękach.
– Forry to twój przyjaciel. Wysłał cię do najlepszego lekarza. Chce dla ciebie dobrze.
– Na Hobba nie wpłynęła nawet jedna skarga, nie mówiąc już o pozwie sądowym.
– A na doktora Guptę? – zapytała.
– Tego nie wiem.
– Jestem pewna, że też nie.
– Nie mam pojęcia. Ale posłuchaj, życie prywatne doktora Hobba jest bez skazy, sytuacja finansowa w idealnym porządku, małżeństwo solidne jak skała, a jego...
Odkładając nóż i widelec, Samantha rzekła:
– Przerażasz mnie.
Uniósł brwi ze zdziwieniem.
– Dlaczego?
– Nie słyszysz, co mówisz? Próbujesz przejąć kontrolę, pokierować sprawą, choć to zupełnie nie do ciebie należy.
Odpowiedział na jej pełen niepokoju zarzut potulnym spojrzeniem.
– *Be to do.* „Być, żeby działać”. To nie tylko zgrabna nazwa dla firmy. To filozofia życia. Przejmowanie steru to nawyk, którego trudno się pozbyć.
– A zaufanie do ludzi to nawyk, który trudno sobie wyrobić, Ryan, szczególnie dla takich ludzi jak ty i ja, biorąc pod uwagę, skąd pochodzimy.
– Masz rację. No dobra. Wiem.
– Możemy wpływać na nasze losy – powiedziała – ale nie mamy nad nimi kontroli. Nie mamy kontroli nad śmiercią. Musisz grać w zespole. Takie decyzje możesz podejmować tylko po konsultacji z innymi.
– Właśnie to z tobą konsultuję.
Nie opuściła wzroku i nic nie odpowiedziała.
– Dobra – odparł. – Masz rację. Nie zrobię niczego, dopóki nie pogadam z Forrym i z doktorem Gupta. No i z tobą.
Pociągnęła łyk caberneta. Odstawiła kieliszek. Rozejrzała się po wytwornej sali, zmuszając innych, aby przestali się jej przyglądać.
Spojrzawszy znowu na Ryana, powiedziała:
– Kochanie, zaufaj ludziom, którym na tobie zależy. A zwłaszcza mnie, bo dobrze cię znam, bardzo dobrze, na wylot... i kocham cię.
Poruszony odparł:
– Ja też cię kocham.
– Gdybyś znał mnie tak, jak ja ciebie, może byś mnie nie kochał.

- To niemożliwe. Nie mów tak.
- To prawda. Ludzie są tacy skomplikowani, tak beznadziejni... trudno kogoś poznać dogłębnie, do samego jądra, i wciąż go kochać. Albo ją. Och, nie mam już ochoty na deser. A ty? Był tak skupiony na tym, co mówiła, że zmiana tematu zaskoczyła go zupełnie. Patrzył na nią przez chwilę, jakby przeszła z angielskiego na jakąś nieznaną mu odmianę rosyjskiego.
- Och, nie. Ja też dziękuję za deser.
- Może, gdy dopijemy wino, weźmiemy podwójne espresso.
- Dobry pomysł.

Nie wspominali już nic więcej o doktorze Hobbie ani o skomplikowanej, beznadziejnej naturze ludzkiej, rozmawiali o pogodniejszych sprawach.

Przy kawie obdarzyła Ryana takim serdecznym uśmiechem, że zrobiło mu się ciepło na sercu, jakby w jej oczach zapalił się kandelabr.

- Widzisz, Winky, mogłeś mnie zabrać w najdalszy kąt sali i nawet tam, na osobności, nie stłukłabym cię ani nie dałabym ci po uszach.

•••

Dwa dni później, czternastego grudnia, będąc sam w domu i czekając na sen, który nie chciał przyjść od kilku godzin, w świetle niechętnie ostatnio wyłączanej lampki przy łóżku Ryan nagle zaczął mieć problemy z oddychaniem.

Wciągał powietrze, ale nie przyniosło mu to ulgi, jakby szło ono gdzie indziej niż do płuc, chociaż przekonanie, że oddycha głęboko, mogło być złudzeniem. Natychmiast opadły go uczucie, że się dusi i dławiący niepokój, i nie mógł już opanować paniki.

Kiedy uniósł się na materacu, doznał zawrotów głowy, jakby łóżko znajdowało się na karuzeli, opadł więc na poduszki, w jednej chwili zlany potem.

W tej chwili odległość dzieląca go od telefonu na szafce nocnej wydała mu się jak rok świetlny. Widział go, ale nie znał dostatecznie fizyki relatywistycznej, żeby podjąć taką epicką podróż. Ten paroksyzm trwał zaledwie parę minut. Kiedy wreszcie znowu zaczerpnął powietrza, nigdy nie miało dla niego słodsze smaku.

Przez chwilę bał się drgnąć, bał się, że jakikolwiek ruch spowoduje kolejny incydent z oddychaniem, taki sam albo gorszy. Kiedy w końcu usiadł, zsunął nogi z łóżka i wstał, stwierdził, że bardzo spuchły mu kostki.

Mimo że zażywał leki o właściwej porze i zgodnie z zaleceniem, jego organizm zatrzymywał wodę.

Stojąc przy łóżku, po raz pierwszy od miesięcy usłyszał pukanie

- ktoś delikatnie stukał do okna albo do drzwi.

Odwrócił się i próbował zidentyfikować źródło dźwięku, przechylił głowę w stronę, z której dochodziło nieustające rytmiczne

stukanie. Zrobił kilka kroków w jednym kierunku, potem kilka w drugim, przystając raz po raz i nasłuchując.

Przeszedł z sypialni do salonu, wrócił do niej, a potem powędrował do łazienki, pomiędzy czarne granity, złoty onyks, nierdzewną stal i lustro. W labiryncie lustrzanych powierzchni pukanie słycać było równie dobrze jak gdzie indziej.

Przez chwilę Ryan był przekonany, że dźwięk dochodzi spod stóp, że jego wszędobylstwo – zawsze to samo natężenie, ten sam ton, niezależnie od pomieszczenia – wskazuje, iż dobywa się spod podłogi, co niewiarygodne, podążając za nim.

Wtedy jednak przypomniał sobie, że pod podłogą znajduje się lekki beton, wylany po to, żeby tłumić dźwięki. Nie było żadnych klepek ani desek, które można by zerwać. Żadnych pustych przestrzeni, które mogłyby stanowić źródło prześladowającego go pukania.

Spojrzał na sufit, jedyną inną płaszczyznę, która łączyła wszystkie pomieszczenia na drugim piętrze, i pomyślał o poddaszu. Stanął mu przed oczami może niedorzeczny, ale stary jak świat obraz prześladowcy, jakiegoś widma, które zamieniło podziemia opery na wyżej położoną kryjówkę, za pomocą elektroniki monitorując położenie Ryana, żeby go torturować pukaniem, delikatnym pukaniem, puk, puk, puk, tylko tym i niczym więcej.

Ta absurdałna myśl żyła zaledwie kilka sekund, bo nagle Ryan uświadomił sobie, że ten dźwięk wydobywa się z niego samego. Chociaż nie było to klasyczne łomotanie tętna, to jednak harmonizowało z tym rytmem. Przypominało złowróżbne pulsowanie zrodzone w jego szwankującym sercu, nie żadne pukanie dłoni w rękawiczkę do drzwi ani dobijanie się tłustej cmy do okna, ale dźwięk z krwi i kości, i gdyby tym razem nie ustało, gdyby trwało wystarczająco długo, w końcu doczekałoby się odpowiedzi – nie Ryana, tylko śmierci.

Wziął prysznic tak gorący, jak tylko mógł wytrzymać, bo miał nadzieję, że wygna chłód z ciała. Delikatne stukanie nasilało się i cichło, nasilało się i cichło, ale Ryan nie przetarł szklanych drzwi, bo nie spodziewał się, że ujrzy wyszczerzoną twarz intruza.

Gdy przebierał się w garderobie, pomieszczeniu wielkości pokoju, pukanie mogło dochodzić zza drzwi, z którejś szuflady, zza tafli trzyskrzydłowego lustra, ale Ryan nie czuł już potrzeby szukania jego źródła.

Zamówiona superdługa limuzyna z firmy wynajmującej luksusowe samochody przyjechała o ósmej. Szofer nazywał się Nara, chociaż Ryan nie wiedział, czy jest to imię, czy nazwisko. Gdy ruszyli przed dom, wewnętrzne pukanie ustało i już nie powróciło podczas długiej jazdy z Newport Coast do Beverly Hills. Dwa dni wcześniej, jeszcze przed obiadem z Samanthą, Ryan pilnie umówił się na wizytę u doktora Dougala Hobba. Na skutek dezaprobaty Sam chciał je odwołać, ale odłożył tę decyzję na

ostatnią chwilę, czyli ten ranek.

Biorąc pod uwagę niepokojący problem z oddychaniem tej nocy i niedawne odkrycie, że pukanie, które słyszał co jakiś czas, to stłumiony odgłos wewnętrzny, uznał, że rozmowa z Hobbem będzie mądrym posunięciem.

Ryan nie powiadomił doktora Gupty ani Forry'ego Stafforda o swojej decyzji. Nie powiedział o niej nawet Samancie.

Słuchał w tej sprawie wyłącznie instynktu samozachowawczego, który powiedział mu rano, że spotkanie z doktorem Hobbem jest nie tylko wskazane, ale i konieczne, jeśli ma przeżyć, tak jak schody przeciwpożarowe to jedyna droga ucieczka dla człowieka uwięzionego w płonącym wieżowcu.

•••

Doktor Dougal Hobb nie prowadził praktyki w jednym z lśniących drapaczy chmur przy Wilshire Boulevard, gdzie znajdowały się gabinety wielu innych lekarzy. Zajmował dwupiętrowy budynek przy cichej ulicy na skraju biznesowej dzielnicy Beverly Hills.

Ta elegancka neoklasyczna konstrukcja – biała z czarnym dachem pokrytym płytkami łupkowymi, przysłonięta starymi magnoliami, które swoimi wielkimi elipsowatymi liśćmi rzucały cienie na ściany – przypominała bardziej prywatną rezydencję niż miejsce pracy. Tylko dyskretna mosiężna tabliczka przy drzwiach z napisem „dr D. Hobb” zdradzała, co się tu mieści.

W holu znajdowało się troje drzwi, a na jednych z nich widniała informacja: „Wizyty”.

Okazało się, że mieściła się za nimi poczekalnia o mahoniowej podłodze, na której leżał stary perski dywan, dziewiętnastowieczny tabriz, który lśnił tak, jakby był utkany ze złota. Wygodne krzesła i stylowe stoliki świadczyły, że pacjentów traktuje się tu jak gości. Ryan nie potrafił zidentyfikować muzyki klasycznej, która grała cicho, ale stwierdził, że działa na niego kojąco.

Recepcjonistka, atrakcyjna kobieta po czterdziestce, nie miała na sobie stroju szpitalnego ani bezkształtnego mundurka, które obowiązują obecnie w większości gabinetów lekarskich, ale designerski beżowy kostium z dżerseju.

Zarówno ona, jak pielęgniarka o imieniu Laura, która w małej sali założyła Ryanowi kartę i przeprowadziła z nim wstępny wywiad medyczny, były eleganckie, profesjonalne, sprawne i sympatyczne.

Ryan miał wrażenie, że po burzy wpłynął do słonecznego portu. Laura, dziewczyna po dwudziestce, miała owalny medalion na złotym kunsztownie plecionym łańcuszku. Na froncie z emalii znajdował się stylizowany złoto-czerwony ptak z rozpostartymi skrzydłami, zrywający się do lotu.

Kiedy Ryan zwrócił uwagę, że to piękna rzecz, pielęgniarka . odparła:

– To feniks. Doktor Hobb podarował mi ten medalion na trzecią rocznicę. – Widząc jego zdziwienie, zarumieniła się i pośpiesznie wyjaśniła, żeby jej źle nie zrozumiał: – Doktor to mój teść. A Andrea... pani Barnett, recepcjonistka... to jego siostra.

– Praktyka lekarska nie kojarzy się z biznesem rodzinnym – zauważył Ryan.

– Są bliską rodziną – odparła – to wspaniali ludzie. Blake, mój mąż, ukończył medycynę na Harvardzie.

– Kardiologię?

– Chirurgię sercowo-naczyniową. Po odbyciu stażu będzie pracował z Dougalem... to znaczy doktorem Hobbem. Ponieważ jego rodzice nie dbali szczególnie o więzy rodzinne i tradycję, Ryan pozazdrościł klanowi Hobbów.

Zamiast zaprowadzić Ryana do gabinetu, Laura zaprosiła go najpierw do pokoju przyjęć Dougala Hobba.

– Pan doktor przyjdzie za minutkę, panie Perry.

Ryan znowu poczuł się raczej jak w domu prywatnym niż u lekarza, mimo że na jednej ze ścian wisiały dyplomy medyczne i liczne odznaczenia.

Wilson Mott dostarczył mu dokładny raport na temat chirurga, Ryan darował więc sobie studiowanie oprawionych w ramkę zaświadczeń.

Podziwiał natomiast wiśniowe biedermeierowskie biurko inkrustowane kością słoniową, gdy wszedł doktor Hobb.

Miał niespełna sześć stóp wzrostu, był szczupły i wysportowany, ale nie za chudy. W czarnych mokasynach, szarych wełnianych spodniach, swetrze w kolorze żurawinowym i białej koszuli bez krawata, Hobb nie sprawiał wrażenie szczególnie potężnego, ale Ryan od razu poczuł bijącą od niego siłę.

Chociaż obdarzony zdecydowanym barytonem, Hobb mówił cicho, z wyczuwalnym od czasu do czasu przyjemnym akcentem, być może kalifornijskim. Miał gęste szpakowate włosy, ale nie w rodzaju srebrnej lwiej grzywy; brązowe oczy patrzyły wprost, twarz miał miłą, lecz nie przystojną. A jednak emanował charyzmą.

Usieli w fotelach po przeciwnych stronach biedermeierowskiego stolika na jednej nodze, z pięknego drewna wiśniowego, żeby, jak powiedział doktor Hobb, „poznać się lepiej”.

Po kilku minutach Ryan zorientował się, że doktor Hobb wywierał tak duże wrażenie, bo w pierwszej chwili wydawał się skromny, a nawet pokorny, gdy tymczasem jego umiejętności i dokonania kazały spodziewać się kogoś pewnego siebie, jeśli nie aroganckiego, a także dlatego, że wyczuwało się u niego autentyczną troskę o pacjenta i współczucie, które wyrażał bez nadmiernej gorliwości ani nadskakiwania pacjentowi.

– Te ostatnie trzy miesiące – mówił Ryan – były oczywiście przerażające i przygnębiające, ale to nie tylko z powodu lęku i napadów depresji jestem bardziej bezradny. To był dziwny, nawet

dziwaczny okres, mam poczucie, że w moim życiu dzieje się coś bardzo złego, niezależnie od choroby. Wciąż wydaje mi się, że ktoś mną manipuluje, że nie panuję już nad własnym życiem, że mam niewłaściwą opiekę medyczną. Zdaję sobie sprawę, że facet w moim wieku może łatwo ulec paranoi, kiedy słyszy taką diagnozę, bo to dla niego szok. Chodzi mi o to, że mam trzydzieści cztery lata i nie potrafię pogodzić się z myślą, że umrę.

– Nie dopuścimy do tego – oświadczył doktor Hobb, pochylając się w fotelu. – Po prostu do tego nie dopuścimy.

Biorąc pod uwagę swoje szanse, Ryan obawiał się, że takiego oświadczenia, jakie wygłosił Hobb, nie można brać poważnie, a jednak tak właśnie je przyjął. Uwierzył, że Dougal Hobb nie pozwoli mu umrzeć, i przepełniła go taka ulga i taka wdzięczność, że oczy zaszyły mu łzami i przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

28

Tamtego dnia, poświęciwszy czas wyłącznie Ryanowi, doktor Hobb poddał go licznym badaniom, choć nie zlecił kolejnej biopsji mięśnia sercowego. Założył rozsądnie, że laboratorium prawidłowo przeprowadziło analizy tkanek dostarczonych przez doktora Gupty. W ramach dodatkowych badań zaordynował najnowocześniejszą analizę krwi, szukając ekspresji genów, która by potwierdziła niewydolność mięśnia sercowego charakterystyczną dla dziedzicznej kardiomiopatii. I znalazł ją.

Ryan nie łudził się, że diagnoza doktora Gupty zostanie obalona. Czego oczekiwał od Dougala Hobba – to nadziei, jaką dawała świadomość, że jest w rękach wybitnego lekarza, który z równą determinacją prowadzi praktykę w swojej specjalności, jak Ryan buduje firmę Be2Do.

Doktor Hobb przepisał dwa z czterech leków, które brał do tej pory Ryan, pozostałe dwa polecił odstawić i dodał jeszcze trzy. O siódmej wieczorem, znowu w swoim gabinecie, przed odesłaniem Ryana do Newport Coast, chirurg dał mu zgrabny telefon alarmowy. Naciskając dwukrotnie tylko jeden guzik, Ryan mógł połączyć się przez satelitę z pogotowiem.

– Proszę go mieć stale przy sobie – poradził Hobb. – Niech go pan ładuje co wieczór na szafce przy łóżku. Ale proszę brać go ze sobą za każdym razem, gdy idzie pan do toalety, na wypadek gdyby tam się coś panu stało.

Dał też Ryanowi listę fizjologicznych reakcji – takich jak epizod z zaburzeniem oddychania – w razie których powinien bez wahania skorzystać z telefonu.

– A kiedy zostanie zawiadomiony, że pańskie czekanie się skończyło, że znaleziono dla pana odpowiednie serce – powiedział Hobb – skontaktuję się z panem przez ten sam system pomocy

medycznej. Czas ma zasadnicze znaczenie w tych sprawach. Nie lubię zdawać się na zwykłe telefony. Pacjent nieświadomie je wyłącza, uruchamia pocztę głosową. Dopóki ten aparat jest naładowany, działa. Nie ma wyłącznika. Dlatego proszę go regularnie ładować i trzymać przy sobie. Może być potrzebny w każdej chwili.

•••

Po dwugodzinnej jeździe wynajętą limuzyną z milczącym, poważnym Naraką za kierownicą Ryan wrócił do domu. U doktora Hobba podano mu lekki lunch, ale nie jadł kolacji. Przeszukał więc lodówkę i przygotował sobie skromny posiłek. Lee i Kay Tingowie skończyli już pracę i wrócili do swojej prywatnej kwatery – co tam robili, Ryana nie interesowało. Nie podejrzewał ich już o żadne knowania.

A jeśli nawet żywił jeszcze drobne podejrzenia, już nie obawiał się, że Tingowie mogą mu na tym etapie zaszkodzić. Przejął kontrolę nad własnym losem i nikt z kręgu otaczających go ludzi o tym nie wiedział.

Chociaż doktor Hobb mógł uznać to za przejaw ekscentryzmu ze strony swojego nowego pacjenta albo coś jeszcze gorszego, uszanował jego życzenie i zgodził się nie informować Samara Gupty, że Ryan przeszedł pod opiekę innego kardiologa.

Od siedmiu lat Ryan ubezpieczał się prywatnie, bo nie cierpiał ubezpieczyciela systemu opieki zdrowotnej i biurokracji państwowej, tej niekończącej się papierkowej roboty. Czek na sto tysięcy dolarów, wystawiony przez niego Dougalowi Hobbowi w ramach zaliczki na pokrycie wszystkich przyszłych kosztów, wpłynął na rozluźnienie procedur obowiązujących u lekarzy. Ryan zamierzał chodzić na wizyty okresowe do doktora Gupty, ale nie korzystać z jego rad ani nie brać przepisanych przez niego leków.

Mimo że nie podejrzewał Gupty bardziej niż Lee i Kay Tingów, obawiał się, że jeśli kardiolog dowie się o zaangażowaniu Hobba, mógłby podzielić się tą informacją z Forrym Staffordem, a ten – albo jego żona Jane – przekazałiby ją Samancie.

Uważał Forry'ego za przyjaciela. Ale przecież przyjaciele nie rzadko zawodzili. Brat zwracał się przeciwko bratu od czasów Kaina i Abla, a w tym barbarzyńskich czasach może nawet częściej i bardziej bezwzględnie.

Chociaż w głębi serca żywił już niezachwiane przekonanie, że Samantha jest wobec niego lojalna i by go nie zdradziła, a rozum zgadzał się w dużej mierze z sercem, pamiętał dobrze to, co tak niedawno powiedziała przy obiedzie.

„Gdybyś znał mnie tak dobrze jak ja ciebie, być może nie kochałbyś mnie”.

Kochał ją tak, jak dotąd nie kochał nikogo, i ufał jej, jak nie ufał nikomu. Ale na tym świecie ludzie kochający i pełni ufności byli szczególnie słabi i narażeni na zdradę.

„Ludzie są tacy skomplikowani, tak beznadziejni... trudno kogoś poznać dogłębnie, do samego jądra, i wciąż go kochać”.
Być może był to największy dowód szczerości i miłości, z jakim dotychczas się spotkał.

Ale w swoim obecnym stanie, kiedy cierpienie tak łatwo mogło przekształcić się w rozpacz, nie potrafił odsunąć od siebie myśli, że jej słowa to przejaw doskonałej manipulacji.

Nie za bardzo lubił teraz samego siebie. Mógł nie za bardzo lubić jeszcze długo. Ale lubił siebie na tyle, że pragnął żyć.

Siedząc na stołku przy mniejszej z dwóch kuchennych wysp, tylko przy świetle okapu nad płytą grzewczą, jadł ser haloumi na krakersach z zaatarem, czarne oliwki, sudżuk pokrojony w plasterki i szparagi na zimno. Zakończył posiłek gruszką i pistacjami.

Przypuszczał, że w nadchodzących tygodniach i miesiącach częściej będzie jadał sam, niżby sobie życzył.

Przestudiował etykiety na pięciu słoiczkach z lekami, które przepisał mu doktor Hobb, wziął je zgodnie z zaleceniem.

Na górze, już w sypialni, wstawił telefon alarmowy do ładowarki, którą z kolei umieścił na szafce nocnej, jak najbliżej łóżka, żeby mógł po niego sięgnąć w każdym stanie. Tak jak podczas kilku poprzednich wieczorów nie zamierzał przed snem wyłączać lampki. Ostatnio, gdy budził się w ciemnościach, miał wrażenie, że jest w trumnie, że został przedwcześnie pochowany i nie ma czym oddychać.

Leżąc w łóżku, przed telewizorem nastawionym na stary western – *Poszukiwacze* z Johnem Wayne'em – Ryan wrócił myślą do decyzji, które podjął tego dnia, i stwierdził, że były słuszne.

Pokładał ogromną wiarę w swoim nowym kardiologu, choć nawet Hobb nie znał odpowiedzi na jedno pytanie. Nie potrafił wytłumaczyć, skąd się bierze to ciche uporczywe pukanie, które nękało Ryana raz po raz, mimo że zdecydowanie odrzucał teorię, że to jakaś dolegliwość związana z kardiomiopatią.

Hobb sugerował, że dźwięk ten może natomiast świadczyć o jakimś problemie ze słuchem, chorobie ucha. W końcu Ryan udał, że rozważa taką możliwość, choć nadal był pewny, że pukanie dochodzi nie z uszu, ale z piersi.

Teraz z zaledwie połowiczną uwagą śledził losy Johna Wayne'a na Zachodzie po wojnie secesyjnej, bo gdy tak leżał, oczekiwał, że znowu odezwie się pukanie.

W końcu, kiedy film już się kończył i Ryana ogarniała coraz większa senność, pomyślał, że może pukanie już nie wróci, bo odpowiedział na nie, otworzył drzwi.

Nie wiedział, co właściwie ma na myśli. Była to niejasna refleksja, która przyszła mu do głowy, gdy już prawie zasypiał.

•••

W nocy zmaterializował się wokół niego jakiś krajobraz i po raz pierwszy od wielu miesięcy Ryan znalazł się w jednym z tych

miejsz, które zakłócały mu spokojny sen we wrześnieu.

Na początku było tylko wrażenie jakiejś głębin. Olbrzymiej, pustej, bezdennej i przerażającej.

Potem pustka zamieniła się w wodę, niewidoczną bez światła, zupełnie cichą, bo pozbawioną prądów i fal, ani ciepłą, ani zimną, raczej domyślał się jej obecności, niż ją czuł.

Nad wodą wiał wiatr, tajemniczy wiatr szemrzący bez melodii, a w nim było światło, bladeść księżycy unosząca się niczym pył, srebrząca każdą zmarszczkę na wodzie, choć jej toń pozostała czarna.

Wiatr zawiął znowu, potem zanikł i wokół jeziora wypiętrzyła się ziemia, nie żyzna gleba, ale zimne skały, a na tych skałach wyrosły drzewa, pozbawione koloru jak cienie.

Ryan stwierdził, że stoi na skałach, tak jak wcześniej, ale coś się zmieniło. Nie był jedynym gościem nad jeziorem.

Na drugim brzegu zobaczył jakąś postać. Mimo panujących ciemności dało się dostrzec tę drugą osobę, bo otoczona była jeszcze mroczniejszą scenerią i odcinała się od niej.

Gdy zaczęła powoli wędrowkę po kamieniach dookoła jeziora, Ryan zorientował się, że to musi być Samantha, choć nie widział ani jej twarzy, ani sylwetki.

Zawołałaby go, tak jak on zawołałby ją. Ale w tym miejscu nie było powietrza, które poniosłoby ich głosy.

Ruszył jej na spotkanie, gdy tak szła ku niemu, ale zrobił tylko kilka kroków na zdradzieckich skałach, bo nagle poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Nawet w mroku rozpoznał Williama Holdena.

Dawno zmarły aktor – który grał w *Sabrinie*, *Moście na rzece Kwai* i wielu innych filmach, zdobył Oscara za rolę w *Stalagu 17* – powiedział: „To nie ona, chłopie”.

Ryan nie zadziwił się, że Holden mówi w tej pozbawionej powietrza krainie. Aktorów nigdy nie dotyczyły zasady, które obowiązywały innych.

Przystojną twarz aktora pobruzdziło cierpienie, tak jak wtedy gdy grał w *Dzikiej bandzie* i w *Sieci*.

„Posłuchaj, chłopie. Mam problem z piciem. Kiedyś w Europie prowadziłem po pijanemu, zdarzył się wypadek, zabiłem przypadkową osobę”.

Nawet gdyby Ryan mógł się odezwać, nie wiedziałby, co odpowiedzieć na to dziwne wyznanie aktora.

Wciąż w pewnej odległości, druga postać powoli zbliżała się brzegiem.

„Nie bądź głupi, Kropka Com. To nie ona. Chodź ze mną”.

Ryan poszedł za Holdenem, oddalając się od wytrwale podążającej wzdłuż brzegu postaci. Choć była to długa, wyczerpująca noc, okrążyli razem jezioro – w filmie mogliby uciekać przed Indianami albo niemieckimi żołnierzami – i Ryan pomyślał, że powinien pogratulować aktorowi występu w *Bulwarze Zachodzą-*

cego Słońca albo poprosić o autograf, ale nic nie powiedział i Holden też już się nie odezwał.

Przed świętami i w czasie świąt Ryan wynajdywał różne powody, żeby rzadziej widywać się z Samanthą; spędzał z nią tylko tyle czasu, ile wymagały pozory, aby się nie domyśliła, że celowo jej unika.

Kochał ją bardziej, niż kiedykolwiek uważał to za możliwe. Ale bał się, że ponieważ tak dobrze go zna, mogłaby na podstawie jakiejś niewinnej uwagi czy wyrazu jego twarzy odkryć, że po kryjomu zmienił lekarza.

Nie chciał się z nią kłócić, ale perspektywa kłótni przerażała go mniej niż pewność, że będzie nim rozczarowana, kiedy się dowie, co zrobił. A potrzebował jej aprobaty, jak kania dżdżu.

W swoim stanie zdrowia Ryan mógł się wymówić nie tylko stałymi świątecznymi obowiązkami, ale i powodowanymi przez leki dolegliwościami – mdłościami, bólami głowy, bezsennością i wahaniem nastroju – które od czasu do czasu rzeczywiście odczuwał.

A kiedy byli razem, próbował ją oczarować, zainteresować, rozbawić, być bardziej Winkym niż Kropką Com, nigdy nie dając po sobie poznać, ile go to kosztuje wysiłku. Przy niej przychodziło mu to łatwiej niż przy kimkolwiek innym, bo Samantha już taka była, że wyzwalała w nim to, co najlepsze. Zawsze chciał ją zadowolić, nawet w czasach, gdy nie miał przed nią nic do ukrycia. Od czasu postawienia diagnozy we wrześniu, jego choroba odcisnęła swoje piętno i na Samancie, może nie takie jak na Ryaniu, który płacił wyższą, bo psychiczną cenę, ale na tyle poważną, że zaczęło jej brakować czasu i pasji niezbędnych do pracy pisarskiej. Nie była zablokowana, ale nie mogła liczyć na przyływ natchnienia.

Teraz, kiedy Ryan spotykał się z nią rzadziej, mogła poświęcić więcej czasu na pracę. A gdy znowu wciągnęło ją pisanie powieści, Ryan wykorzystywał jej entuzjazm, aby ją zwodzić. Kiedy długie sesje pisarskie przynosiły owoce, miała dobry nastrój i było mniej prawdopodobne, że zauważy, jak wiele czasu się nie widzą.

Co tydzień albo co dziesięć dni Ryan jechał limuzyną do Beverly Hills do doktora Hobba, który stanowczo na to nalegał, chcąc monitorować stan jego serca. Z każdą wizytą był bardziej przekonany, że podjął właściwą decyzję, zwracając się do tego oddanego sprawie człowieka.

Pewne nieprzyjemne skutki uboczne leków dawały się Ryanowi we znaki, ale nie doznał kolejnych bolesnych ataków, arytmii ani problemów z oddychaniem, jakie zdarzały mu się wcześniej. To świadczyło o kwalifikacjach doktora Hobba i potwierdzało, że

Ryan postąpił słusznie, przejmując kontrolę nad swoim leczeniem, krzyżując plany tym, którzy w tajemnicy mogli źle mu życzyć. Czternastego stycznia o piątej rano wreszcie zadzwonił telefon. Znalaziono dla niego odpowiednie serce.

Ze wszystkich list, na jakich pojawiała się jego nazwisko – pierwszej setki magnatów internetowych „Forbesa”, czołowej dwudziestki najbardziej kreatywnych władców sieci magazynu „Wired”, pierwszej setki najatrakcyjniejszych kawalerów do wzięcia czasopisma „People” – wreszcie znalazł się na pierwszym miejscu tej najważniejszej.

Po tych wszystkich miesiącach oczekiwania w końcu zadzwonił telefon, ogłaszając rozpoczęcie akcji, i okazało się, że czas odgrywa rolę przekraczającą dotychczasowe wyobrażenia Ryana. Ciało dawcy, u którego stwierdzono śmierć mózgową, miało być podtrzymywane przy życiu, dopóki Ryan nie przyjedzie do szpitala i nie zostanie przygotowany do operacji. Jeśli nie zachodziła potrzeba przechowywania serca przez kilka godzin w czterdziestoprocentowym roztworze soli fizjologicznej ani transportowania go, jeśli ten sam zespół chirurgów mógł je wyjąć z ciała dawcy i bezzwłocznie przeszczepić biorcy, szanse powodzenia znacznie wzrastały.

Ale sprawy wciąż mogły przybrać niekorzystny obrót. Zależnie od obrażeń czy dolegliwości, które spowodowały śmierć mózgową, dawca mógł jeszcze doznać ataku serca, co poważnie uszkodziłoby mięsień, i w efekcie nie nadawałoby się ono do przeszczepu. Infekcja nerek, wątroby czy innego organu wewnętrznego, drugorzędna wobec przyczyny śmierci dawcy i niewykryta od razu, mogła doprowadzić do toksemii albo w ekstremalnej sytuacji do wstrząsu septycznego i ogólnego uszkodzenia tkanek. Mogła zepsuć się aparatura podtrzymująca życie. Mogło zawieść awaryjne zasilanie w szpitalu.

Ryan wolał nie zastanawiać nad tym, co może pójść nie tak. W swoim stanie najgorsze, co mógł zrobić, to pozwolić, żeby ogarnął go strach. Przeżył zaledwie jedną trzecią roku, który dał mu doktor Gupta, nie gwarantując, tylko prognozując. Serce w każdej chwili mogło go zabić, a wtedy nie byłby już biorcą, tylko dawcą, a jego narządy: rogówka, płuca, wątroba i nerki, zostałyby wycięte na użytek innych.

Tuż po piątej, gdy tylko został powiadomiony, Ryan zadzwonił do Samantha, pragnąc desperacko, żeby nie odebrała telefonu. Nie chciał rozmawiać z nią bezpośrednio, odpowiadać na jej pytania, usłyszeć rozczarowania w jej głosie ani strachu o niego, który na pewno by wyraziła.

Pisząc ostatnie rozdziały powieści, Samantha często pracowała do późna i kładła się spać po północy. Ryan miał nadzieję, że wyłączyła telefon i będzie mógł nagrać się na jej pocztę głosową – co też zrobił.

Nawet jej bezbarwne „przepraszam, że nie mogę w tej chwili odebrać” dźgnęło go boleśnie jako prozaiczne i jednocześnie poruszające. Zaczął się zastanawiać, czy jeszcze usłyszy jej głos, zobaczy ją.

„Sam, kocham cię, kocham bardziej, niż potrafię wyrazić. Posłuchaj, właśnie odebrałem telefon. Jest dla mnie serce. Zaraz wylatuję. Tak to zorganizowałem, że przeszczepu dokona doktor Hobb ze swoim zespołem. Nie mówiłem ci, bo pomyślałabyś, że zwariowałem, a ja nie zwariowałem, Sam, myślę, że zrobiłem to, co musiałem. Może nie potrafiłem pogodzić się z diagnozą, może trochę odchodziłem od zmysłów, a może paranoja to skutek uboczny działania leków, ale nie sądzę. Wszystko jedno, uporam się z tym wszystkim, gdy odzyskam zdrowie, gdy wrócę, jeśli mi się uda. Sam, Sam, mój Boże, Sam, pragnę, żebyś była ze mną, chciałbym bardzo, ale nie gdybym miał umrzeć, a mogę, jest takie ryzyko. Zostań więc tutaj. Chciałbym, żebyś ukończyła powieść, to będzie twój wielki sukces, i żebyś zawsze była szczęśliwa, tak jak na to zasługujesz. Mogłabyś dedykować tę książkę mnie. Nie, nie słuchaj. Nie mam prawa o to prosić. Dedukuj ją komu chcesz, jakiemuś idiotcie, który nie jest tego wart, ale jeśli tak zdecydujesz... Jeżeli jednak ta książka jest o miłości, Sam, a znając cię, musi być, jeśli więc jest o miłości, może powiesz im, że troszkę nauczyłaś się o niej ode mnie. Bo ja nauczyłem się o niej wszystkiego od ciebie. Zadzwońię znowu. Do zobaczenia niebawem. Sam. Najdroższa Sam”.

30

Ryan już od wielu tygodni miał spakowaną walizkę. O piątej czterdzieści pięć zjechał z nią windą na parter i przeszedł przez wielkie pogrążone w ciszy pokoje do drzwi frontowych. To był jego wymarzony dom. Poświęcił wiele czasu i uwagi projektowi i konstrukcji wszelkich elementów. Kochał go. Ale nie pożegnał się z nim, nie tracił ani chwili, aby spojrzeć na niego po raz ostatni. W końcu dom nie miał znaczenia. O tej porze nie było widać ani służby domowej, ani żadnego z ogrodników. Na zewnątrz, w mroku tuż przed świtem, panowała cisza, słychać było tylko stłumione pohukiwanie sowy i jałowy warkot silnika ambulansu na podjeździe. Doktor Hobb zamówił vana. Używając hasła, które dał mu Ryan, zadzwonił na wartownię, żeby wpuszczono ambulans na teren posiadłości. Jeden z sanitariuszy już czekał przy drzwiach wejściowych. Nalegał, że poniesie Ryanowi walizkę. Wsadziwszy bagaż na tył vana, pomógł Ryanowi wsiąść do środka i zapytał:
– Chce pan, żebym usiadł z tyłu obok pana, czy obok kolegi z

przodu?

– Mogę tu być sam – uspokoił go Ryan. – Nie grozi mi żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Położył się na rozłożonych noszach na kółkach i ruszyli w stronę lotniska.

Wokół niego znajdowały się szafki, worek samorozprężalny typuambu, sprzęt do resuscytacji, dwie butle z tlenem i inny sprzęt: wszystko to uświadomiło mu, co go czeka, że jego świat ograniczy się teraz do pomieszczeń szpitalnych.

Niebawem doktor Hobb prześwietli mu klatkę piersiową, otworzy ją, wyjmie jego chore serce, podtrzymując za pomocą aparatury krążenie, a następnie przeszczepi mu serce pełnego troski nieznajomego.

Zamiast wzrosnąć, jego strach zniknął. Tyle czasu czuł się bezsilny, zdany na łaskę losu. Teraz wreszcie coś można było zrobić. Nie jesteśmy stworzeni do czekania. Jesteśmy stworzeni do walki. Jako kierowca Ryan prowadził szybko, ale jako pasażer nigdy nie jechał z taką prędkością jak teraz – zwłaszcza leżąc płasko na plecach. Cieszył go głośny stukot opon, który przypominał mu łoskot załamującej się fali, i szum wiatru, powodowany przez ambulans, tnący wczesny poranek – świst, który nie brzmiał dla niego jak okrzyk przedśmiertny ani syrena alarmowa, lecz prawie jak kołysanka.

Zbliżali się już do lotniska, gdy uświadomił sobie, że nie zadzwonił ani do matki, ani do ojca. A myślał o tym wcześniej. Nie powiedział im o swojej chorobie. Nie miał ochoty teraz ich wtajemniczać, zwłaszcza o tej porze, kiedy matka z pewnością działała w trybie „rozdrażniona”, a ojciec „ogłupiały”, i żadne z nich nie chciałoby ani nie mogłoby przestawić się na inny. Wszystko jedno, żadne z nich nie miało mu do zaoferowanie niczego, czego by potrzebował, a mnóstwo tego, na co nie miał ochoty.

Gdyby zdarzyło się najgorsze, zabezpieczył ich hojnie w testamencie. Mogliby dalej iść beztrąsko przez życie, jeszcze bardziej sobie dogadzając niż do tej pory.

Nie czuł do nich urazy. Nigdy go nie kochali, ale też nigdy nie uderzyli. Chociaż byli niezdolni do miłości, potrafili bić, zasługiwali więc na wdzięczność, że hamowali się pod tym względem. To, co zrobili sami sobie, było gorsze niż wszystko, co zrobili jemu. Gdyby chciał się pożegnać, odczułby znacznie mniejszą satysfakcję z pożegnania z rodzicami niż z domem, na które nie chciał tracić czasu.

•••

Ich celem było lotnisko Long Beach. Zorganizowanie lotu z LAX pochłonęłoby zbyt wiele czasu i byłoby zbyt frustrujące. O tej wczesnej porze na pasie startowym stał więc medijet, większy niż learjet, którym Ryan pierwotnie zamierzał lecieć.

Doktor Hobb wołał wyczarterować ten samolot, bo było w nim miejsce dla jego zespołu oraz rodziny i przyjaciół pacjenta. Jeśli chodzi o Ryana, rodzinę i przyjaciół stanowił obraz Samantha, który miał przed oczami i który podtrzymywał go na duchu. Co więcej, medijet wyposażony był w sprzęt medyczny, który mógł być potrzeby podczas podróży, i umożliwiał transport pacjentów niemogących chodzić albo mających szczególne potrzeby. Trzy karetki, które przywiozły doktora Hobba i jego zespół z różnych miejsc na terenie Los Angeles, stały już w rzędzie obok odrzutowca. Właśnie wsadzono do maszyny ich ostatnie bagaże. Podczas gdy sanitariusz przekazywał jego walizkę stewardowi medijeta, Ryan zatrzymał się na chwilę i spojrzał na wschód, podziwiając różowobrzoskwiniowo-turkusowe niebo o wschodzie słońca. A potem wszedł na pokład odrzutowca, żeby narodzić się na nowo albo umrzeć.

31

Ryan szedł w żółtym świetle, żółć chrzęściła pod jego stopami, a skórę oblewało topniejące żółte ciepło jesiennego słońca. W żółtej oddali ktoś zawołał go po imieniu i choć ten głos był słaby, Ryan go rozpoznał. Nie potrafił powiedzieć, kto go woła, ale poczuł się szczęśliwy. Miał wrażenie, że długi czas przechodzi z jednej żółci w drugą, nieznużony tą monotonią ani brakiem celu, a potem położył się na wznak na czarnej ławce, która wydała mu się wygodna, mimo że była z żelaza. Nad głową zobaczył żółty baldachim, a wokół niego rozpostarł się żółty dywan. Wciągnąwszy powietrze w płuca, zachwycił się zapachem żółci, i wypuszczając je, żałował, że ją wydycha. Stopniowo uświadomił sobie, że ktoś nad nim stoi, trzyma go za prawy nadgarstek, mierząc mu puls. Oślepiające żółte słońce przebijało się przez baldachim żółtych osikowych liści tysiącami promieni, żółć wyostrzała żółć, tak że stawała się ona jeszcze bardziej intensywna i jaskrawa, podświetlając zajmującą się nim osobę i jednocześnie otaczając ją mglistą żółtą poświatą, tak że Ryan nie widział twarzy swojego opiekuna i nie mógł go zidentyfikować. Uznał, że osoba, która mierzy mu puls, to ta sama, która wołała go w słonecznej żółci, i przez chwilę znowu poczuł się szczęśliwy, bo wiedział, że ten ktoś go kocha. Później, kiedy próbował dać wyraz swojej wdzięczności, stwierdził, że nie może mówić i ten stan przypomniał mu chwilę, gdy nie zdołał odpowiedzieć Williamowi Holdenowi na brzegu ciemnego jeziora. Nagle odniósł wrażenie, że mierząca mu puls osoba straciła

żółtą aureolę i skryła się w blasku światła, wyrachowana i przebiegła, już nie życzliwa, i że w gruncie rzeczy jest to ta sama posępna postać, która szła brzegiem jeziora i w której ręce Ryan by się oddał, gdyby nie ostrzeżenia Holdena.

Kciuk i dwa palce obejmujące jego nadgarstek, aby wyczuć puls, były zimne, choć jeszcze przed chwilą wydawały się ciepłe – były wręcz lodowate i ścisnęły go mocniej niż przedtem, sprawiały mu ból, a zarys głowy pochylającej się nad nim w żółtej poświacie, twarz, twarz składająca się wyłącznie z wielkich, żarłocznych szczęk...

Ze zdławionym krzykiem, szukając po omacku jakiegoś oparcia, Ryan usiadł na łóżku szpitalnym w ciemnym pokoju, w którym unosiła się woń środka czyszczącego o cierpkim zapachu sosny.

Pościel pachniała wybielaczem i płynem do płukania tkanin. Była sztywna i lekko szeleściła, jakby ją wykrochmalono. Siedzący w oświetlonym przez lampę kącie pokoju mężczyzna w białych spodniach i białej bluzie odłożył książkę, którą czytał, i wstał z fotela.

Abażur i podstawa lampy aż lśniły – stal nierdzewna albo polerowany nikiel. Winyłowe obicie fotela błyszczało jak miąższ awokado skropiony oliwą.

Wszystko w pokoju sprawiało wrażenie, jakby było mokre albo pokryte lakierem. Wypolerowana biała podłoga z terakoty, lśniący niebieski blat szafki nocnej, ściana połyskująca perłowymi drobkami. Nawet cienie zdawały się opalizować, jakby były z przydymionego szkła, i Ryan zorientował się, że cały ten poblask jest nie tyle rzeczywisty, ile stanowi efekt działania środków nasennych, które mu podano.

Czuł, że w pełni odzyskał przytomność, że jego umysł i zmysły funkcjonują sprawniej niż kiedykolwiek, ale ten niesamowity połysk uświadomił mu, że znajduje się pod wpływem narkotyków. W momencie gdy przytknął głowę do poduszki, znowu ogarnął go sen. Poczul się bezradny i narażony na niebezpieczeństwo.

Na okna napierała mętna, nieprzyjazna chromowo-żółta ciemność charakterystyczna dla wielkich miast nocą.

– Zły sen? – zapytał pielęgniarz.

Wally. Wally Dunnaway. Członek siedmioosobowego zespołu doktora Hobba. Wcześniej ogolił Ryanowi brzuch i pierś.

– Zaszło mi w gardle – powiedział Ryan.

– Doktor nie chce, żeby pan pił zbyt dużo przed poranną operacją, ale mogę dać panu kilka kostek lodu, które stopią się w ustach.

– Poproszę.

Wally odkorkował karafkę, która stała na szafce nocnej.

Błyszczącą łyżeczką o długim trzonku, wyłowił kawałek lodu, błyszczącego, i włożył Ryanowi do ust.

Dał mu trzy kawałki lodu, zakorkował karafkę i odłożył łyżeczkę.

Patrząc na zegarek, Wally zmierzył Ryanowi puls.

Ten człowiek nie był w żółtym śnie ani kochającą osobą, ani wroga. Nic w tym pokoju, w tym szpitalu, nie mogło wywołać tamtego snu.

Puszczając nadgarstek Ryana, Wally powiedział:

– Niech pan zaśnie.

W jakiś sposób, którego Ryan nie potrafił wyjaśnić, jego sen był równie realny jak ten pokój, ani bardziej, ani mniej. Czuł to w kościach, choć nie potrafił zrozumieć.

– Proszę teraz zasnąć – nalegał Wally.

Jeśli sen to mała śmierć, jak napisał jakiś poeta, ten sen miał być śmiercią w jeszcze większym stopniu niż jakikolwiek inny, jakiemu Ryan się poddał. Musi więc mu się oprzeć.

A jednak położył głowę na poduszkę i nie mógł już jej unieść.

Był bezradny i w niebezpieczeństwie.

Popęlnił błąd. Nie wiedział jaki, ale czuł jego wagę, która ściągała go w dół.

Gdy z wysiłkiem próbował otworzyć oczy, połysk każdej powierzchni zamieniał się w błysk, każdy błysk w blask, a każdy blask w oślepiającą jasność.

•••

„Dzwony. Przepowiedziane dzwony biją znowu”.

Bicie dzwonów, bum, bum, bum, bum, ich poważna muzyka wyrwała Ryana ze snu.

Początkowo myślał, że to dzwony ze snu, ale bicie nie ustawało i Ryan zebrał siły, żeby usiąść, chwytając się rękami poręczy łóżka. Na świecie za oknem wciąż panowała ciemność, pielęgniarz stał po tej stronie szyby, wyglądając na zewnątrz, przenikając wzrokiem fale wznoszącego się dźwięku.

Wielkie ciężkie dzwony wstrząsały nocą, jakby chciały ją rozwalić, w ich tonie była taka melancholijna groźba.

Zanim Wally Dunnaman go usłyszał i odwrócił głowę w stronę łóżka, Ryan powtórzył kilka razy, coraz głośniej:

– Po drugiej stronie ulicy jest kościół.

Kiedy wprowadzono go do tego pokoju, zauważył przy sąsiedniej przecznicy świątynię. Wieża kościelna sięgała okien czwartego piętra, na którym się znajdowali.

– Dzwony nie powinny bić o tej porze – zauważył Wally. – I to tak długo. Nie widać nawet światła w kościele.

Dziwnie lśniąca cienie jakby zadrżały od tego bicia, płacznego i jękliwego, nieustającego.

To dzwonienie, które wprawiało w drganie szyby okienne, ściany i kości, przeraziło Ryana, przeniknęło do jego krwi i sprawiło, że serce zaczęło walić mu jak młot. Wciąż było to jego serce, słabe i chore, i Ryan przestraszył się, że może pęknąć pod wpły-

wem tych ogłuszających uderzeń.

Przypomniał sobie, co pomyślał, gdy się obudził: Dzwony.

Przepowiedziane dzwony biją znowu.

Przepowiedziane, ale kiedy, przez kogo i co mają znaczyć?

Pomyślał, że gdyby nie leki usypiające, które skaziły mu krew i zamroczyły umysł, znałby odpowiedź przynajmniej na dwa z tych pytań.

Działanie leków nie tylko jednak polakierowało wszystkie powierzchnie w pokoju, nie tylko wypolerowało na błysk każdy cień, ale także wywołało u niego synestezję i odbierał każdy dźwięk także węchem, nie tylko słuchem. Woń wodorotlenku żelaza, tlenku żelaza, można nazwać go rdzą, przepływała nad łóżkiem nieprzyjemnymi falami.

Niekończące się bicie dzwonów, bum, bum, bum, pozbawiło Ryana poczucia czasu i miał wrażenie, że niebawem pozbawi go także zdrowych zmysłów.

W końcu, przekrzykując ten łoskot, Wally Dunnaman doniósł:

– Przyjechał wóz policyjny. O, i jeszcze jeden!

Przytłoczony biciem dzwonów Ryan opadł na plecy, znowu kładąc głowę na poduszkę.

Był bezradny i w niebezpieczeństwie, w niebezpieczeństwie, w niebezpieczeństwie.

Z jakąś desperacją, nie mogąc się skupić, nawet dla własnego dobra, próbował poskładać myśli, złożyć je razem jak kawałki rozbitej porcelany. Stało się coś bardzo złego i wciąż miał jeszcze czas, żeby to naprawić, gdyby tylko potrafił zrozumieć, co należy zrobić.

Dzwony zaczęły bić już mniej agresywnie, ich wściekłość przeszła w gniew, gniew w niechęć, a niechęć w jeden przeciągły jęk, który zabrzmiał jak głośnie skrzypienie ciężkich drzwi na pordzewiałych zawiasach.

Gdy dzwony zamilkły i środki usypiające powoli znowu wzięły go w aksamitną niewolę, Ryan zorientował się, że po policzkach spływają mu łzy, i poczuł sól w kąciku ust. Nie miał siły, żeby unieść ręce i otrzeć twarz, i gdy płacząc, usnął, nie czuł już wstydu z powodu łez ani zdziwienia, że się pojawiły, bo stracił świadomość.

•••

Niedługo po świcie, gdy przekładano go na nosze na kółkach, Ryan był już w pełni przytomny, przestraszony, ale pogodzony z tym, na co się zdecydował.

Sala operacyjna, cała w białych porcelanowych kafłach i stali nierdzewnej, była rzęsiście oświetlona.

Z umywalni przedoperacyjnej wyszedł doktor Hobb ze swoimi współpracownikami, wśród nich brakowało tylko Wally'ego Dunnawaya, który nie uczestniczył w operacji. Oprócz Dougala Hobba do zespołu należeli anestezjolog, trzy pielęgniarki z oddziału kar-

diologii, asystujący chirurg i dwaj inni lekarze, których specjalizacji i funkcji Ryan nie znał.

Poznał ich wszystkich w samolocie i wszystkich polubił, na tyle, na ile można polubić kogoś, kto niebawem cię otworzy i będzie grzebać w twoim wnętrzu beztrzesko jak we wnętrznościach indyka na Święto Dziękczynienia. Musi istnieć pewien dystans między krojącymi i krojonymi na sali operacyjnej.

Z wyjątkiem Hobba Ryan nie bardzo rozpoznawał, kto jest kto, bo wszyscy byli w czepkach, maskach i zielonych kitlach. Mogły to być sobowtóry ludzi, których poznał, zespół B zamiast zespołu A, który zaakceptował i opłacał.

Gdy anestezjolog znalazł żyłę na prawym ramieniu Ryana i wbił kaniulę, doktor Hobb poinformował go, że serce dawcy zostało przed chwilą z powodzeniem wyjęte i czeka teraz w schłodzonym roztworze soli.

Ryan dowiedział się w odrzutowcu, że otrzyma serce kobiety, co tylko na chwilę zbiło go z tropu. Miała dwadzieścia sześć lat i była nauczycielką, która doznała rozległego urazu głowy w wypadku samochodowym.

Uznano, że jej serce jest odpowiednich rozmiarów. Spełniało też wszystkie kryteria zgodności immunologicznej, co zdecydowanie zwiększało szanse, że wszystko pójdzie dobrze, nie tylko podczas operacji, ale także później, bo istniało mniejsze ryzyko, że organizm odrzuci przeszczep.

Niemniej, żeby zapobiec odrzutowi i innym komplikacjom, Ryan miał brać zestaw dwudziestu ośmiu leków przez dłuższy czas po transplantacji, a niektóre nawet do końca życia.

Gdy przygotowywano go do operacji, doktor Hobb wyjaśniał mu cel każdej procedury, ale Ryana nie trzeba było uspokajać. Nie mógł już się wycofać. Znalazło się dla niego serce, dawczyni nie żyła, i miał przed sobą tylko jedną drogę w przyszłość.

Zamknął oczy, wyłączył się z przyciszonych rozmów członków zespołu i przywołał przed oczy obraz Samantha Reach. Przez całą młodość i dorosłe życie szukał ideału i wreszcie go znalazł – w niej. Miał nadzieję, że okaże się też idealnie wyrozumiała, choć wiedział, że powinien już zacząć obmyślać pierwsze słowa, jakie wypowie, gdy do niej zadzwoni, gdy będzie na tyle silny i sprawny umysłowo, żeby z nią porozmawiać.

Zamknawszy oczy, ujrzał ją na plaży, jej blond włosy i złote ciało, świetlistą postać, kuszącą oazę na szerokiej łasze spalonego słońcem piachu.

Gdy go uśpili, zapadł w sen, jakby zanurzał się w morzu, a ciemność stała się czymś ciemniejszym od zwykłej ciemności.

Część druga

Nadchodzi teraz zmierzch umysłu.

Oto świetliki, co w krwi się szamoczą.

Donald Justice, *The Evening of the Mind*

W rocznicę przeszczepu serca Ryan Perry nie planował żadnego święta. To, że żył, było już świętem samym w sobie.

Przed południem pracował w garażu, robiąc rutynowy przegląd techniczny lśniącego pięciodrzwiowego deuce coupe z trzydziestego drugiego roku, który kupił na aukcji.

Po południu, usadowiony w fotelu z podnóżkiem, w mniejszym z dwóch salonów, czytał dalej pierwszą powieść Samantha.

W wystylizowanym na przeszkloną werandę pokoju panowała atmosfera pasująca do książki. Przez wysokie okna widać było pluszowe niebo – miękką poduszkę wypchaną delikatnym wilgotnym szarym gęsim puchem. Igły deszczu zszywały rozrzucone chusty rzadkiej mgły, które rwały się znowu, gdy zahaczały o drzewo albo krzew.

Zgromadzone w pokoju palmy i paprocie rzucały na kamienną podłogę pajęczynę cieni. W powietrzu unosiła się woń soczystej zieleni, dość przyjemna, chociaż od czasu do czasu rozchodził się lekki odór czegoś, co mogło być rozkładającym się mchem czy gnijącym korzeniem, wyczuwalny tylko wtedy, gdy czytał fragmenty, które go szczególnie poruszały.

Książka przepojona była lekkim humorem i jedynym z jej głównych tematów była miłość, tak jak podpowiadała mu intuicja, kiedy nagrywał swoją długą wiadomość na pocztę głosową Sam przed transplantacją serca. Jednak w strukturę powieści wplecione zostały także poważne, mroczniejsze wątki i tkanina, która powstała, była ciemniejsza niż użyte włókna.

Opowieść zafascynowała Ryana i choć napisana była lekko i sprawnie, opierał się pokusie, aby szybko przerzucać strony, tylko delectował się poszczególnymi zdaniem. Czytał książkę już drugi raz w ciągu czterech dni.

Winston Amory przysunął do fotela Ryana stolik na kółkach, na którym stał srebrny dzbanek kawy na podgrzewaczu, żeby utrzymać ciepło, i talerzyk z ciastkami migdałowymi.

– Pozwoliłem sobie założyć, że ponieważ nie siedzi pan przy stole, będzie pan wołał kubek zamiast filiżanki.

– Doskonale, Winston. Dziękuję.

Winston nalał kawy do kubka, położył podkładkę na stoliku przy fotelu, a na podkładce postawił kubek. Mając na myśli swoją żonę, powiedział:

– Penelope pyta, czy życzy pan sobie kolację na siódmą, jak zwykle.

– Dziś wieczór trochę później. Na ósmą byłoby idealnie.

– Wobec tego o ósmej, proszę pana. – Winston dwa razy kiwnął głową – była to jego uproszczona forma ukłonu – i oddalił się sztywno, z wyprostowanymi ramionami.

Chociaż Winston prowadził dom i zarządzał służbą z wdziękiem i wielkim profesjonalizmem, Ryan podejrzewał, że on i Penelope trochę udają tę swoją angielskość, począwszy od wymowy po różne manieryzmy, a także obsesję na punkcie protokołu i tego, co wypada, bo zapewne przekonali się na poprzednich posadach, że ich amerykańscy pracodawcy są tym zachwyceni. Te przedstawienia od czasu do czasu go irytowały, ale częściej bawiły i w sumie można je było znieść, bo oboje świetnie wywiązywali się ze swoich obowiązków i miał do nich całkowite zaufanie.

Przed powrotem do domu na dalszą rekonwalescencję po przeszczepie serca Ryan zwolnił Lee i Kay Tingów wraz z resztą służby. Każdemu z nich wypłacił roczną pensję, na co się nie uskarżali, i udzielił referencji, ale żadnych wyjaśnień.

Nie miał dowodów na zdradę, ale też nic, co by ich oczyściło z podejrzeń. Chciał wrócić do domu, w którym znajdzie spokój i bezpieczeństwo.

Raport Wilsona Motta dotyczący Winstona i Penelope Amorych – a także innych nowych służących – był tak wyczerpujący, że Ryan miał wrażenie, iż zna ich jak samego siebie. Nie żywił wobec nich żadnych podejrzeń, a oni nie dawali mu powodu, żeby mógł zwątpić w ich lojalność; i minął już rok bez ani jednego dziwnego incydentu.

Teraz, z kawą i ciastkiem w ręku, Ryan znowu tak zagłębił się w powieść Samantha, że stracił poczucie czasu, i gdy uniósł wzrok znad końca rozdziału, zauważył, że wczesnozimowy zmrok pozbawia już dzień tych resztek światła, którego wcześniej nie pochłonęły deszcz i mgła.

Gdyby oderwał się od książki zaledwie kilka minut później, mógłby nie zauważyć postaci na południowym trawniku.

W pierwszej chwili pomyślał, że ten gość to obłok mgły, bo przypominał mnicha w habitcie z kapturem, jakby żywcem przeniesionego z jakiegoś odległego opactwa.

Po chwili habit zamienił się płaszcz przeciwdeszczowy. Kaptur, niknące światło i odległość czterdziestu stóp skutecznie maskowały wszystko oprócz ledwie widocznego zarysu twarzy.

Gość – „intruz” było chyba lepszym słowem – jakby patrzył w wielkie okno, rozciągające się od podłogi do sufitu, przez które widać było Ryana na fotelu w całej okazałości.

W mżącym deszczu nic się nie ruszało na rozległym południowym trawniku z wyjątkiem powoli pełznących anakond mgły. Po roku całkiem zwyczajnych wydarzeń Ryan chciał już uznać to widziadło za figiel spleatany przez światło.

Jednak postać pojawiła się znowu między trzema cedrami himalajskimi, które ze swoimi zwisającymi gałęziami same przypominały wielkich mnichów uczestniczących w jakiejś uroczystej ceremonii. Sylwetka powoli znalazła się w polu widzenia, a potem zatrzymała, ponownie zwracając wzrok w stronę przeszklonego

pokoju.

W nikiącym z minuty na minutę świetle dziennym jeszcze trudniej było zobaczyć twarz niż przed chwilą, chociaż intruz ośmielił się podejść do domu bliżej.

Gdy Ryan zdał sobie sprawę, że może lepiej nie siedzieć tak w jasno oświetlonym oknie, postać odwróciła się i oddaliła, przecinając trawnik. Wydawało się, że nie odchodzi, tylko sunie, jakby to była mgła, ale o różnej gęstości.

Mętny zmrok w mgle i deszczu wkrótce przeszedł w noc. Intruz już się nie pojawił.

Ogrodnicy otrzymywali pełne wynagrodzenie w deszczowe dni, ale nie przychodzili do pracy; Henry Sorne, główny ogrodnik, mógł się jednak zjawić, żeby sprawdzić stan drenów trawnikowych, z których kilka w przeszłości zatkało się liśćmi podczas burz i nie odprowadzało wody.

Ale to nie był Henry Sorne. Zarys sylwetki, gracia, z jaką poruszała się w niezgrabnym płaszczu, oraz coś w postawie, jaką przybrała, patrząc w okno, podpowiadało Ryanowi, że była to kobieta.

Jedynymi kobietami wśród domowników były Penelope Amory i jej pomocnica Jordana. Żadna z nich nie miała powodu, żeby sprawdzać stan trawników, a nie należały do tych, które lubią spacerować w deszczu.

Posiadłość otaczał mur. Bramy wjazdowe z brązu zamykały się automatycznie, kiedy się przez nie przejechało, i nie mogły otworzyć się przez przypadek. I na nią, i na mur niełatwo też byłoby się wdrapać.

Chociaż dwie bramki dla pieszych wyposażono w zamki elektroniczne, które otwierało się z domu albo przez wstukanie kodu na umieszczonych obok nich klawiaturach, bramkę od frontu można było otworzyć także za pomocą pilota. Miała go tylko jedna osoba poza służbą.

Stojąc w oknie przeszklonego pokoju i nie widząc już nic oprócz własnego odbicia w szybie, za którą rozciągała się noc, Ryan wyszeptał:

– Samantha?

•••

Po kolacji Ryan zabrał powieść Samantha na górę, zamierzając przeczytać jeszcze rozdział czy dwa w łóżku, dopóki nie zaśnie, choć wątpił, żeby nawet podczas drugiej lektury uśpiło go choć jedno słowo.

Penelope, jak zwykle, zdjęła już pikowaną narzutę i odwinęła brzeg kołdry na noc. Lampka była włączona, tak jak lubił.

Na przetrzepanych poduszkach leżała mała celofanowa torebka, skręcona u góry i zawiązana czerwoną wstążką. Penelope nie zostawiała na pościeli słodyczy, a one właśnie znajdowały się w torebce.

Nie były to tradycyjne miętówki ani czekoladki Godiva, pakowane po dwie, jakie często pokojówki w hotelach zostawiały na poduszkach. Torebka zawierała małe białe cukierki w kształcie serduszek, z miłosnymi wyznaniem wymalowanymi na czerwono po jednej stronie, z rodzaju tych, jakie sprzedaje się wyłącznie w okolicach walentynek, a do nich pozostał niespełna miesiąc. Rozbawiony Ryan obrócił w dłoni szeleszczącą torebkę. Zauważył, że wszystkie cukierki mają taki sam napis: „Bądź mój”. Jak pamiętał z młodości, w opakowaniach, w których sprzedawano takie słodczyce, znajdowały się cukierki z różnymi wyznaniem: „Kocham cię”, „Pocałuj mnie”, „Sama słodczy” i inne. Żeby zgromadzić serduszka wyłącznie z takim napisem „Bądź mój”, trzeba było kupić kilka opakowań i wybrać z nich właśnie te. W łazience, siedząc przy toalecie, rozwiązał wstążkę, otworzył torebkę i wysypał cukierki na granitowy blat. Te, które leżały tekstem do góry, nosiły identyczne słowa. Zaczął po kolei odwracać pozostałe i za każdym razem okazywało się, że opatrzone są tym samym napisem: Bądź mój. Patrząc na serduszka, ponad setkę, postanowił, że nie weźmie do ust ani jednego. Wrzucił wszystkie z powrotem do torebki i zawiązał skręcony celofan wstążką. Musiał to być prezent na pierwszą rocznicę przeszczepu, ale nie potrafił zinterpretować jego przesłania, tej dwuwyrazowej prośby. Nie mógł przecież wykluczyć, że cukierki miały całkiem niewinny charakter i były wyrazem dobrych intencji. Uniósłszy wzrok znad natarczywych czerwonych napisów, popatrzył na siebie w lustrze. Nie potrafił nic wyczytać z własnej twarzy.

33

Ryan siedział w łóżku i czytał po raz drugi powieść Samantha, aż ją skończył, tuż po drugiej w nocy. Nie zmierzał kłaść się spać tak późno. Przez chwilę patrzył na zdjęcie autorki zamieszczone z tyłu obwoluty. Żaden aparat fotograficzny nie mógł jednak oddać jej urody. Odłożył książkę i opadł na wysoko ułożone poduszki. Przez trzy miesiące po transplantacji efekty uboczne dwudziestu ośmiu leków, które przyjmował, stresowały go i parę razy mocno zaniepokoiły. Ale dawkowanie się zmieniało, kilka środków zastąpiły inne i później jego rekonwalescencja przebiegała już tak dobrze, że doktor Hobb nazwał go swoim „superpacjentem”. Po roku nie wystąpiły żadne objawy odrzucenia narządu: niewyjaśniona słabość, zmęczenie, gorączka, dreszcze czy zawroty głowy, biegunka czy wymioty.

Najskuteczniejszym sposobem, żeby zidentyfikować ewentualne odrzucenie, była biopsja mięśnia sercowego. Ryan poddał się jej dwukrotnie podczas tego roku jako pacjent zewnętrzny. Patolodzy ani razu nie stwierdzili w próbkach tkanek zmian świadczących o odrzuceniu.

W ramach ćwiczeń Ryan chodził na spacer, pokonując całe mile. W ostatnich miesiącach zaczął jeździć na rowerze stacjonarnym i podnosił niewielkie ciężary.

Był w dobrej formie i dobrze się czuł.

Wszystko wskazywało na to, że należy do tych nielicznych szczęśliwców, u których obce serce zostało przyjęte przez organizm bez negatywnych konsekwencji, nie większych niż po transfuzji krwi. Największym zagrożeniem, wobec którego teraz stanął, była zmniejszona odporność na wszelkie choroby, a to z powodu leków immunosupresyjnych, które musiał brać.

Czekał jednak na jakiś zwrot, zmianę warunków na morzu, niekorzystny obrót, który spowoduje, że przejdzie ze światła w nieprzeniknione ciemności. Wydarzenia, które doprowadziły do transplantacji, wyglądały na niezamkniętą sprawę.

A teraz pojawiły się te cukierkowe serduszka z prostym przesłaniem, które jednak z powodu tej prostoty wydawało się tajemnicze. No i ta postać w deszczu na trawniku.

Przygasił światło lampki przy łóżku. Nawet po roku względnej normalności nie lubił spać w ciemnościach.

Do apartamentu pana domu należały dwa tarasy. Drzwi na nie prowadzące miały cał grubości, stalową płytę w środku i po dwa wpuszczane w ścianę zamki. Ponieważ były podłączone do systemu alarmowego, nie można ich było otworzyć bez włączenia sygnału dźwiękowego.

Z pierwszego piętra do penthouse'u prowadziły główne schody, można się tam było dostać też windą. Drzwi prowadzące z holu do apartamentu pana domu były zabezpieczone od środka zamkiem wpuszczanym, bez otworu na klucz od strony zewnętrznej.

W efekcie, gdyby po włączeniu systemu alarmowego do domu przeniknęli intruzi, nie dostaliby się do tego apartamentu.

W ukrytym sejfie w garderobie Ryan trzymał pistolet kalibru dziewięć milimetrów i pudełko nabojów. Tego wieczoru, przed pójściem do łóżka, załadował broń. Leżała teraz w na wpół wysuniętej szufladzie szafki nocnej.

Mógł powiedzieć na swoją obronę, że lęk przed spiskiem na jego życie w okresie poprzedzającym transplantację nie był efektem zaburzeń umysłowych związanych z niewydolnością krążenia ani skutkiem ubocznym przepisanych mu leków, tylko wynikał z podejrzliwości, która niestety charakteryzowała go od dzieciństwa. Kiedy w młodym wieku człowiek przekonuje się, że nie może ufać rodzicom, podejrzliwość może stać się głównym elementem jego filozofii życiowej.

Jeśli jednak właśnie ta cecha leżała u podstaw całej historii, musiał zwalczyć kolejny atak manii prześladowczej. Może pierwszym krokiem w tym kierunku było schowanie pistoletu z powrotem do sejfów – i to już, nie rano.

Zostawił go jednak w szufladzie przy łóżku.

Nie rozległo się żadne pukanie. Leżąc na prawym boku, *i* uchem wtulonym w poduszkę, Ryan usłyszał spokojne, miarowe bicie swojego nowego serca.

Niebawem zasnął i nic mu się nie śniło.

•••

Obudził się późnym rankiem i przez interkom poinformował panią Amory, że zje lunch o pierwszej w pokoju werandowym. Gdy wziął prysznic, ogolił się i ubrał, włożył zarówno pistolet, jak i paczkę z cukierkowymi serduszkami do sejfów.

Deszcz ustał poprzedniego wieczoru. Ale z północnego zachodu zbliżał się nowy front atmosferyczny i po południu znowu zapowiadano opady.

Kiedy Penelope podała mu lunch na stole w pokoju werandowym, Ryan zapytał ją, czy wieczorem zostawiła na jego poduszce cukierki, choć nie wdawał się w ich opis.

Mimo niewątpliwego talentu do przerysowywania swojej angielskości, z czego nie wyłamała się ani razu, nie sprawiała wrażenia kobiety, która potrafiłaby kłamać bez zmrużenia oka. Wydawało się, że jest zaskoczona pytaniem, a potem zdziwiona, tak jak Ryan, dlaczego miałyby traktować go jak gościa hotelowego w jego domu.

Po lunchu, wróciwszy, żeby sprzątnąć ze stołu, oświadczyła, że wspomniała o cukierkach Jordanie i Winstonowi, ale żadne z nich, była tego pewna, nie miało nic wspólnego z tym być może poddyktowanym najlepszymi intencjami, ale niewybaczalnym incydentem. Nie rozmawiała z pomocnikiem Winstona, Ricardem, ponieważ poprzedniego dnia miał wolne.

W domu był serwisant z firmy zajmującej się konserwacją systemu grzewczego i zmieniał filtry na drugim piętrze. Przyszedł też mechanik, który pracował przy lodówce w aneksie sypialni pana domu. Pani Amory myślała o tym, żeby skontaktować się z nimi i sprawdzić, czy to nie oni są winowajcami.

Powaga malująca się w jej szarych oczach i zaciśnięte usta świadczyły, że traktuje to zdarzenie jako atak na swój autorytet i osobisty afront, za które z ochotą będzie ścigać zuchwalca aż do bram piekieł, jeśli zajdzie potrzeba, i spuści mu straszne lanie.

– To bardzo chwalebne – powiedział Ryan uspokajająco – że z taką energią dąży pani do wyjaśnienia tej sprawy. Ale to nic ważnego, Penelope. Nie wspominajmy o tym poza domem. Ktoś chciał mi zrobić żart, i tyle.

– Może pan być spokojny, już ja przypilnuję tych panów, kiedy następnym razem tu przyjdą.

– Nie wątpię – odparł. – Nie wątpię.

Gdy znowu został sam w pokoju werandowym, wrócił na swój ulubiony fotel i otworzył książkę Samantha, żeby przeczytać ją jeszcze raz.

•••

Deszcz zaczął padać kwadrans po drugiej. Tak jak poprzedniego dnia. Natura była w leniwym nastroju i z nieba ospale sączyła się mżawka.

Od czasu do czasu Ryan przerywał czytanie, aby omieść wzrokiem południowy trawnik.

Odrywał wzrok od książki rzadziej, niż zamierzał. Gdyby postać w kapturze wróciła, mogłaby obserwować go przez pół godziny albo i dłużej, całkiem niezauważona.

Fabula, bohaterowie, sama narracja wciąż go zachwycały, ale przy trzecim czytaniu szukał w tej książce czegoś więcej, niż mogły mu dać inne powieści. Obcowanie z nią było jak obcowanie z Samanthą, słuchanie jej głosu, co sprawiało mu jednocześnie radość i smutek.

Miał również nadzieję, że zrozumie, dlaczego jest między nimi tak, jak jest. Ukończywszy książkę tego samego dnia, w którym dowiedziała się o jego transplantacji, Sam nie mogła pisać żadnej jej części z zamiarem wyjaśnienia rezerwy panującej teraz między nimi, zresztą ludzie nie piszą powieści dla siebie nawzajem, wysyłają list albo rozmawiają przez telefon. Jednak, już podczas pierwszej lektury, czuł, że ta książka kryje coś, co by tłumaczyło ich obecne stosunki.

Powieść, rozbrzmiewająca głosem Samantha, pełna jej uroku i wrażliwości, zawierała także wiele scen, o które Ryan by jej nie podejrzewał, które były w stylu Samantha... tej Samantha, jaką mogłaby być, gdyby nie zmieniły jej pewne zdarzenia w życiu. Przez to miał wrażenie, że nigdy dobrze jej nie znał. Jeśli miał naprawić wszystko między nimi, zrozumienie Sam było niezbędnym pierwszym krokiem, a powieść niewątpliwie oferowała możliwość zajrzenia do jej serca.

Tuż przed zmierzchem Ryan odłożył książkę, żeby zlustrować trawnik, drzewa i południowy odcinek muru wokół posiadłości, który porastała bugenwilla, tworząc dodatkową kolczastą przeszkodę, gdyby jakiś intruz chciał szybko umknąć.

Wstał z fotela, nie gasząc lampy podłogowej, co miało sugerować, że oddalił się tylko na chwilę.

Stanąwszy przy oknie w rogu pokoju, między dwiema palmami królewskimi, na tyle bujnymi, żeby osłonić go przed światłem sufitowym, uważnie przyjrzał się deszczowej scenarii.

Kimkolwiek była ta kobieta, Ryan wątpił, żeby wróciła tak szybko, bo przecież miała świadomość, że widział ją podczas ostatniej wizyty.

Za zasłoną deszczu, za chmurami, powoli nastawał zmierzch i

niebawem noc czernią zasnęła niebo. Postać w kapturze się nie pojawiła.

•••

Po kolacji, kiedy Ryan udał się na drugie piętro, zamknął za sobą drzwi na klucz. Z pewnym lękiem przeszedł z holu prosto do sypialni.

Narzuta została zdjęta, a kołdra odchylona, tak jak być powinno. Ale na poduszkach nic nie leżało.

Chociaż prezent w postaci cukierków był niewątpliwie dziwny, Ryanowi zrobiło się głupio, bo już myślał, iż stanowią one początek nowej serii tajemniczych zdarzeń i znowu wpadnie w spiralę irracjonalnego myślenia jak przed ponad rokiem. Wszystkie te dziwaczne zajścia okazały się zbiegiem okoliczności, a wydawały mu się znaczące tylko z powodu niedokrwienia mózgu i skutków ubocznych działania leków.

Sprawdził jedne i drugie drzwi prowadzące na tarasy. Każde miały standardowy zamek z zasuwą od środka i kluczem od zewnątrz oraz rygiel tylko po stronie wewnętrznej, tak że nikt z zewnątrz nie domyśliłby się jego istnienia. Oba zamki w obojgu drzwiach były zamknięte.

Po umyciu zębów, zabiegach toaletowych i przebraniu się w piżamę Ryan zaczął się zastanawiać, czyby nie wyjąć z sejfu pistoletu. Pomyślał jednak, że musi zachować zdrowy rozsądek, nie powinien dać się ponosić wyobraźni, i wrócił do sypialni bez broni. Na poduszce leżała biżuteria – złoty wisiorek w kształcie serca na złotym łańcuszku.

34

Ryan nacisnął ukryty guzik w garderobie. Ruchomy panel się odsunął, ukazując stalowe drzwi ściennego sejfu.

Pospiesznie wystukał na podświetlonej klawiaturze szyfr. Kiedy na ciekłokrystalicznym ekranie pojawił się napis: „Dostęp”, otworzył sejf, wyjął pistolet, zamknął drzwiczki i stał przez chwilę zamyślony, ściskając w obu dłoniach broń skierowaną ku sufitowi. Kolba wydała mu się szorstka w dotyku. Pistolet sprawiał wrażenie zbyt lekkiego jak na śmiercionośne narzędzie.

Ryan nie chciał nikogo zabić, ale też nie po to przetrwał tyle, żeby łatwo oddać życie.

Boso, w piżamie, wyszedł z garderoby, przeciął sypialnię i stanął przed aneksem. Zapalił światło łokciem i przekroczył próg. Biurko z narry w stylu art déco. Półki na książki. Regał ze sprzętem audiowizualnym. Barek z obudowaną lodówką. Drzwi prowadzące na pierwszy taras były zamknięte od środka. Nikt nie mógł nimi wyjść.

Na taras wychodziły dwa okna. Ryan podciągnął plecione rolety w pierwszym z nich, a potem w drugim, niemal spodziewając się,

że zobaczy za szybą bladą twarz w kapturze, mleczone oczy, zło-
wrogi uśmiech osoby, która zmierzała ku niemu brzegiem jeziora.
Ale nikt tam na niego nie czekał i okna były zamknięte od środka.
Do aneksu przylegała mała łazienka, tylko z toaletą i umywalką.
Tam też nikogo nie było. Zobaczył w lustrze swoją twarz, zaci-
śnięte ponuro usta tworzące kreskę, dziki wzrok. I wielki pistolet.
Wróciwszy do sypialni, sprawdził, że drzwi na drugi taras też są
pozamykane. Tędy również nikt nie wyszedł.

Trzy okna, jedno nieotwieralne. Nagle zawiał wiatr, deszcz
zabębnił o szyby i Ryanowi gwałtownie zabiło serce.

Jedyna kryjówka znajdowała się pod łóżkiem. Chociaż pod ni-
skie królewskie łoże mogłaby wcisnąć się tylko anorektyczna
modelka, Ryan opadł na kolana i zajrzał tam, dzięki swoim świet-
nym służącym nie znajdując ani drobiny kurzu.

Hol. Główne drzwi. Zamki nietknięte.

Łazienka. Duża otwarta przestrzeń. Chłód marmurowej podłogi
pod stopami. Nic się nie poruszyło poza odbiciem Ryana. Drzwi do
toalety, następne do schowka na bieliznę i ręczniki. W jednym i w
drugim nikogo.

W jego wielkiej prywatnej garderobie nie było półek, tylko
szuflady na składane rzeczy. Ubrania wymagające rozwieszenia
umieszczono na drążkach za drzwiami.

Odsuwając garnitury i koszule na bok, dorosły mężczyzna
ukryłyby się w kilku przedziałach. Ryan pootwierał wszystkie
drzwi, ale nie znalazł intruza.

Żeby położyć wisior na poduszce po tym, jak Ryan zamknął się
na noc w apartamencie, ktoś musiał znaleźć się w środku razem z
nim. Ale nikogo tu nie było, a wszystkie okna i drzwi zostały za-
mknięte.

Ryan wrócił do łóżka, trzymając broń przy boku, i stanął, pa-
trząc na wisior.

Tupot, jakby na strychu rozbiegło się stado szczurów. Uniósł
głowę. Żadnych szczurów, deszcz, deszcz bębniący o spadzisty
dach.

Jeśli ktoś wszedłby do apartamentu z tarasu, przez drzwi albo
okno, musiałby zostawić mokre ślady na dywanie. Ryan poczułby
wilgoć pod bosymi stopami.

Nikogo tu nie było. Ktoś musiał tu być. Bezsens.

Jakby wisior był zczarowany albo dotknięcie go oznaczało
jakąś klątwę, Ryan zawahał się, zanim wziął go do ręki. Ciekawość
niejednego już zaprowadziła do piekła.

Gdy tak leżał na poduszce, widać było tylko jedną jego stronę,
delikatnie wypolerowaną. Dyndając na łańcuszku w jego dłoni,
serce obróciło się jednak, ukazując wygrawerowane dwa słowa:
Bądź mój.

Nie był to medalion. Odkrył to z ulgą. Gdyby można było
otworzyć serce, w środku kryłoby się coś, czego nie chciał zoba-

czyć.

BĄDŹ MÓJ.

Gdy zastanawiał się nad tymi słowami, przypominając sobie cukierkowe serduszka, coś go zaniepokoiło, pewne wspomnienie: otwarte drzwi sejfu, gdy pod wpływem strachu wyjmował pistolet. Poniewczasie dotarło do niego to, co zobaczył w sejfie. Stał teraz, nasłuchując szurzego tupotu deszczu, i poczuł, że dobiega się do niego przeznaczenie.

Jeśli to, co sobie przypominał, było prawdą, złudny spokój minionego roku był zapadnię o pordezwiątych zawiasach, które teraz się wyłamały.

Wypierając to swoje wspomnienie i rzucając wisior na szafkę nocną, z pistoletem w ręce wrócił do garderoby, nie pośpiesznie, ale krokiem skazanego na śmierć.

Ruchomy panel był odsunięty, a sejf otwarty. Kiedy zamykał drzwi po wyjęciu broni, zamek zatrzasnął się automatycznie. Na wyświetlaczu widniała informacja: „Zabezpieczony”.

W obecnych okolicznościach to zapewnienie wydało mu się szyderstwem.

Kiedy wystukał szyfr na podświetlonej klawiaturze, ukazał się napis: „Dostęp”. Po chwili wahania otworzył kwadratowe stalowe drzwiczki.

W sejfie znajdowały się cztery tysiące dolarów w gotówce, na wszelki wypadek, dwa drogie zegarki, para brylantowych spinek do mankietów, których nigdy nie nosił. Wszystkie te przedmioty były na swoich miejscach, nietknięte.

W sejfie spoczywało także małe aksamitne pudełeczko od jubilera z pierścionkiem zaręczynowym o wartości osiemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów, dopasowanym już do palca Samantha, którego jednak wciąż nie chciała przyjąć. Pudełeczko stało na swoim miejscu i gdy Ryan je otworzył, brylant zalśnił.

Poprzedniego wieczoru schował do sejfu także cukierkowe serduszka. Celofanowa torebka przewiązana wstążką zniknęła. Zauważył to, ale nie zarejestrował, kiedy przed kilkoma minutami w zdenerwowaniu wyjmował pistolet.

Czego również wcześniej nie dostrzegł, a teraz odkrył to to, że zniknęło też pudełko z nabojami. Nie musiał przeszukiwać całej wnęki. Pudełko nie mogło zawieruszyć się pomiędzy innymi rzeczami: to były drobiazgi, błyskotki, a ono niosło śmierć, było duże i ciężkie.

Początkowo Ryan nie mógł zrozumieć, dlaczego intruz, znalazłszy sejf, zabrał pociski, a nie broń, zostawiając mu dziesięć z nich do obrony.

Hm. Tak. Oczywiście.

Wyjął z pistoletu magazynek. Z niego też usunięto naboje.

Będąc człowiekiem czynu, Ryan rzucił się na poszukiwanie intruza, zaczął biegać z pokoju do pokoju, otwierać gwałtownie

drzwi, ściskając w ręce bezużyteczną broń. Nie znalazł nikogo, ale teraz czuł się upokorzony i ugodzony metaforycznym pociskiem śmiejącego się gdzieś szyderczo przeciwnika.

Po wprowadzeniu siedmiocyfrowego kodu Ryan uzyskał dostęp do systemu programowania sejfu. Unieważnił poprzedni szyfr i zaprogramował nowy, oparty na ważnej dla niego dacie, która dla nikogo poza nim nie miała znaczenia.

Przypuszczał, że to daremny wysiłek. Nikt poza nim nie znał wcześniejszego szyfru, a i tak ktoś włamał się do sejfu.

Żeby odsunąć panel zasłaniający sejf, posłużył się ukrytym przyciskiem w potencjometrze, którym regulowało się oświetlenie w garderobie.

Chociaż wydawało się, że płytką, za którą znajdowało się gniazdo przyłączeniowe, jest przykręcona do ściany dwiema śrubami, były to tylko główki śrub. Pełniły funkcję wyłącznie maskującą.

Suwak natężenia światła przesuwało się w górę, żeby je rozjaśnić, a w dół – żeby przyciemnić. Kiedy był przesunięty ku samej górze, naciskało się płytkę, przesuując ją po jednym kliknięciu na ukrytej prowadnicy, do której była przytwierdzona. Kombinację, która pozwalała przesunąć panel i odsłonić sejf, tworzyły trzy kliknięcia na górze, dwa w dole i znowu dwa na górze.

Nacisk potrzebny do przesunięcia płytki był na tyle duży, żeby tej sekretnej funkcji nie odkryła przez przypadek pokojówka sprzątająca garderobę.

Zarówno ten mały sejf, jak i większy, stanowiący całe pomieszczenie na parterze, instalowała miejscowa firma ochroniar-ska, sprawdzona i polecona przez Wilsona Motta.

Współpracowali razem od wielu lat i Ryan nie sądził, aby dręczył go któryś z jej pracowników.

„Dręczenie” wydawało się odpowiednim słowem, bo jeśli ktoś chciałby wyrządzić mu krzywdę, Ryan już by nie żył.

Dręczenie stanowiło jednak formę przemocy i można się było spodziewać, że ktoś, komu sprawia ono przyjemność, przejdzie od dręczenia psychicznego do fizycznego, a nawet morderstwa.

Ryan schował bezużyteczny pistolet do sejfu. Intruz mógł nie tylko wyjąć z niego pociski, ale i gmerać przy nim. Ryan nie znał się dostatecznie na broni, żeby wdawać się w jej oględziny i szukać jakichś drobnych, ale istotnych uszkodzeń.

Postanowił, że zanim kupi nowe naboje i załaduje pistolet, odda go do zbadania specjalście, który potwierdzi jego niezawodność. Nie wiedział, czy broń, do której intruz miał dostęp, nie eksploduje mu w rękach przy naciśnięciu spustu, i nie zamierzał tego sprawdzać.

W razie czego mógł kupić nową. Zgodnie z prawem obowiązywał jednak okres oczekiwania na pistolet czy rewolwer, a Ryan podejrzewał, że jego prześladowca ma swoje plany i grafik, który przewiduje ich spotkanie, zanim upłynie ten czas.

Gdy zamykał sejf i patrzył, jak panel przesuwa się na miejsce, zdał sobie sprawę, że skoro intruz wie o nich, najprawdopodobniej poznał też inne tajemnice tego domu.

Wrócił jeszcze raz do sypialni i wyjął z szuflady szafki nocnej klucz magnetyczny. Podszedł do obrazu o wymiarach sześć na sześć stóp, który wisiał na ścianie od południa, i przytknął grubszy koniec klucza do jednego z oczu namalowanego tygrysa. Umieszczony za nim czytnik zwalniał sworznie przytrzymujące malowidło i część ściany, do której było ono przytwierdzone.

W większości domów tej wielkości i o tym standardzie znajdował się azyl, w którym właściciele mogli się schronić w razie napadu rabunkowego czy tego rodzaju zdarzeń. Ten miał dwanaście stóp szerokości szesnaście długości.

Drzwi, które stanowiły obraz, uchyliły się do środka. Ryan przekroczył podwyższony próg i wszedł do ognioodpornego pomieszczenia z lanego betonu, wyłożonego stalowymi płytami grubości jednej czwartej cala i obitego najwyższej jakości tworzywem wygłuszającym.

Dzięki naziemnej linii telefonicznej niezależnej od telefonów domowych, odrębnemu zasilaniu i systemowi wentylacji azyl był samowystarczalny. Intruzi mogli odciąć wszelkie instalacje – albo w razie obłączenia mogły zrobić to władze – a to pomieszczenie nadal by funkcjonowało.

Wyposażony w paczkowaną żywość, butelkowaną wodę, toaletę w rogu, zapasową toaletę chemiczną i wszelkie inne potrzebne rzeczy azyl mógł przez kilka dni zapewnić przetrwanie tym, którzy by się tu ukryli. Znajdowały się tu także krzesła i łóżko.

A na łóżku leżała celofanowa torebka z cukierkowymi serduszkami.

36

W kapciach i szlafroku narzuconym na piżamę, włączając po drodze światła, Ryan zbiegł po czterech ciągach schodów do sutereny i wpadł na korytarz, na którego końcu znajdowała się pralnia. Jedno z pomieszczeń gospodarczych odchodzących od tego korytarza, to, które go teraz interesowało, było zawsze zamknięte, ale Ryan miał przy sobie klucz. Tam, w kącie, stała obszerna, wysoka metalowa szafa również zamknięta, którą dla wygody otwierało się tym samym kluczem.

W szafie znajdowały specjalne stojaki, na których trzymano dyski magnetyczne z obrazami zarejestrowanymi przez kamery systemu bezpieczeństwa. Dom i teren wokół niego monitorowało

dwadzieścia kamer zewnętrznych. Siedem innych rozmieszczonych było w korytarzach i przed wejściem do penthouse'u, choć pokoje pozostawały już poza ich zasięgiem.

Ryan włączył monitor, na którym ukazało się menu; opcję wybierało się za pomocą pilota. Najbardziej interesowała go kamera monitorująca podest przed wejściem do penthouse'u, bo rejestrowała wszystkich, którzy schodami czy windą zmierzali do apartamentu pana domu.

Kiedy wybrał tę właśnie kamerę, musiał podać datę i godzinę, od której chciał zacząć oglądanie. Wprowadził dane, określając czas pół godziny wstecz.

Na ekranie pojawił się podest przed apartamentem. W lewym dolnym rogu widniała data, a w prawym – dokładny czas wyświetlany na cyfrowym zegarze z dokładnością co do sekundy.

Ze wzrokiem utkwionym w ekran, Ryan w piętnaście minut przewinął trzydziestominutowe nagranie.

Na początku zobaczył siebie, jak od strony schodów podchodzi do drzwi apartamentu z książką Samantha w ręku, zamierzając położyć się do łóżka.

Żeby oszczędzać miejsce na dysku kamera nie nagrywała płynnie tego, co się działo, tylko zapisywała obraz co pół sekundy. Ryan poruszał się więc na ekranie jak postać z filmu animowanego rozrysowana na poszczególne klatki.

Poprzednio, kiedy wszedł do sypialni, najpierw spojrzał na łóżko, żeby sprawdzić, czy nie leży tam drugi prezent. Nie znalazłszy nic na poduszce, jakiś czas spędził w łazience, myjąc zęby i przygotowując się do snu.

Mijały jednak kolejne minuty i na ekranie nie widać było nikogo, kto by wszedł po nim do zamkniętego na klucz apartamentu.

Ryan miał więc teraz dowód, że gdy wchodził, intruz musiał już być w środku, w pokoju za sypialnią.

Kiedy Ryan przebywał w łazience, nieznany ofiarodawca cukierkowych serduszek – który zaraz miał ukazać się na monitorze – położył wisior na poduszce i wyszedł z apartamentu, jakimś sposobem zamykając za sobą zamki.

Ale nagranie nie potwierdziło tej teorii. Nikt nie opuścił apartamentu pana domu, dopóki nie pojawił się znowu sam Ryan, tym razem w szlafroku, zbiegając po schodach i wpadając w końcu do tego pomieszczenia, w którym oglądał teraz zapis kamery.

Po znalezieniu wisiora bardzo dokładnie przeszukał apartament. Zajrzał wszędzie, w każdy kąt, gdzie mogłoby się ukryć nawet małe dziecko.

Teraz wybrał zapis z kamery monitorującej taras przylegający do aneksu w apartamencie i obejrzał dokonane w interesującym go czasie nagranie. Lampa nad drzwiami rzucała na tyle silne światło, żeby obraz zapisany w nocy był równie jasny jak w dzień. Nikt nie wyszedł przez te drzwi ani przez żadne okno.

Kamera na drugim tarasie, przylegającym do samej sypialni, też nie zarejestrowała nikogo, kto by wychodził z niej przez drzwi albo przez okna.

Nikt nie opuścił więc apartamentu, a przecież też nikogo w nim nie było, gdy Ryan przeszukiwał jego zakamarki.

Wszystko więc wskazywało, że złoty wisior zmaterializował się na poduszce jakimś magicznym sposobem.

To jednak, co wydaje się magiczne, zawsze okazuje się całkiem pospolitym zdarzeniem, które uchodziło za tajemnicze, bo jakiś fakt o zasadniczym znaczeniu pozostał niezauważony.

Ryan wyteżył umysł, szukając tego brakującego faktu, ale zawiadła go zarówno zdolność rozumowania, jak i wyobraźnia.

Sfrustrowany, gdy już miał wyłączyć monitor, postanowił jeszcze zerknąć na nagrania dokonane poprzedniego dnia o zmierzchu, na południowym trawniku, wtedy kiedy czytał w przeszklonym pokoju i zauważył, że jest pod obserwacją. Obszar ten monitorowały dwie kamery.

System przechowywał wszystkie zapisy przez trzydzieści dni, a potem je usuwał, chyba że otrzymał inną instrukcję.

Pierwsza z kamer, zamontowana na domu, obejmowała mniej więcej ten sam teren, jaki Ryan widział, gdy siedział w fotelu. Na ekranie ukazało się więc szare niebo przypominające gęsie pierze, mżawka, smutne drzewa, pełzająca mgła i namokły trawnik, na którym Ryan widział zakapturzonego intruza.

Zaczął w przyspieszonym tempie odtwarzać ten obraz od momentu, gdy zaczęło zmierzchać, i patrzył, jak w deszczu zapada ciemność. Nastąpiła noc, ale intruz się nie pojawił.

Pełen niedowierzania Ryan obejrzał nagranie jeszcze raz, już w czasie rzeczywistym, choć trwało to wieczność. Niebo, deszcz, drzewa, mgła, niknące powoli światło dnia – ale żadnego gościa, złowrogiego czy nie.

Druga kamera monitorująca południowy trawnik była umieszczona na gałęzi wawrzynu i obejmowała ten sam teren, tylko pod innym kątem. Centralny punkt stanowiły trzy cedry himalajskie, między którymi zakapturzona postać pojawiła się po raz drugi. Żadna zjawa nie wyłoniła się w zapadającym zmroku spod zwisających majestatycznie gałęzi drzew.

Cholera jasna, poprzedniego wieczoru przecież kogoś widział.

To nie były halucynacje. Ani złudzenie wywołane przez deszcz i mgłę, ani odbicie palmy czy paproci w szybie pokoju. Widział kogoś w płaszczu przeciwdeszczowym z kapturem, być może kobietę – poruszającą się, przemoczoną i rzeczywistą.

Obserwator w deszczu był równie realny jak cukierkowe serca, jak złoty wisior, który leżał teraz...

Gdzie?

Na szafce nocnej. Tak. Wziąwszy go za łańcuszek i obejrzawszy grawerkę, odłożył wisior na szafkę nocną. Później, gdy znalazł

torebkę z cukierkami w azylu, ją też tam położył. Ryan wyłączył monitor, zamknął szafę na klucz, wyszedł z pomieszczenia, w jego drzwiach też przekręcił klucz i wrócił do swojego apartamentu pełen złych przeczuć. Na szafce nocnej znajdowały się tylko lampka i zegar. Torebka z cukierkami i wisior zniknęły. Gorączkowe, ale staranne przeszukanie apartamentu nie przyniosło żadnego efektu. Kiedy wreszcie otworzył sejf, posługując się nową kombinacją, którą dopiero co zaprogramował, tam też nie ich nie znalazł. Ale podobnie jak wcześniej amunicja, został zabrany pistolet.

Ponieważ apartament był niedostatecznie zabezpieczony, Ryan nie mógł tu spać spokojnie. Rozważał możliwość spędzenia nocy w pokojach gościnnych albo rozłożenia się na noc w jakimś mało prawdopodobnym miejscu, takim jak pralnia. Ale skoro nie był bezpieczny w swojej warowni na drugim piętrze, w tych murach nigdzie nie znalazłby schronienia. Przez chwilę zastanawiał się, czyby nie pojechać do hotelu, ale oburzenie, jakie obudziły w nim te akty naruszenia prywatności, szybko przekształciło się w słuszny gniew. Nie po to przeżył transplantację, żeby teraz uciekać jak przestraszone dziecko przed dręczycielem, którego kawały były wprawdzie wyrafinowane, jeśli chodzi o wykonanie, ale żałosne, jeśli chodzi o koncepcję, z rodzaju tych psychologicznych trików filmowych, które sprawiają, że nastolatki krzyczą w kinie ze strachu i zachwytu. Ponieważ zabrano mu pistolet, poszedł do aneksu za sypialnią po nóż. W lodówce pod kontuarem znajdowały się tylko napoje bezalkoholowe i butelki z wodą, a także jego ulubione przekąski – różne sery i świeże owoce. W szufladzie w barku znajdowały się sztucce i noże kuchenne. Był wśród nich nożyk do owoców, zwykły nóż o sześciocalowym ostrzu i nóż-piłka o ostrym czubku. Wybrał zwykły nóż i wrócił z nim do sypialni. Schował go pod sąsiednią poduszką, na której Samantha nie kładła głowy już od dłuższego czasu. Wsparłszy się na wysoko ułożonych poduszkach, włączył telewizor, ale całkowicie ściszył dźwięk. Zaczął oglądać sitcom, nie śmieszniejszy bez dźwięku niż z nim. Jego myśli krążyły jednak wokół niepokojących zdarzeń. Jeśli jacyś ludzie zmówili się, żeby go dręczyć i być może wyrządzić mu krzywdę, to podejrzenia, które żywił przed transplantacją, a potem w końcu uznał za urojone, musiały być prawdziwe.

A skoro istniała jakaś zмова, nie dało się wykluczyć, że jego kardiomiopatia była skutkiem otrucia. Jeśli zaś wtedy go truto, należało przyjąć, że może się to powtórzyć, że jego nowe serce zostanie uszkodzone jak pierwsze.

Jeżeli to rozumowanie było słuszne, prawdopodobnie był truty już teraz. Ufając nowym pracownikom, jadł i pił wszystko, co mu podawali.

Ciekaw był, jak długo po podaniu trucizny objawia się uszkodzenie mięśnia sercowego.

Oczywiście, służba mogła być zupełnie niewinna. Jeśli ktoś nieznajomy potrafił niezauważenie wejść do domu i z niego wyjść, produkty używane do przyrządzania posiłków Ryana mogły być zatrute bez wiedzy państwa Amory ani ich pomocników.

Trzeba jednak było też wziąć pod uwagę inne założenie. Jeśli rzekoma zмова i otrucie przed transplantacją były urojone, to obecne wydarzenia też mogły stanowić wytwór wyobraźni.

Tak naprawdę nie miał nic – ani nagrania wideo potwierdzającego obecność zakapturzonej osoby w płaszczu przeciwdeszczowym, ani wisiora, ani cukierków – co by potwierdzało, że te ostatnie niepokojące zdarzenia w ogóle miały miejsce.

Przed przeszczepem przyjmował trzy leki przepisane mu przez doktora Guptę. Po operacji ich liczba wzrosła do dwudziestu ośmiu. Jeśli któryś z nich – albo ich kombinacja – mógł jako efekt uboczny powodować urojenia albo halucynacje, Ryan był teraz bardziej na nie narażony niż przed rokiem.

Wiedział jednak, że nie ma urojeń. Po prostu to wiedział.

Przejęty gniewem zamiast strachem i pełen determinacji, żeby stać się łowcą, a nie ofiarą, Ryan próbował ułożyć te puzzle, patrząc na nie raz z bliska, raz z daleka, szukając tego jednego fragmentu, który wstawiony w odpowiednie miejsce, odsłoni pełny obraz.

Konsternacja zamieniła się we frustrację, aż miał ochotę krzyknąć z bezsilnej złości. Zamiast tego jednak wziął do ręki powieść Samantha, żeby zająć czymś myśli.

Tego dnia przeczytał dwadzieścia siedem z sześćdziesięciu sześciu rozdziałów i była to jego trzecia lektura tej książki. I znowu oczarował go już pierwszy akapit.

Kiedyś, pisząc tę powieść, Samantha wspomniała coś o podtekście. Wiedział, co to jest – ukryty, domyślny sens opowieści, którego autor nie wyraża wprost. Nie wszystkie utwory beletrystyczne mają podtekst; większość nie.

Samantha powiedziała, że czytelnik nie musi być świadomy podtekstu, by czerpać przyjemność z lektury książki, bo jeśli fabuła jest dobrze opowiedziana, podświadomie zrozumie jej przesłanie.

W gruncie rzeczy emocjonalna reakcja, jaką wywołuje kontekst, często bywa silniejsza, kiedy czytelnik nie potrafi jej określić, gdy coś go uderzy, choć sam nie wie, co to było.

Kontekst może być złożony, mówiła, domyślne znaczenia cza-

sami nakładają się na siebie jak warstewki ciasta filo używanego do wypieku pasztecików, pierożków i słodczy w Grecji i na Bliskim Wschodzie.

Ryan sądził, że zrozumiał zasadnicze przesłanie powieści. Ale czuł, że kryje się w niej jeszcze coś, czego nie potrafi znaleźć. Miało to dla niego znaczenie, ponieważ być może wyjaśniałoby, dlaczego, chociaż się kochają, nie są ze sobą. Dlaczego ani razu nie przyjęła jego propozycji małżeństwa. I dlaczego być może nigdy jej nie przyjmie.

To coś było jednak nieuchwytnie i czuł się jak wędkarz, który zarzuca wędkę bez haczyka ani przynęty, usiłując złowić rybę, która nie musi się odżywiać.

W końcu odłożył książkę i oglądał pozbawioną dźwięku telewizję, której nie wyłączył. Jacyś jeźdźcy mknęli przez puste równiny, purpurowe zarośla obok czerwonych zwietrzałych skał, pod bezkresnym niebem, strzelając szaleńczo, ale bez stukotu kopyt, huku wystrzałów, jednego przeraźliwego okrzyku.

Wszłuchał się w odgłosy domu, oczekując, że pochwyty jakiegoś kroki, szelest ubrania, trzask odciąganej kurka, swoje imię wypowiedziane cichym nieznanym mu głosem, który jednak rozpoznał jego serce.

Zbyt długo żył już w strachu przed śmiercią, żeby nie dał mu on zasnąć. W końcu poczuł się senny.

Miał nadzieję, że coś mu się przyśni. Nie miał żadnych snów od roku. Powitałby chętnie nawet koszmary, które go kiedyś nękały, bo dzięki nim sen zyskuje jakiś wyraz.

38

Na plakacie w oknie księgarni widniało zdjęcie Samantha i okładka jej powieści. Nagłówek informował, że Sam będzie podpisywała książki tego dnia od dwunastej do drugiej.

Ryan zauważył to ogłoszenie już przed dwoma dniami. Gdy je zobaczył, pomyślał, że nie przyjdzie, ale wiedział, że to zrobi.

Miał ze sobą egzemplarz książki, który kupił, gdy tylko się ukazała. Chciał czegoś więcej niż podpis.

Od kiedy był tu ostatni raz, obok pierwszego wywieszono drugi, niniejszy plakat z hasłem: „Bestseller na liście »New York Timesa«!”.

Nie wiedział, że książka osiągnęła taki sukces.

Nagle ogarnęły go różne emocje, nie kolejno, ale wszystkie naraz. Był dumny z Samantha, tak dumny, że miał ochotę zapewnić przechodniów, iż jest naprawdę wyjątkowa i zasługuje na ten sukces, czuł dotkliwy żal, że nie był z nią, gdy usłyszała te wieści albo gdy przeczytała pierwszą pozytywną recenzję, oraz dziwne wyrzuty, których nie potrafił sprecyzować. Przy tym wszystkim jednak przeniknęło go coś, co bardziej niż wszystkie inne uczucia,

jakich zaznał w życiu, przypominało szczęście.

Pod hasłem widniała reprodukcja najnowszej listy bestsellerów z niedzielnego wydania „New York Timesa”. Dziewiąty wśród piętnastu tytułów został zakreślony na czerwono. Sam ze swoim debiutem literackim znalazła się w pierwszej dziesiątce.

– Niech to szlag – powiedział – udało ci się. – I wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Udało ci się.

Przepeliło go podniecenie i usiłował wymyślić jakiś sposób – najlepszy sposób – żeby upamiętnić tę chwilę, ten triumf. Wtedy jednak dotarło do niego, że to nie będzie żadna nowina dla Sam, że pewnie już uczciła ten sukces, jak i inne.

Przyszedł dziesięć minut przed podaną na plakacie godziną.

Przez okno księgarni widział już kolejkę ludzi do stolika, przy którym siedziała Samantha, i wiedział, że dziewczyna nie odejdzie, dopóki nie podpisze książek wszystkim chętnym.

Widząc Sam nawet z daleka, przekonał się, że jego nowe serce ma takie same właściwości jak poprzednie.

Nagle zaniepokoił się, że Sam spojrzy w tę stronę i zobaczy jego twarz przyciśniętą do szyby, że wyda jej się żałosny, odwrócił się więc szybko.

Zastanawiał się, czyby nie wrócić do samochodu na małym parkingu i nie przyjść znowu po półgodzinie. Bał się, że będzie za nią tęsknił.

Ustawione na otwartej promenadzie ławki umożliwiały zmęczonym zakupowiczom krótki odpoczynek w szale wydawania pieniędzy. Ławkę, na której przysiadł Ryan, z obu stron otaczały wielkie donice z terakoty, w których bujnie rosły czerwone pelargonie.

Przez kilka minut próbował czytać książkę Samanthę, ale perspektywa, że znowu spotka się z nią samą, zbyt wytrąciła go z równowagi, żeby mógł się skupić. A żywił za duży szacunek dla jej pracy, nawet podczas trzeciej lektury – zwłaszcza że warta była trzeciej lektury – aby poświęcić jej tylko część uwagi.

Tu, w środku kalifornijskiej czteromiesięcznej pory deszczowej, przed zapowiadaną na noc następną burzą, pogoda na chwilę się poprawiła. Słońce na jasnym niebie, przejrzystym i gładkim jak szkło, rzucało srebrzyste refleksy na południowe wybrzeże.

Ryan przyglądał się ptakom przeczesującym patio restauracji w poszukiwaniu okruszków, rozmaitym psom na smyczach, reagującym wesołym merdaniem ogona na każdy zapach i widok, parze spacerowiczów z dwójgiem różowych dzieci w żółtych szydełkowych berecikach, żółto-niebieskich ubrankach i żółtych bucikach z niebieskimi pomponami.

Odsuwając od siebie na chwilę problemy z ostatnich dwóch dni, poczuł radość życia i próbował się nie przejmować tym, jak wiele – albo jak mało – mu z niego jeszcze przypadnie.

O drugiej czterdzieści Samantha wyszła z księgarni w towa-

rzystwie pogodnie wyglądającej kobiety w czerwonym pantoflach i sukience w szkocką kratę; miała masę podskakujących orzechowych loków i wykonywała zamaszyste gesty, wskutek czego z daleka sprawiała wrażenie, jakby recytowała Szekspira.

Cała śmiałość opuściła Ryana na myśl, że będzie musiał podejść do Samantha przy jej agentce literackiej czy przedstawicielce wydawnictwa. Ale najwyraźniej gestykulująca kobieta była kierowniczką księgarni, albo może tylko sprzedawczynią, bo uściśnawszy Samancie rękę, dwukrotnie poklepał ją po ramieniu i wykonał gest, jakby zarzucała lasso nad jej głową, weszła z powrotem do środka.

Nie zauważywszy jeszcze Ryana, Samantha ruszyła w jego kierunku, szukając czegoś w torebce, na przykład kluczyków do samochodu.

Miała na sobie świetnie skrojony czarny kostium ze spodniami i białą bluzką z czarną lamówką. Szczupła, gibka, elegancka, poruszała się z pewnością siebie, po której rozpoznałby ją z daleka, nawet gdyby nie spodziewał się jej widoku.

Podchodząc do niej, zapomniał pierwsze zdanie, które sobie przygotował, i wymówił tylko jej imię, gdy uniosła głowę, wyjmując z torebki pęk kluczy.

Nie widzieli się od ponad dziesięciu miesięcy, a nie rozmawiali ze sobą od siedmiu.

Nie wiedział, jaka będzie jej reakcja, był przygotowany na wymuszony uśmiech albo grymas niechęci, kilka zniecierpliwionych słów i szybkie pożegnanie.

Zobaczył jednak w jej oczach coś, co zraniło go bardziej, niż gdyby był to gniew czy pogarda. Może nie była to litość, ale bardzo bliskie jej uczucie.

Był wdzięczny, że przywołała na twarz uśmiech. Chociaż śliczny jak zwykle, niewątpliwie jednak miał w sobie melancholię.

– Ryan.

– Cześć, Sam.

– No proszę. Jak się masz?

– W porządku. Nawet dobrze.

– Nic się nie zmieniłeś – zauważyła.

– Szkoda, że nie możesz zobaczyć tej wielkiej szramy – rzucił, klepiąc się po piersi. Natychmiast uświadomił sobie, że palnął głupstwo, i dodał pospiesznie: – Gratulacje z powodu książki.

Pochyliła głowę, niemal onieśmielona.

– Na razie tylko dowiodłam, że stać mnie na jeden bestseller.

– O nie. Ty masz coś do powiedzenia, Sam. Pracujesz już pewnie nad drugą powieścią, mam rację?

– Tak. Jasne. – Wzruszyła ramionami. – Ale nigdy nic nie wiadomo.

– Hej, numer dziewięć na liście.

– Dowiedzieliśmy się, że w przyszłym tygodniu będzie na

siódmym.

– To wspaniale. Dostaniesz się na sam szczyt.

Pokręciła głową.

– John Grisham nie ma powodu do niepokoju.

Unosząc książkę, którą przyniósł ze sobą, powiedział:

– Przeczytałem ją dwa razy. I czytam od nowa. Wiedziałem, że będzie dobra, Samantha, ale nie spodziewałem się aż takiego... Szukał słów uznania, ale uznał, że tylko slang surferski odpowiednio wyrazi jego podziw:

– ...takiego spienionego gigantycznego grzywacza, przetaczającego się ogłuszającego grzmotu.

W jej cichym śmiechu dała się słyszeć ta sama melancholia, którą krył uśmiech.

– Trzeba to będzie zacytować na okładce.

Chociaż pragnął wziąć ją w ramiona, powstrzymał się, bo nie chciał ryzykować, że stężeje w jego objęciach albo odsunie się od niego.

Próbując uzyskać mniejszą łaską, wskazał ławkę otoczoną perlagoniami i zapytał:

– Możemy usiąść na kilka minut? Chciałbym z tobą porozmawiać.

Był przygotowany na to, że Sam wymówi się jakimś pilnym spotkaniem, ale odparła:

– Oczywiście. W słońcu jest tak przyjemnie.

Usiedli na ławce zwróceniu ku sobie i Ryan, przerzucając kartki książki, powiedział:

– Nigdy nie pokazywałaś mi jej w trakcie pisania, więc nie przypuszczałem...

– Nigdy nie pokazuję tego, nad czym pracuję. Nikomu. Nie potrafię, chociaż bym chciała. Bo czuję się samotna w trakcie pisania.

– Zastanawiałem się nad podtekstem.

– Nie zastanawiaj się za bardzo. Pozwól działać magii.

– Ta książka jest jak filo.

– Tak myślisz?

– Jasne. Ukryte znaczenia. Nie umiem dostrzec ich wszystkich.

– Wystarczy, że je odbierzesz.

– Dobra, zapomnij o tym cieście filo – powiedział.

– To i tak kiepskie porównanie.

– To bardziej jak morze – ciągnął. – Ciepły prąd, w nim ławica samogłowów, pod samogłowami warstwy luminescencyjnego planktonu, pod planktonem krył i tak dalej, i tak dalej, światło przenikające przez te wszystkie warstwy, ale i cienie. I tam kryje się coś z ciebie, ta druga tajemnicza ty. To znaczy... twoja druga twarz, której nigdy nie poznałem.

Nie odpowiedziała od razu i pomyślał, że w jakiś sposób ją

uraził albo powiedział coś głupiego, co wprawilo ją w zażenowanie, ale chwilę potem zapytała:

– Jaka druga twarz?

– Nie wiem. Jeszcze do tego nie doszedłem. Ale mam wrażenie, że gdy to mi się uda, gdy cię wreszcie zrozumiem... Będę widział, dlaczego nie możesz przyjąć mojej propozycji.

Popatrzyła na niego z taką czułością, że ledwie potrafił to znieść.

– Sam – ciągnął – czy to, co czuję, jest możliwe? Czy dowiem się z tej książki, czego mi brakuje, a czego ty potrzebujesz najbardziej?

– Być może. Owszem. Choć nie napisałam jej, żeby cię oświecić.

– Rozumiem.

– Ale oczywiście jest w niej coś ze mnie. Ja cała, tam pod warstwą luminescencyjnego planktonu.

Jej melancholijny uśmiech stał się teraz całkiem smutny.

Ryan rozejrzał się dookoła ciekawym, czy przechodnie widzą ten mały dramat rozgrywający się na ławce. Samantha stawiała się znaną pisarką, osobą rozpoznawalną, i nie chciał jakimiś scenami wprawiać jej w zakłopotanie.

Zakupowicze mijali ich jednak obojętnie, rozbawione dzieci chichotały same do siebie, zakochane pary, trzymając się za ręce, przechodziły spacerowym krokiem wpatrzone w siebie i tylko seter irlandzki na smyczy spojrział uważnie na Ryana i Sam, jakby wyczuł ich przygnębienie, ale zaraz został odciągnięty przez mężczyznę w szortach khaki i sandałach z modelowaną korkową wkładką.

– Sam, wiesz, chciałbym, żebyś mi powiedziała, czego ci we mnie brakuje.

– Przez ten cały czas, kiedy byliśmy ze sobą, próbowałam ci to powiedzieć.

Zmarszczył brwi.

– Byłam aż taki tępy?

Z ledwo wyczuwalnym żalem odparła:

– To nie jest coś, na co zwraca się komuś uwagę, jak cuchnący oddech czy manery przy stole, Ryan. Nie możesz ze względu na mnie wyrobić w sobie tego przez noc. A już najgorsze byłoby udawanie, że to ci się udało.

– Skąd mam więc wiedzieć, co to jest? Wydobyć z podtekstu?

– Tak. Właśnie. Domyślić się na podstawie tego, jak żyję, co czułam, co miało dla mnie znaczenie.

– Sam, nie wiem, o co ci chodzi.

Zdradzając cierpienie, o którym dotąd mogła świadczyć tylko melancholia w jej głosie, powiedziała:

– Kochanie, wiesz dobrze. Jestem tego pewna i serce mi pęka. Zaryzykował i wyciągnął do niej rękę, a ona ją ujęła, za co po-

czuł do niej większą wdzięczność, niż mógł wyrazić.

– Sam, jeśli wystarczająco dużo razy przeczytam twoją książkę i zrozumie, czego ci we mnie brakuje, i jeśli stanę się taki dla ciebie, choćby nie wiem co, dasz mi szansę i spróbujemy od nowa?

Uścisnęła mocno jego dłoń, jakby chciała zatrzymać go na zawsze.

– Jest już za późno, Ryan. Żałuję, ale niestety.

– Czy... jest ktoś inny?

– Nie. Nikogo nie ma, przez cały rok nie spotkałam się z żadnym innym facetem i dobrze mi samej, niczego nie potrzebuję. Może któregoś dnia ktoś się zjawi. Nie wiem.

– Ale przecież kochałaś mnie. Wiem, że tak. Nie można przestać kogoś kochać tak z dnia na dzień.

– Nie przestałam – odparła.

Te dwa słowa, które mogły mu dać nadzieję, przygnębiły go, bo wypowiedziała je z takim żalem i bólem, z jakim żony mówią o niedawno zmarłych mężach, którzy już nie odwzajemnią ich miłości.

– Kocham cię – wyjaśniła. – Ale nie mogę kochać się w tobie.

– To jakieś semantyczne sztuczki – odparł sfrustrowany.

– Wcale nie. Jest różnica.

– Nie taka, która miałaby znaczenie.

– Wszystko ma znaczenie, Ryan. Wszystko.

– Proszę, powiedz mi, co takiego zrobiłem.

Sprawiła wrażenie przestraszonej.

– O nie. Nie, o Boże, nie.

Jej reakcja wydawała się niewspółmierna do pytania, które przecież było kolejną próbą wysondowania, czego takiego od niego oczekiwała.

Emocje kryjące się w jej odpowiedzi wskazywały, że znaleźli się w trudnym punkcie, w którym ważyły się dalsze losy ich związku, w punkcie, w którym przechodził on ze światła w mrok, z nadziei w beznadzieję.

Pisząc programy komputerowe, prowadząc własny biznes, człowiek uczy się dostrzegać punkty zwrotne i je pokonywać. Po zwalczeniu przeszkód nic już nie stoi na drodze, by przedsięwzięcie osiągnęło sukces.

– Proszę, powiedz – nalegał Ryan. – Powiedz, co takiego zrobiłem.

Tak ścisnęła go za rękę, że poczuł ból, a jej paznokcie wbiły mu się w skórę niemal do krwi.

– Kochać cię i rozmawiać o takich sprawach? Twarzą w twarz? To niemożliwe.

– Ale skoro mnie kochasz, chcesz wyjść z tego tak samo jak ja.

– Nie ma z tego wyjścia.

– Spróbujmy – nie dawał za wygraną.

– Nie chcę wszystkiego zniszczyć.
– Czego zniszczyć? Co nam pozostanie, jeśli nie spróbujemy?
– Ten rok, który spędziliśmy razem, kiedy było nam ze sobą tak dobrze.
– Tego nie można zniszczyć, Sam.
– O tak, można. Drażąc to.
– Ale jeśli byśmy po prostu...
– Nic na tym nie zyskamy. Słowa niczego już nie naprawią. Niczemu nie zapobiegną.
Otworzył usta, żeby odpowiedzieć.
Powstrzymała go, zanim wraz z kolejnym oddechem wyrzucił z siebie następną prośbę.
– Nie. Chcę cię kochać. I chcę zapamiętać ten czas, kiedy byłam w tobie zakochana, chcę go zachować na zawsze.
Ponieważ Ryan był zaskoczony czystością jej uczuć, świadomością, że kochała go bardziej, niż mógłby to sobie wyobrazić, i ponieważ wciąż nie widział, w czym ją zawiódł, jaki popełnił błąd, mógł powtórzyć tylko to, co już powiedział.
Ale znowu powstrzymała go, zanim zdążył się odezwać.
– Nie mów, że nie rozumiesz. Nie mów tego kolejny raz. – W jej błyszczących oczach było cierpienie i drżał jej głos. – To prawda. Wiem, że to prawda, i dlatego nie mogę tego słuchać. Po prostu nie mogę, Winky.
Uwolniła dłoń z jego uścisku, nie ze złością, tylko z cichą desperacją, wstała, zawahała się, jakby już miała zmienić zdanie i usiąść z powrotem, ale odwróciła się i odeszła.
Nie chcąc za nią biec, Ryan pozostał na ławce, w szklistym blasku słońca, wśród czerwonych pelargonii o równie intensywnej barwie jak abażur lampy od Tiffany'ego, przed lśniącymi w słońcu oknami wystawowymi, łukami skrzęcej się wody w fontannie, wpadającej do zbiornika z cichym odgłosem tłuczonego szkła.
W końcu zauważył młodą Azjatkę, która stała dwadzieścia stóp dalej, przed księgarnią. Sprawiała wrażenie, jakby mu się przyglądała, i na pewno widziała go z Samanthą.
Trzymała w obu dłoniach może z pół tuzina jasnoróżowych lilii, owiniętych celofanem i przewiązanych niebieską wstążką.
Zaniepokojony, że może być wielbicielką Samanthy i zaintrygowana jego tête-à-tête z autorką, jeszcze podejdzie, żeby porozmawiać z nim o powieści, Ryan wstał z ławki. Był w stanie powiedzieć tej kobiecie jedynie to, że jest zagubiony, a przecież nie mogła mu pomóc.

Zimy w ostatnich pięciu latach należały do najzimniejszych w historii Kalifornii, chociaż temperatury, które skłaniały miejscowych do sięgnięcia po sweter, mieszkańcom Maine czy Michigan

mogłyby wydawać się idealne na piknik. Mając przed sobą jeszcze dwie godziny słońca, sobotni spacerowicze, korzystając z nietypowo ładnej pogody, przechadzali się po promenadzie, bardziej, żeby się wygrzać i poobserwować ludzi, niż zrobić zakupy.

Kiedyś widok tych tłumów ożywiłby Ryana i wydałby mu się interesujący. Teraz tylko go zdenerwował.

Rekonwalescencja po przeszczepie wymagała okresu spokoju i wyciszenia. Potem Ryan unikał zbiorowisk ludzi z obawy, że za sprawą leków immunosupresyjnych, które przyjmował, może zarazić się katarem czy grypą. Wreszcie spędzał więcej czasu w domu nie z powodów natury medycznej, ale dlatego że ostatnio polubił samotność i przywykł do niej.

Ten tłum nie przepychał się ani nie potrącał, ale sunął spacerowym krokiem wśród sklepów. Ludzie ci nagle wydali się Ryanowi jak pręce naprzód legiony, bzycający rój nieznanego gatunku owadów, który zagarnie go bezpowrotnie do jakiegoś ula. Idąc w kierunku parkingu, zwalczył przyływ klaustrofobii, bo gdyby jej uległ, musiałby rzucić się biegiem w poszukiwaniu pustej przestrzeni.

Na zastawionym samochodami wielkim parkingu panowały przeważnie cisza i spokój. Ponieważ było już dobrze po południu, większość ludzi przybyłych na zakupy już odjechała; a że pozostały jeszcze dwie godziny do zmierzchu i pogoda sprzyjała oglądaniu witryn sklepowych, reszta na razie nie zbierała się do domu.

Ryan odnalazł rząd, w którym zaparkował, i ruszył na jego koniec, gdzie zostawił swojego deuce coupe, zastanawiając się nad wyrazem oczu Samantha. Wydawało mu się, że widział w nich litość, ale teraz, przybity, doszedł do wniosku, że to musiało być coś jeszcze gorszego.

Litość to ból na widok cierpienia innych, połączony z chęcią pomocy. Ale Samantha nie mogła mu pomóc; i nie ukrywała tego. W takim razie chyba dostrzegł w jej oczach współczucie, być może równie tkliwe jak litość, ale zazwyczaj kierowane do ludzi w rozpaczliwej sytuacji, takich, dla których już nic nie można zrobić. Nagle zaczęło mu przeszkadzać słońce, blask przednich szyb, gorąco, które biło od rozgrzanych karoserii, zapach smoły unoszący się z rozpalonego asfaltu i zapragnął znaleźć się w domu, w chłodnym pokoju werandowym.

– Hej – powiedział za nim jakiś głos. – Hej, hej.

Odwrócił się i zobaczył Azjatkę z bukietem blad różowych lilii. Była po dwudziestce, drobna, bardzo piękna, miała długie lśniąco czarne włosy, właściwie nie azjatyckie, tylko eurazjatyckie rysy twarzy i jasnozielone oczy.

– Zna ją pan, zna pan tę pisarkę – powiedziała, mówiąc po angielsku bez żadnego akcentu.

Gdyby zachował się wobec niej szorstko, mogłoby się to odbić na Samancie, odparł więc tylko:

– Tak. Znam ją. Kiedyś znałem.
– To bardzo dobra pisarka, taka utalentowana.
– Tak, z pewnością. Chciałbym mieć taki talent.
– Tyle w niej współczucia – powiedziała kobieta, podchodząc bliżej i wzrokiem wskazując książkę, którą miał w ręku.
– Przepraszam – rzucił Ryan – ale muszę już jechać, jestem spóźniony.

– Niezwykła powieść, bardzo głęboka.
– Tak, rzeczywiście, ale jestem spóźniony.
Unosząc kwiaty w dłoniach, podała mu je gwałtownym ruchem.

– Proszę. Widziałam, że byliście smutni, bardziej więc przydadzą się panu niż mnie.

– O nie, nie mogę ich przyjąć – odrzekł przestraszony.

– Ależ proszę, musi pan – powiedziała, wciskając mu lilie z taką siłą, że jeden ciężki kwiat ułamał się i upadł na asfalt.

Skonsternowany, czując swędzenie w nozdrzach, do których dostał się pyłek z pręcików, Ryan powiedział:

– Nie mogę, widzi pani, jadę gdzieś, gdzie nie będę mógł ich wstawić do wody.

– Proszę, proszę, musi pan – powtórzyła i gdyby nie przyjął od niej bukietu w celofanie, kwiaty upadłyby na ziemię.

Chociaż wziął lilie, próbował je oddać.

Nagle poczuł pieczenie, żywy ogień wzdłuż lewego boku.

Chwilę później falę gorąca w miejscu zranienia zastąpił ostrzejszy ból – i dopiero wtedy zobaczył nóż sprężynowy.

Gdy lilie i książka wypadły mu z rąk, kobieta oświadczyła:

– Zabiję cię, kiedy tylko zechcę.

Oślupiały, trzymając się za bok, Ryan osunął się na forda explorera.

Kobieta odwróciła się i odeszła szybkim krokiem w stronę następnego rzędu samochodów, choć nie biegła.

Ostrze noża było bardzo ostre, rozcięło koszulę, nie szarpiąc nitek, niczym brzytwa tnąca płachtę gazety.

Sięgając prawą ręką do zakrwawionego lewego boku, obmacał ranę. Nie była poszarpana, bardziej przypominała nacięcie długości około czterech cali, i była na tyle płytka, że nie wymagała zaszycia, nie śmiertelna, tylko ostrzegawcza, choć dość głęboka, żeby dało się wyczuć jej rozchylone brzegi.

Uniósł głowę i zobaczył, że kobieta, ponieważ była niewysoka, zniknęła wśród gęstych rzędów samochodów, być może wsiadała do jednego z nich, aby odjechać.

Szok w pierwszej chwili odebrał mu głos. Teraz przyszło mu na myśl, żeby wezwać pomoc, ale z jego gardła dobyło się tylko rżenie.

Rozglądając się za kimś, kto mógłby mu jej udzielić, Ryan przecesał wzrokiem parking. Zobaczył dwa samochody na głównej drodze, od której odchodziły szeregi miejsc parkingowych. W

oddali dostrzegł troje pieszych, ale nikogo w pobliżu. Kobieta z nożem rozplynęła się powietrzu, jakby stapiając się ze światłem słonecznym, w gorącu unoszącym się znad asfaltu. Ryan odzyskał tymczasem głos, ale tylko zaklął cicho, pełen wahania, czy chce robić z siebie widowisko. Dziewczyny i tak nie można by już odnaleźć.

Niechcący przydeptał kilka lilii, gdy podszedł do leżącej na ziemi książki, którą podniósł niezakrwawioną ręką. Kiedy znalazł się przy swoim fordzie coupe i grzebał w kieszeni, szukając kluczyków, pot skapnął mu z czoła na klapę bagażnika. Był to pot, który nie miał nic wspólnego z ciepłą pogodą. W bagażniku trzymał zestaw narzędzi do naprawy samochodu. Był wśród nich koc, kilka czystych szmatek irchowych, rolka papierowych ręczników i woda w butelce. Wsunął jedną z irchowych szmatek w rozcięcie koszuli i przytknął ją do rany, przyciskając ramię do boku, żeby przytrzymać szmatkę na miejscu.

Po opłukaniu zakrwawionej ręki wodą złożył koc na pół i zarzucił go na fotel kierowcy.

Alejką parkingową przejechał chevy tahoe, ale Ryan nie zawołał kierowcy. Chciał już tylko wydostać się stąd i znaleźć w domu. Usłyszał w pamięci głos: „Zabiję cię, kiedy tylko zechcę”. Może podniecona faktem, że zdołała utoczyć mu krwi, postanowi wrócić i zabić go.

Ford z pojedynczym wałem rozrzędu 427, zbudowany z myślą o udziale w wyścigach, miał wystarczający moment obrotowy, żeby zakoleysać samochodem na jałowym biegu. Za silnikiem znajdowała się skrzynia biegów ford C 6 z konwerterem 2500.

Wyjeżdżając z parkingu, Ryan miał ochotę przemknąć po ulicach jak po torze podczas Grand Prix, ale przestrzegał ograniczeń prędkości, bo nie chciał, żeby zatrzymała go policja.

Samochód był wprawdzie stary, ale został podrasowany, właściwie całkowicie zmieniony, i Ryan miał w nim telefoniczny system głośnomówiący. Gdy zadzwoniła jego komórka, automatycznie odebrał, mimo swojego stanu.

– Halo?

Kobieta, która zaatakowała go nożem, zapytała:

– I co? Boli?

– Czego chcesz?

– Czy ty nie słuchasz?

– Czego chcesz?

– Jak mogę wyrazić to jaśniej?

– Kim jesteś?

– Jestem głosem lilii.

Warknął gniewnie:

– Mów do rzeczy.

– „Przypatrzcie się liliom na polu, jak rosną: nie pracują ani

przędą”*

* Ewangelia wg św. Mateusza, 6.28, Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Palotinum, Poznań-Warszawa 1988

– Powiedziałem: do rzeczy, nie od rzeczy. Jest tam Lee? A Kay?

– Tingowie? – Zaśmiała się cicho. – Myślisz, że oni mają z tym coś wspólnego?

– Znasz ich, co? Tak, znasz.

– Wiem o tobie wszystko, kogo zwalniasz, kogo wykorzystujesz.

– Dałem im godziwą odprawę. Zostali dobrze potraktowani.

– Myślisz, że są w to zamieszani, bo mają jak ja skośne oczy? Mylisz się.

– No to powiedz mi, o co tu chodzi.

– Wiesz o co. Dobrze wiesz.

– Gdybym wiedział, nie podeszłabyś na tyle blisko, żeby mnie zranić.

Musiał zatrzymać wóz na czerwonym świetle. Samochód się zakotłosał i rana pod nasiąkniętą krwią irchową szmatką zaczęła pulsować do wtóru silnika pracującego na jałowym biegu.

– Naprawdę jesteś taki głupi? – zapytała.

– Mam prawo wiedzieć.

– Masz prawo jedynie umrzeć – odparła.

Pomyślał natychmiast o Spencerze Bargheście w Las Vegas i jego kolekcji zakonserwowanych zwłok. Nigdy jednak nie znalazł łącznika między Doktorem Śmiercią a wydarzeniami ostatnich szesnastu miesięcy.

– Nie jestem głupi – powiedział. – Wiem, że czegoś chcesz.

Wszyscy czegoś chcą. Mam pieniądze, dużo pieniędzy. Mogę ci dać, co zapragniesz.

– Jeśli nie głupi, to groteskowo ograniczony. Co najmniej groteskowo ograniczony.

– Powiedz, czego chcesz – nalegał.

– Twoje serce należy do mnie. Chcę je odzyskać.

Absurdalność tego żądania sprawiła, że Ryan nie zdołał odpowiedzieć.

– Twoje serce. Twoje serce należy do mnie – powtórzyła kobieta i zaczęła płakać.

Słuchając jej płaczu, Ryan pomyślał, że zdrowy rozsądek nie pomoże mu się od niej uwolnić, że jest chora umysłowo i ogarnięta obsesją, której nie potrafił zrozumieć.

– Twoje serce należy do mnie.

– Dobrze, dobrze – odparł cicho, chcąc ją uspokoić.

– Do mnie, tylko do mnie. To moje serce, moje drogie serce, i chcę je odzyskać.

Rozłączyła się.

Ktoś na niego zatrąbił. Światło zmieniło się z czerwonego na

zielone.

Zamiast wcisnąć gaz, Ryan zjechał z drogi i zatrzymał wóz. Próbował oddzwonić do płaczącej kobiety. W końcu usłyszał tylko automatyczną wiadomość sieci komórkowej, żeby albo się rozłączył, albo wprowadził kod.

Wrócił na drogę, którą jechał poprzednio.

Niebo było czyste, wysklepione jak pusta misa, ale na niedzielę rano zapowiadano deszcz, który miał padać co najmniej do poniedziałkowego popołudnia. Kiedy misa się napelni i przeleje, kobieta wróci. Wróci w mroku i deszczu, zakapturzona, i jak ducha nie zatrzymają jej zamki w drzwiach.

Ryan zaparkował deuce coupe i wysiadł, z ulgą zauważając, że w garażu nikogo nie ma. Stanąwszy przy otwartych drzwiach samochodu, wyjął spod koszuli mokrą od krwi irchę, rzucił ją na kraciasty koc przykrywający siedzenie kierowcy i przyłożył do rany czystą szmatkę.

Szybko zawinął zakrwawioną irchę w koc, wetknął go pod lewe ramię, przyciskając do boku, i wszedł do domu. Pojechał windą na ostatnie piętro i schronił się w swoim apartamencie, nie natykając się po drodze na nikogo.

Odłożył koc, zamierzając zapakować go później do worka i wyrzucić do śmieci.

W łazience przemył ranę spirytusem. Następnie przetaił jodyną. Pieczenie niemal sprawiło mu przyjemność. Dzięki bólowi odzyskał jasność myślenia.

Ponieważ rana była płytka, gęsta maść ściągająca powstrzymała krwawienie. Po chwili delikatnie wytarł jej nadmiar i spryskał rozcięcie antybiotykiem w aerozolu.

Opatrując mechanicznie ranę, wrócił myślą do grożącego mu niebezpieczeństwa i zaczął się zastanawiać, czego się może teraz spodziewać.

Spryskaną antybiotykiem ranę obłożył gazikami. Te przykleił kilka razy plastrem w poprzek rany, tak żeby jej brzegi się zeszyły, a następnie wzdłuż, żeby wszystko się lepiej trzymało.

Ból przeszedł w lekkie pulsujące rwanie.

Przebrał się w miękkie czarne dżinsy i czarne polo.

W barku za sypialnią znajdował się także mały składzik wina.

Otworzył butelkę dziesięcioletniego opus one i napenił kieliszek Riedla niemal do pełna.

Powiadomił przez interkom panią Amory, że tego wieczoru sam przygotowuje sobie łóżko do spania i zje kolację na górze. Zamówił stek i poprosił, żeby o siódmej zostawiono stolik na kółkach przed drzwiami do apartamentu.

Za piętnaście piąta zadzwonił do doktora Hobba do Beverly

Hills. Spodziewał się, że w weekend zgłosi się recepcja. Podał swoje nazwisko i numer telefonu, podkreślając, że jest pacjentem po przeszczepie i ma pilną sprawę.

Usiadł przy biurku, włączył telewizor, wybrał kanał filmowy i ściszył głos. Na ekranie gangsterzy z lat trzydziestych strzelali bezgłośnie z pistoletów maszynowych, jadąc czarnymi samochodami, które pokonywały płynnie ostre zakręty bez pisku opon ani hamulców.

Po wypiciu trzeciego kieliszka wina uniósł prawą rękę na wysokość oczu. Już prawie nie drżała.

Zmienił kanał i zaczął oglądać dziwnie małymównego Russella Crowe'a jako kapitana statku płynącego po morzu w czasie szalejącego, choć zupełnie cichego sztormu.

Jedenaście minut po rozmowie z recepcją zadzwonił do niego doktor Hobb.

– Przepraszam, doktorze, że pana niepokoję. Z sercem wszystko w porządku. Ale to równie ważna sprawa i potrzebuję pana pomocy.

Jak zwykle przejęty, nie zdradzając żadnych oznak zniecierpliwienia, Hobb odparł:

– Jestem zawsze do twojej dyspozycji, Ryan. Dzwoni, kiedy chcesz, bez wahania. Jak ci mówiłem, niezależnie od przebiegu rekonwalescencji nagle mogą wyniknąć problemy emocjonalne.

– Chciałbym, żeby to było takie proste.

– Numery telefoniczne terapeutów, które dałem ci przed rokiem, są nadal aktualnie, ale jeśli je zgubiłeś...

– To nie problem natury emocjonalnej, doktorze. To... nie wiem, jak to nazwać.

– No to mi opowiedz.

– Wolałbym nie teraz. Jest jednak pewna sprawa... muszę się dowiedzieć, kto był dawcą mojego serca.

– Przecież wiesz, Ryan. Nauczycielka, która doznała rozległych obrażeń głowy w wypadku.

– Uhm, tyle wiem. Dwadzieścia sześć lat, teraz by miała dwadzieścia siedem, może dwadzieścia osiem. Potrzebne mi jej zdjęcie.

Przez moment Hobb milczał jak statek Russella Crowe'a, przycięty ciche morza, tak wzburzone, że żeglarze musieli być przywiązani do swoich stanowisk, żeby nie zmyło ich za burtę.

– Ryan, najlepszy z tych terapeutów jest Sidney... – zacznij chirurg.

– Nie chodzi o terapeutę. Chodzi o zdjęcie.

– Naprawdę...

– Zdjęcie i nazwisko, doktorze Hobb. To bardzo ważne.

– Ryan, niektóre rodziny chcą, żeby biorcy narządów ich ukochanych bliskich wiedzieli, komu zawdzięczają życie.

– Na tym mi właśnie zależy.

– Ale wiele z nich woli zachować anonimowość, nie ujawniać tożsamości dawcy. Nie chcą podziękowań, pragną cierpieć w samotności.

– Rozumiem, doktorze. I w normalnej sytuacji uszanowałbym ich wolę. Jednak sytuacja nie jest normalna.

– Z całym szacunkiem, ale to irracjonalne...

– Nie przyjmuję odpowiedzi odmownej. Naprawdę nie mogę. Nie mogę i już.

– Ryan, to ja jako chirurg wyjąłem jej serce i przeszczepiłem tobie, a mimo to nie zdradzono mi jej nazwiska. Rodzina chce zachować prywatność.

– Ktoś w systemie leczenia zna tożsamość tej kobiety i może dotrzeć do jej najbliższych krewnych. Chciałbym jedynie spróbować przekonać tę rodzinę, żeby zmieniła zdanie.

– Może dawca wyraźnie sobie zażyczył, żeby nie ujawniano jego nazwiska. I rodzina czuje się moralnie zobowiązana, aby spełnić jego wolę.

Ryan wziął głęboki oddech.

– Nie chcę być niedelikatny, doktorze, ale wraz z opłatą za samolot i wydatkami na leczenie wydałem już milion sześćset tysięcy dolarów, a będę potrzebował opieki medycznej przez całe życie.

– Ryan, to dziwaczne. I nie w twoim stylu.

– Nie, proszę poczekać. Niech mnie pan zrozumie. Nie żałuję ani centa, uważam, że były to dobrze wydane pieniądze. Żyję i to jest najważniejsze. Próbuję tylko ustawić to we właściwej perspektywie. Mimo kosztów, jakie poniosłem, nie mając ubezpieczenia, chcę zaoferować pięćset tysięcy dolarów rodzinie, jeśli ujawni mi jej nazwisko i dostarczy zdjęcie.

– Mój Boże – rzucił Hobb.

– Może się obrażać – ciągnął Ryan. – Tak jak pan. Może pošłą mnie do diabła. Albo pan to zrobi. Ale wcale nie wydaje mi się, że mogę kupić wszystko, co zechcę. Po prostu zostałem zapędzony do narożnika. Będę wdzięczny każdemu, kto mi pomoże, kto będzie miał na tyle przyzwoitości i litości, żeby przyjść mi z pomocą. Dougal Hobb, statek miotany burzą i Ryan trwali w ciszy przez długą chwilę, jakby w tym czasie chirurg niczym na stole operacyjnym w myśli rozcinał problem, aby zbadać go od środka.

– Spróbuję ci pomóc, Ryan – powiedział w końcu. – Ale nie mogę działać na ślepo. Muszę wiedzieć choćby z grubsza, o co chodzi...

Ryan uciekł się do wyjaśnienia, które wprowadzić mogło nie przemówić do lekarza, ale stanowiło ważniejszy argument niż pragnienia zachowania anonimowości przez rodzinę dawcy.

– Niech pan to nazwie kryzysem duchowym, doktorze. Ta kobieta umarła, a ja żyję, chociaż na pewno była lepszym człowiekiem ode mnie. Znam siebie na tyle dobrze, że nie mam co do

tego wątpliwości. I to mnie prześladowuje. Nie mogę spać. Jestem wykończony. Muszę... muszę w jakiś sposób ją uczcić.

Po kolejnej pełnej namysłu chwili milczenia chirurg sprecyzował:

– Ale nie chodzi ci o uhonorowanie jej publicznie...

– Nie, doktorze. Nie. Media nie dowiedziały się o mojej chorobie, o przeszczepie. Nie chcę, żeby moje problemy zdrowotne stały się sprawą publiczną.

– Myślisz o uczczeniu jej pamięci... powiedzmy tak jak katolik uczciłby pamięć kogoś, zamawiając mszę za jego duszę.

– Tak. O to właśnie mi chodzi.

– A ty jesteś katolikiem, Ryan?

– Nie, doktorze. Ale właśnie o coś takiego mi chodzi.

– Jest ktoś, z kim mógłbym pogadać – przyznał Hobb. – Ktoś, kto dysponuje pełnymi danymi dawcy. Mógłby ich zapytać. Zapytać rodzinę.

– Byłbym wdzięczny. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo.

– Może zechcą udostępnić zdjęcie. A nawet podać imię. Jeśli nie zgodzą się na ujawnienie nazwiska kobiety ani własnych danych, telefonu, adresu, zadowolisz się tym?

– Zdjęcie bardzo by mi... pomogło. Cokolwiek, każda informacja. Będę wdzięczny za wszelkie informacje.

– To naprawdę niezwykła prośba – rzekł Hobb. – Ale muszę przyznać, że już coś takiego się zdarzyło. I poradziliśmy sobie. Wszystko zależy od rodziny.

Kobieta z liliami najwyraźniej miała zamiar podręczyć Ryana, wykończyć go psychicznie, zanim przytknie ostrze noża do jego piersi. Zanim jednak zaatakuje znowu, najprawdopodobniej da mu przynajmniej jeden dzień, żeby zastanowił się nad raną w boku, próbował przewidzieć, gdzie i jak zostanie ponownie ugodzony. Sprzyjały jej noc i deszcz. Za dwadzieścia cztery godziny będzie je miała po swojej stronie.

– Jeszcze jedno, doktorze. Zdjęcie i wszystkie inne informacje, które mogłaby przekazać rodzina... potrzebuję ich jak najszybciej. Najlepiej w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Jeśli nawet Dougal Hobb miał ochotę potraktować te słowa skalpelem, wstrzymał się z tym. Po chwili odparł:

– Kryzysy duchowe często trwają lata, nawet do końca życia. Zazwyczaj nie jest to nic pilnego, niecierpiącego zwłoki.

– Ten jest inny – zapewnił go Ryan. – Dziękuję za pomoc, doktorze, i za troskę.

41

Nóż wchodził w filec wołowy jak w masło.

Podczas jedzenia Ryan uzmysłowił sobie, że kobieta bardzo sprawnie posługiwała się nożem. Rzuciła mu lilie, zadając do-

kładnie taką ranę, jaką chciała zadać.

Gdyby ugodziła go głębiej, potrzebowałby pomocy lekarskiej. A ponieważ zrobiła to płytko, sam mógł się opatryć – wyraźnie zgodnie z jej zamierzeniem.

Chociaż mogła okazać się morderczynią, na razie zadowalała się dręczeniem. Chciała pobawić się z nim jakiś czas, torturując go psychicznie, zanim go wypatroszy – jeśli chodziło jej tylko o wypatroszenie.

Pewności i precyzji w posługiwaniu się nożem mogła nauczyć się na ulicy, ale Ryan nie przypuszczał, żeby była to jakaś zwykła dziewczyna z gangu. Krwawa lekcja, jaką odebrał na parkingu, nie przypominała rzeźniczej roboty, była finezyjna.

Choć niewątpliwie spotkanie Ryana zaniepokoiło, cieszył się z niego.

Jeszcze poprzedniego wieczoru musiał wziąć pod uwagę możliwość, że ostatnie zdarzenia – zakapturzony intruz, którego nie zarejestrowały kamery, cukierkowe serduszka i złoty wisior z wygrawerowanym napisem – były urojeniem, niewątpliwie tak jak dziwne incydenty sprzed ponad roku, i miały związek z baterią leków, które obecnie przyjmował.

Do tej pory odrzucał taką ewentualność, co oczywiście mogło wynikać z subiektywnej i być może niewiarygodnej oceny faktów. Rana w lewym boku stanowiła rozstrzygający dowód.

•••

Po kolacji wystawił stolik z brudnymi naczyniami przed drzwiami apartamentu i zadzwonił do pani Amory z prośbą, żeby go zabrała. Przez godzinę popijał drugi kieliszek wina i przerzucał książkę Samantha, wracając do pewnych fragmentów, tak jak inni w trudnych chwilach otwierają Biblię na chybił trafił i czytają przypadkowe wersy w nadziei, że Bóg wskaże im, jak należy postępować.

O dziewiątej podszedł do panelu w ścianie holu i skontrolował obrazy z kamer. Sprawdził dzięki nim wszystkie korytarze w domu i stwierdził, że w każdym światła zostały zgaszone, uznał więc, że państwo Amory udali się na noc do swojej kwatery.

Zjechał windą na najniższy poziom domu, do sutereny, przeszedł korytarzem prowadzącym do pralni, otworzył drzwi do magazynku, w którym był poprzedniego wieczoru, a potem cicho je za sobą zamknął. Z wysokiej metalowej szafy wyjął interesujące go nagranie z kamery i włączył monitor.

Kiedy pierwszy raz przeglądał zapis, na którym powinna znajdować się zakapturzona postać w deszczu, jej brak wytrącił go z równowagi. Było to oczywiście jeszcze przed spotkaniem z kobietą z nożem i przypuszczał, że te dziwaczne incydenty mają coś wspólnego ze środkami farmaceutycznymi.

W tym stanie umysłu nie mógł dokładnie obejrzeć nagrań.

Szukał czegoś, czego na nich wyraźnie nie było, a być może po-

winien zwrócić uwagę na to, co jest.

Wybrał więc obraz kamery obejmującej południowy trawnik, zarejestrowany o zmierzchu, sprzed ponad czterdziestu ośmiu godzin. Zaczął go śledzić w czasie rzeczywistym, bo podczas przewijania umykało za dużo szczegółów.

I znowu na ekranie pojawiła się mżawka, opary mgły, cedry i niknące światło dnia, stanowiące nastrojową scenerię, w której jednak Ryan nie zobaczył postaci w kapturze, choć dwukrotnie widział ją wtedy na własne oczy.

Nagle coś w leniwej kotłownianinie mgły wydało mu się dziwne. Kiedy cofnął nagranie do chwili, gdy zaczęło zmierzchać, żeby obejrzeć przejście dnia w noc, zauważył, że mgła jakby drgnęła. Później jej opary przesunęły się dokładnie tak jak chwilę wcześniej. Cofnął zapis jeszcze raz, nacisnął „play” i stwierdził, że ten fragment nagrania został sklonowany i wstawiony w miejsce czegoś, co skasowano. Powtarzał się w momencie, kiedy intruz w kapturze powinien wyłonić się spośród cedrów.

Zegar cyfrowy w prawym dolnym rogu ekranu płynnie odliczał kolejne sekundy, nie powtarzając czasu zdublowanej sekwencji. Hacker, który dokonał tej sztuczki, był prawdziwym magikiem i zwracał uwagę na szczegóły.

Ryan kolejny raz odtworzył sklonowane fragmenty – pierwszy trwający czterdzieści dziewięć sekund, a drugi trzydzieści jeden – zastanawiając się jednocześnie nad implikacjami swojego odkrycia.

Minął cały dzień między tym, jak zobaczył intruza i przejrzał nagrania z kamer. Ktoś w międzyczasie popracował nad tym zapisem.

Jednakże zeszłego wieczoru, zanim obejrzał nagranie dokonane o zmierzchu, zbiegł tu w piżamie i szlafroku, żeby sprawdzić, kto wszedł do apartamentu, a następnie z niego wyszedł, zostawiając serduszko na poduszce. Ktoś więc musiał wykasować obciążający fragment nagrania z udziałem tej osoby i zastąpić go innym, ze sklonowanymi obrazami, w trakcie tej akcji, gdy intruz był jeszcze na górze.

To świadczyło, że kobieta z liliami miała co najmniej jednego współlnika. Przyjmując, że to ona kilkakrotnie włamywała się do apartamentu, współlnik musiał siedzieć przed komputerem podłączonym do systemu bezpieczeństwa – najprawdopodobniej gdzieś w domu – pracowicie usuwając jej obraz z zapisu, gdy tylko wyszła z kadru.

Trudno było ją w takim razie uznać za działającą samotnie wariatkę. A więc teoria spiskowa, poprzednio odrzucona, nagle stała się prawdopodobna.

Co więcej, możliwości tych ludzi, którzy zmówili się przeciwko Ryanowi, były naprawdę imponujące i świadczyły o świetnej koordynacji.

W końcu dysponował dowodem. Ponieważ nie miał świadków agresji na parkingu, nie zdoła dowieść, że rana w jego boku nie jest wynikiem przypadku. Ale już sklonowane kadry na zapisie z kamery przypadkowe być nie mogły.

Byłby dla wątpliwy dowód dla policji. Ryan nie zamierzał jednak zwracać się do niej, dopóki nie pozna motywu konspiratorów – a nie był pewny, czy i wtedy to zrobi.

Kobieta z nożem sprężynowym powiedziała, że chce jego śmierci, i uznał, że rzeczywiście będzie próbowała go zabić. Ale jej motyw jak dotąd pozostawał tajemnicą.

Współpracownica Wilsona Motta, Cathy Sienna, wymieniła pięć źródeł przemocy: żądzę, zazdrość, gniew, chciwość i pragnienie zemsty. Uważała je raczej za słabości, ale były to motywy jak się patrzy. W przypadku mordercy mógł wchodzić w grę więcej niż jeden.

Gdy Ryan miał już wyłączyć monitor, obraz na ekranie nagle zamrugał i zmienił się. Zamiast widoku z kamery umieszczonej w domu czy poza nim pojawiło się coś lśniącego i lepkiego, czerwonego z niebieskimi żyłami i pulsującego, jak jakaś groźna istota odnaleziona w rozbitym meteorze ze starego filmu science fiction.

Przez moment Ryan nie mógł się zorientować, co to może być, ale po chwili dotarło do niego, że to obraz ludzkiego serca z przyległościami w otwartej ludzkiej piersi.

Chociaż nawet nie dotknął pilota, obraz podzielił się na cztery prostokąty, reprezentujące kamery w różnych miejscach posiadłości – które ukazywały tę samą makabryczną scenę. Po chwili na ekranie pojawiły się kolejne cztery obrazy z innych kamer, wszystkie z pulsującym sercem w kadrze, i następne cztery, i następne cztery...

Nie działo się to w czasie rzeczywistym, ta okropna scena nie rozgrywała się na terenie posiadłości, ale stanowiła fragment filmu szkoleniowego o operacji na otwartym sercu. Na ekranie pojawiły się dłonie chirurga i kamera zrobiła odjazd, żeby pokazać zespół lekarzy.

System bezpieczeństwa wyświetlał obrazy ze wszystkich kamer w kółko, od początku do końca, coraz szybciej i szybciej, aż nie dało się śledzić akcji filmu. Wreszcie monitor zgasł.

Z szafy zawierającej nagrywarki nagle dało się słyszeć przedśmiertne rżenie elektroniki. Potem zapadła cisza – i wszystkie urządzenia, wszystkie diody zostały wyłączone.

Ryan nie musiał wzywać ekipy technicznej, aby wiedzieć, że system bezpieczeństwa wysiadł, że nagrania przechowywane standardowo przez trzydzieści dni ulotniły się i nie ma już dowodu na to, że ktoś przy nich manipulował.

Powróciwszy do swojego apartamentu, Ryan otworzył szufladę biurka, przewertował teczki w segregatorze i odnalazł kopertę z zdjęciem Teresy Reach, które zabrał z albumu w gabinecie Spencera Barghesta.

Zanim przed prawie szesnastoma miesiącami dowiedział się od doktora Gupty, że cierpi na kardiomiopatię, był przekonany, że ta fotografia kryje trop, który pomoże mu wyjaśnić dziwne zdarzenia rozgrywające się w tym czasie.

Ostatecznie jednak obsesyjne analizy zdjęcia niczego nie przyniosły. Ryan w końcu doszedł do wniosku, że nie istnieje żaden spisek przeciwko niemu, nikt nie próbuje go otruć, i że to wszystko były niewinne zbiegi okoliczności, które uznał za tajemnicze i znaczące, bo jest podejrzliwy z natury, a choroba jeszcze zakłóciła mu jasność myślenia.

Może przyszła pora, żeby znowu przyjrzeć się Teresie.

Nie miał już sprzętu do analizy zdjęć, który dostał od Motta.

Musiał mu więc wystarczyć własny wzrok.

Gdy Ryan usiadł przy biurku, zadzwonił telefon, jego prywatna, zastrzeżona linia. Na wyświetlaczu nie pojawiła się identyfikacja numeru.

Kiedy podniósł słuchawkę, odezwała się kobieta od lili:

– Sprawdź stan swojego konta. Zauważysz, że przekazałeś sto tysięcy dolarów na badania kardiologiczne. Wyobrażam sobie, że strata finansowa jest dla ciebie bardziej bolesna niż zranienie nożem.

Zamiast prowadzić z nią jej grę, zapytał:

– Kim jesteście?

– Działam sama.

– Kłamiesz. Masz zaplecze. I to szerokie.

– Kimkolwiek jestem, już nie żyjesz.

– Jeszcze nie – odparł i przerwał połączenie.

•••

Be2Do. „Być, żeby działać”. Nie. „Być, żeby zostać załatwionym”. Wykorzystaj czas. Nie odpowiadaj na czyjeś działania, tylko działaj. Złap falę, wznies się na niej, okiełznaj ją, nie daj się okiełznać jej, żyj, żeby żyć, nie, żeby egzystować. Żyć to przeć do przodu. „Być albo nie być” – to nie pytanie.

Ryan obszedł swój wielki dom, włączając światła i wyłączając; gdy wychodził; niewiele widział w pokojach, przez które przechodził, bo miał przed oczami miejsce, z którego przyszedł: karaluchy, biegające i inne, zamknięte w popielnicze, plakaty z widokiem Katmandu i Chartumu, nigdy nieprzeżyte podróże, ponieważ wyprawy ojca w bardziej egzotyczne sfery pochłaniały wszystkie pieniądze na wyjazdy, pieniądze na czynsz, czasami wypad vanem do Vegas, z mamą i jej facetem, kolejnym facetem,

który miał być zupełnie inny niż poprzedni jej facet, radosny nastrój podczas jazdy na wschód, ostre światło olbrzymiej pustyni i lekkie rozmówki o wielkich pieniądzach, systemach zakładów i sposobach liczenia kart, butelki dos equis, żeby jakoś zabić czas, obmacywanki na przednich siedzeniach, gdy z tyłu udawało się głuchego, śpiącego, nieżyjącego, kogoś, kto w ogóle nie przyszedł na świat; czasami samotna noc na parkingu pod kasynem, ukrywanie się z tyłu vana, bo gdyby się siedziało prosto, ktoś mógłby cię zobaczyć, dziwni ludzie stukający w szybę i zagadujący cię miłym głosem – wampiry, podpowiadała wyobraźnia – żebyś otworzył drzwi, i ten tani motel, zawsze ten sam tani motel, gdzie się czekało, aż mama i jej aktualny facet spędzą Jakiś czas” razem; dzień albo dwa później jazda z powrotem na zachód, pełne rozpaczy rozmowy o pieniądzach, gorzkie oskarżenia, przystanki na odpoczynek, podczas którego on bije ją, ona mu oddaje, a ty próbujesz ich powstrzymać, ale jesteś mały i słaby, a potem on robi jej coś całkiem na widoku, więc musisz sobie pójść, odejść w głąb suchego gorącego łądu, iść w kierunku domu, nie wolno ci patrzeć, ale nie przejdiesz setek mil, kiedy więc van zatrzymuje się obok ciebie, musisz wsiąść, a oni tam z przodu się śmieją, jakby nic takiego się nie stało, i już tak jest przez całą drogę powrotną, tylko brzydka pustynia, Mohave to jedna wielka brudna popielniczka, mama i ten facet już mówią, jak to będzie następnym razem, wtedy to już rozbiją bank, popracują nad systemem, poćwiczą liczenie kart, i tak przez całą drogą do taty, do Katmandu i Chartumu, karaluchów, karaluchów i następnego faceta.

Po obejściu domu dwa razy Ryan wrócił do swojego apartamentu, nie zadając sobie trudu, żeby przekręcić klucz w zamku. Przekonany, że będzie jeszcze dręczony, zanim nastąpi kolejny atak, schował nóż pod poduszkę.

Doktor Hobb zalecał mu pić jak najmniej, bo alkohol mógł zakłócić wchłanianie i zmniejszyć skuteczność któregoś z dwudziestu ośmiu przyjmowanych przez niego leków. Ale Ryan nalał sobie trzeci kieliszek wina.

Potem usadowił się w łóżku z książką Samantha. Zasnął podczas czytania i śniły mu się sceny z jej powieści, jakby przeżywał je jeszcze raz.

Były to dziwne sny, ponieważ sam w nich nie występował i przez całą noc spodziewał się, że każda z tych scen w pewnym momencie zadrga jak odbicie w wodzie i rozstąpi się, ukazując ukrytą dotychczas w głębi podtekstu postać, która zwróci na niego puste, bezlitosne spojrzenie.

•••

O ósmej czternaście obudził go telefon od doktora Hobba. Chirurg właśnie otrzymał e-mailem zdjęcie dziewczyny, której serce biło w piersi Ryana.

– Tak jak przewidywałem, rodzice zgadzają się ujawnić tylko

imię córki, bez nazwiska – informował Hobb. – Ale kiedy wyjaśniłem, że cierpisz, że przechodzisz duchowy kryzys, jak to nazwałś, odmówili przyjęcia pieniędzy.

– To... niezwykle – odparł Ryan. – Jestem bardzo wdzięczny.

– To dobrzy ludzie, Ryan. Porządni, przyzwoici ludzie. Dlatego musisz mi obiecać, że nigdy nie wspomnisz publicznie o tej biednej dziewczynie, posługując się jej zdjęciem ani imieniem. Wprawdzie, jak mówię, to porządni ludzie, ale nie zdziwiłbym się... i nie miałbym do nich pretensji... gdyby pozwali cię do sądu o naruszenie prywatności.

– Jej zdjęcie i imię... są tylko do mojej wiadomości – zapewnił go Ryan.

– Wysłałam ci wszystko e-mailem.

– Dziękuję, doktorze... że poważnie potraktował pan moją prośbę i tak szybko to załatwił.

Zamiast udać się do gabinetu na pierwszym piętrze, Ryan włączył laptop, odebrał wiadomość od chirurga i wydrukował ją wraz ze zdjęciem na przenośnej drukarce w apartamencie.

Z wyjątkiem fryzury, która była trochę inna, dawczyni serca wyglądała tak jak dziewczyna z nożem sprężynowym.

Miała na imię Lily.

43

Uniesiony podbródek, zaciśnięte usta, otwarte spojrzenie świadczyły o czymś więcej niż pewnością siebie, może o hardości. Siedząc za biurkiem w aneksie za sypialnią i studiując zdjęcie Lily, Ryan zrozumiał, że musiała być siostrą bliźniaczką kobiety, która go zaatakowała.

„Jestem głosem lilii”.

Położył zdjęcie Lily X obok fotografii Teresy Reach.

Czarnowłosa piękność o eurazjatyckich rysach i jasnowłosa piękność, pierwsza jeszcze pełna życia na zdjęciu, ale już nieżyjąca, druga martwa, gdy ją fotografowano, obie ofiary wypadków samochodowych, u obu stwierdzono śmierć mózgową, jedna pozbawiona życia przez Spencera Barghesta, druga przez doktora Hobba, który wyjął jej serce, każda zostawiła siostrę bliźniaczkę. Im dłużej Ryan przyglądał się obu zdjęciom, tym bardziej narastał w nim niepokój, bo wydawało mu się, że ma przed sobą straszną prawdę, która wciąż mu umyka i ukaże się w najmniej spodziewanym momencie, żeby uderzyć w niego z siłą tsunami. Poznawszy Samanthę, Ryan dużo czytał o bliźniętach jednojajowych. Pamiętał, że to z nich, które przeżyje tragicznie zmarłego brata lub siostrę, często nie tylko bardzo cierpi, ale też ma nieuzasadnione poczucie winy.

Ciekaw był, czy to nie siostra Lily prowadziła samochód, w którym ta doznała obrażeń głowy. W takiej sytuacji jej poczucie

winy byłoby w pewnym stopniu uzasadnione, a cierpienie jeszcze większe.

Im dłużej porównywał zdjęcia, tym wyraźniej przypominał sobie, jak bardzo był przed szesnastoma miesiącami przekonany, że zdjęcie Teresy może wyjaśnić nurtujące go tajemnice. I znowu odezwała się w nim intuicja, przeczucie, że jest ona kluczową postacią do zrozumienia nie tylko tego, co stało się szesnaście miesięcy wcześniej, ale i tego, co działo się obecnie.

Ryan dokładnie zbadał zdjęcie Teresy i nie dostrzegł w nim niczego, co można by nazwać tropem. Co potwierdzało, że dalsze analizy raczej nie przyniosą żadnego odkrycia.

Ale może to nie w zdjęciu kryła się zagadka. Może znaczenie miało to, kto je zrobił, gdzie zostało znalezione albo jak dziewczyna została wyprawiona na tamten świat, w jakich okolicznościach – szczegóły znajdujące się być może w zapiskach Barghesta dotyczących samobójstw, przy których asystował.

O dziewiątej czterdzieści pięć Ryan zadzwonił do Wilsona Motta, który jak zawsze ucieszył się, że go słyszy.

– Po południu lecę do Las Vegas – poinformował go Ryan. – Ci, ludzie którzy pomagali mi ostatnim razem... George Zane i Cathy Sienna... czy są wolni?

– Tak, są wolni. Ale żadnego z nich nie ma w tej chwili w Nevadzie. Pracują poza biurem w Los Angeles.

– Mogliby polecieć ze mną – zaproponował Ryan.

– Myślę, że nie powinni podróżować pańskim learjetem.

Mamy własne środki transportu. Poza tym, jeśli mają przygotować dla pana grunt, muszą być tam co najmniej kilka godzin wcześniej.

– Tak, słusznie. W porządku. Jeśli pan pamięta, zeszłym razem miałem dwie sprawy.

– Mam przed sobą dane – odparł Mott. – Dwie osoby, dwa miejsca.

– Muszę wrócić do tego pana – powiedział Ryan. – I to szybko.

– Postaramy się – obiecał Mott.

Ryan odłożył słuchawkę.

Wsadził zdjęcia nieżyjących kobiet do beżowej koperty.

Nagle stanął mu przed oczami pewien obraz: pokój szpitalny, w którym spędził noc przed transplantacją, podłoga, ściany i meble błyszczące nie na skutek polerowania ludzką ręką, tylko w efekcie działania środków usypiających, które mu podano, tak że nawet cienie były szkliste, Wally Dunnaman przy oknie, chromowo-żółta noc i miasto rozciągające się za nim, powietrze przeszywane biciem dzwonów.

Stojąc w ciepłym pomieszczeniu, obok swojego eleganckiego antycznego biurka, Ryan Perry zaczął drżeć, a potem się trząść ze strachu, który nim owładnął. Zadał sobie pytanie, czego się boi, i nie potrafił na nie odpowiedzieć, choć przypuszczał, że niebawem pozna odpowiedź.

Część trzecia

*Pieśń na jej dwakroć smutną śmierć,
bo zgasła nazbyt wcześnie.*

Egard Allan Poe, *Lenore*,
przełożył Roman Klewin

44

Późnym popołudniem w Las Vegas niskie niebo wydawało się szare jak twarz nałogowego hazardzisty, który wstaje od bakarata po przegraniu wszystkich pieniędzy.

Wysoko położona pustynia Mohave znajdowała się we władaniu chłodu. Od nagich stoków gór, opuszczonych, dawno zapomnianych kopalni żelaza i ołowiu, osuwających się ścian pirytowych kanionów i skaleniowych jarów, nad pustynnymi równinami, między kolorowymi wyspami kasyn wiał wilgotny wiatr, jeszcze nie na tyle silny, żeby wzbąć obłoki pyłu nad pustą spaloną ziemią czy strzasnąć szczury z bujnych koron palm, ale wyraźnie nasilający się z końcem dnia.

Pod terminalem dla samolotów prywatnych czekał już George Zane w dwunastocylindrowym czarnym mercedesie typu sedan.

Wydawał się jeszcze potężniejszy od samochodu.

Otworzywszy Ryanowi drzwi, powiedział:

– Dobry wieczór, panie Perry.

– Miło cię znowu widzieć, George. Przywiozłem ze sobą kiepską pogodę.

– To dla nas nie ma znaczenia – odparł potężny mężczyzna.

Już w samochodzie, kiedy skręcili w drogę wylotową z lotniska, Ryan zapytał:

– Nie wiesz, czy Barghest wychodzi dziś wieczorem z domu?

Będziemy mogli się tam dostać?

– Już tam jedziemy – odparł Zane. – Wygląda na to, że facet pojechał do Reno na jakiś zjazd świrów i nie wróci do środy.

– Świrów?

– Tak to nazywam. Najlepsi i najmądrzejsi z nas zbierają się, żeby gadać o zredukowaniu populacji do pięciuset milionów.

– Jak to? Z powierzchni ziemi miałyby zniknąć sześć miliardów ludzi? Jak zamierzają to osiągnąć?

– Och – odrzekł Zane – z tego, co czytałem, pomysłów mają mnóstwo. Największą trudność stanowi sprzedanie tego programu reszcie z nas.

Na skrzyżowaniu unosiło się na wietrze kilka rozpostartych płacht gazet, które wirowały powoli, szerokim łukiem, niezgrabnie jak albatrosy krążące nad tonącymi statkami.

– Nie powinniśmy poczekać kilka godzin, aż się ściemni? – zapytał Ryan.

– Zawsze lepiej wchodzić za dnia, jeśli można, to mniej po-

dejrzone – wyjaśnił Zane. – Walić śmiało i prosto przed siebie. Okolice domu Barghesta okazały się jeszcze bardziej konwencjonalne niż w nocy: zwyczajne domy jednopiętrowe z płaskimi dachami, huśtawki i bujane fotele na gankach, zadbane ogródki, obręcze do koszykówki nad drzwiami garaży, flaga amerykańska tu i tam.

Dom Doktora Śmierć wyglądał tak zwyczajnie jak wszystkie inne w okolicy – i Ryan zaczął się zastanawiać, co może się w nich kryć.

Gdy Zane skręcił mercedesem w podjazd, drzwi do garażu się uniosły. Wjechał do środka, gdzie wcześniej podrzucił Cathy Sienne, która stała teraz w drzwiach prowadzących do domu. Gdy drzwi do garażu się opuściły, powitała Ryana zawodowym uśmiechem i uściskiem ręki. Zapomniał już, jakie bezpośrednie miała spojrzenie: granitowoszare oczy spoglądały tak pewnie, jakby wyzywały świat, żeby pokazał jej coś, na widok czego mogłaby się wzdrygnąć.

– Nie wiedziałam, że tak dobrze się pan bawił ostatnim razem – zauważyła.

– Nie było tak fajnie jak w Disneylandzie, ale też wryło się w pamięć.

– Przez tego Barghesta słowo „czubek” nabiera wyjątkowo paskudnego znaczenia – odezwał się Zane.

Ryan w kuchni wyjaśnił, o co mu chodzi: mają szukać trudno dostępnych miejsc, gdzie Doktor Śmierć mógł ukryć dokumenty dotyczące samobójstw, przy których był obecny. Skrytek w podłodze pod dywanami, odsuwanych tylnych ścianek w szafach, tego rodzaju kryjówek.

Sam tymczasem zamierzał jeszcze raz przejrzeć segregatory ze zdjęciami twarzy zmarłych.

Sądząc po tej części domu, przez którą właśnie przeszli, koneser sztuki nekromańskiej nie wzbogacił swojej makabrycznej kolekcji; Ryan z ulgą stwierdził, że do gabinetu nie przybył żaden eksponat. Najwyraźniej nawet Barghest potrzebował azylu, gdzie nie będzie go śledzić czyjś martwy wzrok.

Obok dwóch segregatorów, które były tam już przed szesnastoma miesiącami, stał trzeci – nowy. Ryan zdjął go w pierwszej kolejności i szybko przerzucił na stojąco, niemal spodziewając się, że przerazi go jakaś znana twarz.

Z jedenastu osób, których fotografie znajdowały się w nowym albumie, najstarszy wydawał się mężczyzną po siedemdziesiątce. Najmłodszy – jasnowłosy chłopak o delikatnych rysach i otwartych oczach, przyklejonych taśmą – nie miał więcej niż siedem-osiem lat.

Lekko zastukała rama okienna i nasilający się wiatr zawył pod okapem dachu. Coś na strychu zatrzepotało, być może ptak, który się tam dostał.

Jedenaście samobójstw z asystą w ciągu szesnastu miesięcy.

Ten Charon regularnie przewoził się przez Styks.

Ryan odstawił album na półkę, zdjął dwa poprzednie i zaniósł je na biurko.

Ponieważ po wejściu do pokoju podszedł od razu do regału, nie zauważył znanej mu książki na blacie. Była to powieść Samantha.

Patrząc na zamieszczone z tyłu zdjęcie Sam, Ryan usadowił się na fotelu biurowym. Wahał się, czy zajrzeć do książki.

Kiedy w końcu wziął ją do ręki, odwrócił stronę przedtytułową, a potem tytułową. Z ulgą stwierdził, że nie ma dedykacji ani podpisu autorki.

Przeglądając książkę, zauważył notatki na marginesach, drobne krytyczne uwagi, niektóre tak wulgarne, że zrobiło mu się niedobrze. Przeczytał tylko kilka z nich, a potem z niesmakiem zamknął powieść.

Było zupełnie zrozumiałe, że Spencer Barghest zainteresuje się tą powieścią i ją kupi. Co najmniej od sześciu lat związany był z matką Sam. W taki czy inny sposób asystował przy śmierci Teresy, jej siostry bliźniaczki – szlachetnym akcie współczucia albo morderstwie z zimną krwią, zależnie od punktu widzenia.

Najważniejszy byłby punkt widzenia Teresy, ale biorąc obecnie pod uwagę małą liczbę osób pełniących funkcję medium, władze nie miały szans na uzyskanie jej opinii.

Odłożywszy książkę, Ryan wziął pierwszy z segregatorów.

Szesnaście miesięcy temu żadna z twarzy w tym albumie nie wywoływała u niego żadnych skojarzeń. Był ciekaw, czy teraz też tak będzie, czy może przeoczył coś poprzednim razem.

Niewykluczone, że może osobiste przeżycia z ostatniego roku wyostrzyły jego wrażliwość na cierpienie, bo twarze te poruszyły go bardziej niż wtedy. Nadal były to portrety zmarłych, ale gdy oglądał je po raz drugi, był bardziej świadomy, że są to ludzie i na obliczu każdego z nich malował się charakter.

Jeśli za pierwszym razem pominął coś ważnego w tym segregatorze, nie dostrzegł tego i teraz – a zabrakło mu odwagi, żeby go przejrzeć po raz trzeci.

Z drugiego segregatora wyjął poprzednio zdjęcie Teresy, które stało się jego obsesją. Siedział tu zahipnotyzowany odbiciem w jej oczach – dopóki nie zjawiała się Cathy Sienna, mówiąc, że w tym domu przechodzą jej ciarki po plecach.

Ryan przyznał jej rację; uznał, że znalazł już to, czego szukał, zamknął segregator i odstawił go na półkę.

Teraz stwierdził, że trzecia w kolejności przezroczysta koszulka jest nadal pusta. Może Barghest nie zauważył, że fotografia Teresy zniknęła.

Przeglądając dalej album, zobaczył twarz kogoś, kogo znał.

Zamknął oczy z niedowierzaniem.

Skoro w ogóle ta twarz należała do tej nienormalnej kolekcji,

powinna znaleźć się przecież w trzecim segregatorze, tym nowym, wśród portretów ludzi, których Barghest odprawił z tego świata od czasu poprzedniej wizyty Ryana. To niemożliwe, żeby należała do osoby, która miała takiego pecha, by trafić pod jego skrzydła przed laty.

Z sercem bijącym szybciej niż wtedy, gdy na parkingu zraniła go siostra Lily, Ryan otworzył oczy i zobaczył, że nie pomylił się, identyfikując kobietę na zdjęciu.

„Jestem tu. Czuwam nad tobą. Wszystko będzie dobrze”.

Gładka ciemna cera.

„Nie wstrzymuj oddechu, chłopcze”.

Szmaragdowozielone oczy.

„Słyszysz go, prawda, chłopcze?”

Dwanaście koszulek za Teresą, która nie żyła od sześciu lat, widniała Ismay Clemm, jedna z pielęgniarek, które asystowały doktorowi Gupcie podczas biopsji mięśnia sercowego.

45

Wiatr, coraz silniejszy, rzeźił i dyszał pod dachem, jakby słowa więzły mu w gardle, i z frustracji walił gałęziami drzewa herbacianego o szyby w gabinecie.

Szesnaście miesięcy wcześniej, gdy Ryan siedział w tym pokoju, był pewny, że stanął u progu odkrycia, które odsłoni szczegóły ponurej zmywy przeciwko niemu. Teraz ogarnęło go to samo przekonanie.

Za pierwszym razem, natrafiwszy na zdjęcie Teresy, myślał, że ma przed sobą najważniejszy fragment puzzli. Już i tak owładnięty obsesją na punkcie nieskazitelnej urody Samantha, był pod wrażeniem jej idealnej kopii. Widząc portret nieżyjącej od sześciu lat kobiety zaledwie kilka godzin po nocy spędzonej w łóżku z kochanką, której twarz we śnie wyglądała dokładnie tak samo, Ryan zdał sobie dojmująco sprawę ze stałej obecności śmierci w życiu, co w pierwszej chwili zbiło go z tropu i sprawiło, że skupił się na Teresie, uznając ją za centralny punkt dziwnych wydarzeń, które się rozegrały.

Osoba Teresy Reach jednak nie pomogła mu w żaden sposób ułożyć puzzli. Nie należała do siatki nieznanego Ryanowi osób, które konspirowały przeciwko niemu.

Nie mógł określić tego jako fałszywy trop, bo przecież nikt nie umieścił jej zdjęcia w segregatorze z zamiarem wprowadzenia go w błąd. W swojej niecierpliwości, gorączkowej chęci działania, doszedł do wniosku, że obecność jej twarzy w kolekcji Barghesta stanowi właśnie to odkrycie, którego miał dokonać w Las Vegas. Teraz jednak, szesnaście miesięcy później i dwanaście stron w albumie dalej, ku swojemu jeszcze większemu zaskoczeniu znalazł prawdziwy trop: Ismay Clemm, pięćdziesięciokilkuletnia pielę-

gniarka, która nie tylko asystowała podczas biopsji mięśnia sercowego, ale także zaglądała do niego parokrotnie, już po zabiegu, gdy leżał na kozetce w gabinecie, czekając, aż przestaną działać środki uspokajające.

Tam po raz pierwszy zaczęły mu się śnić koszmary, które go potem prześladowały: ciemne jezioro, nawiedzony pałac, podwodne miasto. To one bardziej niż cokolwiek innego, te powracające senne wizje – i paranoja, którą podsycali, podejrzenia, że ktoś go truje albo podaje mu środki halucynogenne – skłoniły go do wyjazdu do Las Vegas w czasie oczekiwania na wyniki biopsji. Chociaż Ryan wiedział już ponad wszelką wątpliwość, że to Ismay Clemm stanowi punkt zwrotny, który pozwoli mu wyjść z mroku na światło, przerzucił dalszą część segregatora, przyglądając się zebranim w nim twarzom. Musiał mieć pewność, że nie popełni tego samego błędu, w którego efekcie uznał, że Teresa stanowi klucz do prawdy.

Pozostałe twarze należały od osób zupełnie mu nieznanymi.

Wrócił więc do pielęgniarki. Nie Ismay, oczywiście. Jej sobowtóra. Jeśli te wszystkie wydarzenia coś łączyło, to pary bliźniąt jednojajowych. Samantha i Teresa. Lily i jej pomyłona siostra z nożem sprężynowym.

Ryan usłyszał stukanie, ale byli to Zane albo Sienna w sąsiednim pokoju, którzy opukiwali ściany w poszukiwaniu ukrytych schowków.

Nie miał pojęcia, gdzie mieszka Ismay Gemm. Ponieważ było to dość rzadkie nazwisko, Ryan ze pośrednictwem komórki skorzystał z serwisu informacyjnego, który wyszukiwał telefony nie według miast, tylko numerów kierunkowych. Nie znalazł telefonu Ismay ani pod 949 ani 714, co mogło tylko oznaczać, że jest zastrzeżony. Po szesnastej w niedzielne popołudnie trudno było dzwonić do doktora Gupty, żeby zapytać o siostrę Clemm. Skontaktowanie się z nim w dzień powszedni zresztą nie było o wiele łatwiejsze.

Przed rokiem, dowiedziawszy się, że jego pacjent już od ponad miesiąca jest pod opieką doktora Dougala Hobba, doktor Gupta przesłał Hobbowi jego kartę, a Ryanowi krótki list, w którym wyrażał żal, że nie został poinformowany o tej decyzji wcześniej. Było mało prawdopodobne, że teraz zechce odebrać telefon albo odzwonić.

W konsekwencji tego wszystkiego Ryan zmienił też internistę.

Przeszedł od Forry'ego Stafforda do doktora Larry'ego Kleinmanna, który także prowadził prywatną praktykę lekarską.

Ryan zastanawiał się, czyby nie zadzwonić pod numer kontaktowy Kleinmanna i nie poprosić go o pomoc w zdobyciu nazwiska drugiej pielęgniarki, która tamtego dnia asystowała Gupcie podczas biopsji. Ale gdy patrzył na zdjęcie zmarłej siostry Ismay, przypomniał sobie tę chudą jak szczapa kobietę. Whippit. Nie. Whippet. Kara albo Karla.

Z osób o nazwisku Whipset, które znalazł pod kierunkowym 949, jedna miała imię podobne do tego, które tłukło mu się w pamięci. Rozpoznał je od razu: Kyra.

Zadzwoił do niej i odebrała już po trzecim sygnale.

Przedstawił się i przeprosił, że jej przeszkadza, i to jeszcze w niedzielę.

– Miałem nadzieję, że pomoże mi pani skontaktować się z Ismay Clemm – powiedział.

– Przepraszam, z kim?

– Z tą drugą pielęgniarką, która była obecna tamtego dnia podczas zabiegu.

– Drugą pielęgniarką? – zapytał Kyra Whipset.

– Z Ismay Clemm. Muszę z nią porozmawiać.

– Nie znam nikogo o tym nazwisku.

– Ale przecież asystowała podczas biopsji.

– Poza mną nie było żadnej pielęgniarki, panie Perry.

– Murzynka. Bardzo miła twarz. Niezwykłe ciemnozielone oczy.

– Nie znam nikogo takiego.

– Czy to możliwe, że... asystowała nieoficjalnie?

– Myślę, że coś takiego bym zapamiętała. Tego się nie praktykuje.

– Ale ona tam była – nalegał.

Jego przekonanie zbiło z tropu siostrę Whipset.

– Jeśli asystowała, to co robiła?

– Kiedy pobrano mi pierwszą próbkę, powiedziała, żebym nie wstrzymywał oddechu.

– I to wszystko? Nic więcej?

– Nie. Także... monitorowała mój puls.

– Co ma pan na myśli?

– Hm, stała przy stole, trzymała mnie za nadgarstek i mierzyła mi puls.

Zdziwionym głosem Kyra Whipset zauważyła:

– Ale cały czas był pan podłączony do elektrokardiografu.

Próbował to sobie przypomnieć. Zawodziła go jednak pamięć.

Siostra Whipset dodała:

– Elektrokardiograf z monitorem. To urządzenie kontrolujące pracę serca, panie Perry.

Ryan pamiętał rentgenoskop, za którego pośrednictwem śledził powolną drogą cewnika żyłą szyjną do serca.

Elektrokardiografu sobie nie przypominał. Nie umiał stwierdzić, że siostra Whipset się myli, i nie miał powodu podejrzewać, że go okłamuje. Ale zamiast elektrokardiografu pamiętał Ismay Clemm.

– Po zabiegu kazano mi się położyć na kozetce w sąsiednim gabinecie, żebym doszedł do siebie po środkach uspokajających. Zaglądała do mnie kilka razy. Była bardzo miła.

– To ja zaglądałam do pana kilkakrotnie, panie Perry. Drzemał pan.

Patrząc na zdjęcie zmarłej w segregatorze, Ryan rzekł stanowczo:

– Ale pamiętam ją wyraźnie. Ismay Clemm. Mam przed oczami jej twarz.

– Może pan przeliterować jej nazwisko? – poprosiła siostra Whipsset.

Gdy to zrobił, powtórzyła za nim, aby się upewnić, że dobrze zapisała.

– Proszę pana – powiedziała – to możliwe, że z jakiegoś powodu weszła na salę podczas zabiegu, a ja byłam tak zajęta, że jej nie zauważyłam, choć pan zwrócił na nią uwagę.

– Zdecydowanie zwróciłem uwagę – ponownie zapewnił Kyrę Whipsset.

– Niewykluczone jednak, że z powodu środków uspokajających nie pamięta pan wszystkiego za dobrze. Być może wydawało się panu, że była na sali dłużej.

Nie mógł zaprzeczyć, ale wiedział, że to nie było tak, wcale nie.

– Proszę mi podać numer, pod którym mogę pana złapać. Zadzwoń do kilku osób ze szpitala, żeby sprawdzić, czy znają tę kobietę. Może uda mi się zdobyć dla pana jej telefon.

– Byłbym ogromnie wdzięczny. To bardzo miłe z pani strony – powiedział i podał jej swój numer komórkowy.

•••

George Zane i Cathy Sienna ostukiwali ściany, zaglądali do szaf.

Ryan wyjął z koszulki segregatora zdjęcie zmarłej siostry Ismay Clemm i położył na blacie biurka.

Wiatr był już ostry jak skalpel, zdierał skórę z każdego skrawka gołej ziemi, jaką napotkał. Drzewa za oknem gięły się w chmurach żółtego pyłu, w żółtym niczym kwas świetle późnego popołudnia.

Z beżowej koperty, którą zabrał ze sobą, Ryan wyciągnął zdjęcia Teresy Reach i Lily X. Położył je obok fotografii kobiety będącej kopią Ismay Clemm.

Czuł niepokój, ale zupełnie inny niż dotychczas.

Przebył długą drogę od samego centrum królestwa rozumu, w którym poruszał się całe życie, na jego obrzeża, gdzie powietrze było rzadsze, a światło ciemniejsze. Stał na granicy między tym, kim był do tej pory, a swoim nowym bytem, o którym nawet nie śmiał myśleć.

Był już prawie zdecydowany włożyć oba zdjęcia z powrotem do segregatorów i wyjść szybko, zabierając ze sobą tylko fotografię Lily.

Problem jednak polegał na tym, że nie miał dokąd pójść z wątkiem domu, gdzie prędzej czy później ktoś otworzyłby mu pierś i

wyjął serce, tym razem bez znieczulenia.

Po chwili powietrze nabrało lekko alkalicznego posmaku za sprawą dławiącego się pyłem wiatru, który zawodził nieustannie za oknami.

Kiedy w końcu odezwał się telefon Ryana, okazało się, że nie dzwoni Kyra Whipset, ale w jej imieniu Wanda June Siedel.

– Słyszałam, że pytał pan o Ismay Clemm – zaczęła.

– Tak – odparł Ryan. – Była... okazała mi wiele dobroci w trudnym dla mnie okresie życia.

– O tak, to cała Ismay. Nie ma co do tego wątpliwości. Ona i ja byliśmy przez osiem lat najlepszymi przyjaciółkami, nie znam miłszej od niej osoby.

– Pani Siedel, bardzo bym chciał porozmawiać z siostrą Clemm.

– Mów mi po imieniu, synu. Sama chciałabym z nią pogadać, ale niestety, przykro mi to mówić, Ismay nie żyje.

Patrząc na zdjęcie, Ryan przez chwilę zwlekał z zadaniem najważniejszego pytania. Zapytał natomiast:

– Co się stało?

– Mówiąc wprost, wyszła za nieodpowiedniego faceta. Jej pierwszy mąż, Reggie, był święty z tego, co mówiła, i jeśli nawet tylko połowa jej opowieści o nim odpowiadała prawdzie, musiał nim być. Tylko że Reggie zmarł, gdy Ismay miała czterdziestkę. Siedem lat później znowu wyszła za mąż, tym razem za Alvina, przyjechała tu i wtedy się poznałyśmy. Kochała Alvina mimo jego wad, ale ja nie potrafiłam się z nim dogadać. Przeżyli razem osiem i pół roku, potem Ismay spadła z jakiejś dogodnej drabiny i rozbiła sobie czaszkę o jakiś dogodny betonowy występ.

Ponieważ Wanda June zamilkła, Ryan zapytał:

– Dogodny, tak?

– Synu, nie zrozum mnie źle. Nikogo nie oskarżam, nie mam zamiaru szargać niczyjej reputacji. Bóg wie, nie jestem z policji, nigdy nawet nie oglądałam żadnych seriali kryminalnych, a sprawę Ismay badało mnóstwo policjantów, na pewno więc wiedzieli, co mówią, kiedy orzekli, że to był wypadek. Pewnie dlatego, że oszalał z rozpacz i samotności, Alvin już miesiąc po śmierci Ismay wziął sobie inną babę. Oszalał z rozpacz i samotności, od tych pieniędzy ze sprzedaży domu i z ubezpieczenia, biedny Alvin.

– Umarła jesienią, Wanda June?

– Nie, nie, synu, przeżyła jakąś ciężką operację i przez jakiś czas miała obrzęk mózgu, nie wiedziała, kim jest, ale wyszła z tego dzięki własnej sile i Panu Bogu. Nie pamiętała o dogodnej drabinie ani dogodnym betonowym występie, ale wracała do zdrowia i znowu była dawną Ismay. Przebywała w ośrodku dla rekonwalescentów, leczyla tam paraliż lewej ręki, który prawie ustąpił, kiedy podczas wizyty Alvina i jakiegoś jego kumpla powalił ją dogodny rozległy atak serca. Byli sami w pokoju, drzwi zamknięte, i to

dogodne zdarzenie okazało się już ponad siły naszej Ismay, Panie, miej ją w swojej opiece.

– Przykro mi, Wando June. Słyszę po twoim głosie, że była ci bliska. – I zadał najważniejsze pytanie. – Kiedy Ismay umarła?

– W Wigilię minęły trzy lata. Alvin przyniósł jej prezent, piękny jedwabny szalik, tak piękny, że aż dostała zawału, ale trzeba się pocieszać, że umarła na widok pięknej rzeczy, bo przecież nie byłoby dogodne, gdyby nie dostała zawału i trzeba ją było przypadkowo udusić tym szalikiem.

Jeśli można było wierzyć Wandzie June Siedel, Ismay Clemm zmarła dwadzieścia jeden miesięcy przed biopsją mięśnia sercowego, w której trakcie Ryan ją poznał.

Gdy tak siedział, słuchając wściekle wyjącego wiatru za oknem, jego gorączkowe rozumowanie przeszło na jałowy bieg wobec faktu, który stanowił przeszkodę nie do pokonania.

Wanda June nie potrzebowała zachęty, żeby kontynuować:

– Ismay poznała Alvina na katolickiej stronie internetowej, co już samo w sobie jest sprzeczne, bo Internet to diabelski wynalazek. Gdyby nie wchodziła do Internetu, nie poznałaby Alvina i wciąż mieszkałaby z siostrą w Denver, a to znaczy, że byśmy się nie zaprzyjaźniły, ale już bym wolała w ogóle jej nie poznać, niż żeby odeszła przedwcześnie z tego świata.

– Denver – powtórzył Ryan.

– Tam się urodziła, mieszkała jako dziewczyna, a potem wyszła za męża za Reggiego. Do Newport, a dokładnie do Costa Mesa, przeniosła się, gdy miała czterdzieści siedem lat, bo Alvin dostał tu pracę, i sama zatrudniła się w szpitalu.

– A jej siostra... żyje nadal?

– Jej siostra, Ismena, nie wyszła za Alvina, nie używa e-maila, nie mówiąc już o Internecie, nie spadła więc z drabiny, nie zadławiła się żadnym jedwabnym szalikiem ani nic takiego, żyje jej się dobrze, jest taka kochana jak Ismay.

We wszechświecie znowu zapanował rozum. Jeśli jej siostra żyła, istniało wyjaśnienie mieszczące się w granicach logiki i racjonalnego myślenia, w których Ryan tak dobrze się czuł.

– Masz więc kontakt z Ismeną – zagadnął.

– Ismena Moon, tak brzmi jej panieńskie nazwisko, to Alvin nazywał się Clemm. Pisujemy do siebie z Ismeną, czasami rozmawiamy przez telefon.

– Wciąż mieszka w Denver?

– Tak, w tym samym domu, w którym mieszkali Ismay i Reggie. Odkupiła go, gdy Ismay wyszła za Alvina, tego rzekomego katolika, chociaż nie mnie kwestionować czyjaś wiarę, drabina czy nie drabina.

– Wando June, co Kyra Whipset powiedziała ci o mnie?

– Nawet z nią nie rozmawiałam. Po prostu знаła kogoś, kto znał mnie i wiedział, że przyjaźniłam się z Ismay. Podobno Ismay

zrobiła na tobie wrażenie czy coś takiego, poproszono mnie więc, żebym do ciebie zadzwoniła.

– Jak już mówiłem, Ismay była dla mnie bardzo miła w okropnym okresie mojego życia. Chciałem... odpłacić jej za życzliwość. Ale nie wiedziałem, że nie żyje.

– Synu, chętnie bym posłuchała historii o tym, co dla ciebie zrobiła, o jej dobroci, żeby dołączyć to do innych wspomnień o Ismay.

– Kiedyś ci o tym opowiem, Wando June. Przrzekam. Ale miałem nadzieję, że pomożesz mi się skontaktować z jej siostrą, Ismeną.

– Ismenie tak bardzo brakuje Ismay, że chętnie usłyszysz dobre słowo o ukochanej siostrze od takiego miłego młodego człowieka jak ty. Podam ci jej numer telefonu.

46

W drodze powrotnej na lotnisko George prowadził, Cathy Sienna miała baczenie na wszystko, a Ryan siedział skulony na tylnym siedzeniu, przerzucając bez przerwy zdjęcia trzech kobiet – Teresy, Lily, Ismay – z których każda miała siostrę bliźniaczkę i zostawiła ją na świecie.

Według Samantha dobra fabuła ma strukturę. Uzyskuje się ją w rozmaity sposób. Na tę strukturę składają się wady i zalety bohatera, jego intencje w zestawieniu z uczynkami, filozofia życiowa ukształtowana przez doświadczenia, nawyki i zwyczaje, przeciwieństwa i sprzeczności, rzeczy przyziemne i ekscentryczne, poglądy i sposób mówienia. To żywe obrazy, zapachy unoszące się z kartek, dźwięki rozbrzmiewające w wyobraźni, metafory i porównania. Potrafiła wymienić dziesiątki struktur narracyjnych. Ryan nie pamiętał ich wszystkich.

W takiej strukturze zaczynasz dostrzegać pewien schemat.

Czasami jest to osnowa akcji, którą wyobrażasz sobie jako linie na autostradzie i balustrady po bokach, poprowadzone po to, żebyś trafił do celu, nie gubiąc się na bocznych drogach nic nieznaczących epizodów. Czasami to konstrukcja motywu przewodniego, tak żeby historia miała sens, na takiej zasadzie jak budowa sonetu nadaje mu znaczenie i jak za sprawą prawdy o ludzkim cierpieniu pieśń bluesowa jest warta śpiewania.

Najtrudniejsze do rozszyfrowania i najbardziej intrygujące, a zwykle i najbardziej złowieszcze, są te schematy, które wynikają z podtekstu; nie z głównego wątku, ale z przesłania opowieści. Im mniej czytelnik się nad nimi zastanawia, tym bardziej stają się zrozumiałe, bo są to podstawowe prawdy, przeważnie odrzucane przez współczesny umysł na poziomie podświadomości.

Studiując zdjęcia trzech zmarłych kobiet, myśląc o ich żyjących siostrach, Ryan zaczął podejrzewać, że motyw bliźniąt, choć po-

zornie stanowiący klucz do tej historii, stanowi raczej jej kontekst i im więcej będzie się na nim skupiał, tym bardziej oddali się od rozwiązania zagadki, którego poszukiwał.

W żółtym pyłe wysięgniki sygnalizacji świetlnej unosiły się nad skrzyżowaniami jak wahadła, wiatr zrywał suche liście ze strzelistych palm, gnał śmiecie po pustych parkingach i zatłoczonych ulicach, uderzał w samochód, świstał za oknami i w ogóle urządzał taki pokaz siły, że jakiś poganin mógłby rzucać mu w ofierze kosze płatków kwiatowych, żeby wyblagać łaskę podczas nadchodzącej burzy.

Wkładając z powrotem zdjęcia do koperty, Ryan oświadczył:

– George, Cathy, lecę stąd do Denver. Nie wiem, czy będę potrzebował pomocy, ale niewykluczone, że wynikną pewne kwestie bezpieczeństwa. Czułbym się pewniej, gdybym miał przy boku kogoś z licencjonowaną bronią.

– Oboje mamy pozwolenie na broń w Kolorado – odparł Zane

– a Cathy przeszła takie samo szkolenie strzeleckie jak ja. Może nawet strzela lepiej ode mnie.

– Mam dziewiętnaście trafień na dwadzieścia – potwierdziła.

Ryan zapytał:

– Nie wybrałabyś się do Kolorado, Cathy?

– Wzięłam ze sobą tylko jedną zmianę ciuchów, żeby zmieściły się do torby.

– Więcej ci nie potrzeba. Jutro wrócimy do Kalifornii.

Prawdę mówiąc, było mało prawdopodobne, że Ismena Moon, pięćdziesięcioośmioletnia kobiety opisywana jako chodząca dobroć, będzie stanowić dla Ryana zagrożenie.

Chciał mieć przy sobie kogoś bardziej dla towarzystwa niż ochrony. Przez większość minionego roku był samotnikiem i to mu nie służyło.

Szczególnie Denver mogłoby okazać się dla niego niebezpiecznym miejscem, gdyby był sam. Poprzednim razem przyjechał tam zdezorientowany – i teraz też tak miało być – a wyjechał jeszcze bardziej zagubiony, niemal zrozpaczony.

Poza tym, zobaczywszy Cathy tego popołudnia w garażu Barghesta, Ryan poczuł, że chce ją o coś zapytać. Że musi to zrobić.

Była to dość ważna sprawa. Nie wiedział tylko, jakie to pytanie.

Miał wrażenie, że już formuluje się w jego głowie.

Być może sprecyzowałoby się w Denver.

•••

Po czterdziestu minutach lotu z Las Vegas, wysoko nad Utah, w drodze do Kolorado, Ryan przeprosił Cathy i poszedł do toalety.

Upadł na kolana i zwymiotował do muszli. Niedobrze mu było już podczas startu, a podczas lotu mdłości jeszcze się nasiliły.

Dwukrotnie przepłukał usta nad umywalką i umył ręce. Zauważył, że ma bardzo blade palce, zupełnie jak kości.

Kiedy spojrział w lustrze na swoją twarz, stwierdził, że jest

jeszcze bledsza niż dłonie, a usta w ogóle pozbawione były koloru. Niechętnie spojrzął sobie w oczy i nie wiadomo dlaczego pomyślał o Alvinie Clemmie, o dogodnej drabinie, dogodnym betonowym występie, jedwabnym szaliku i dogodnym ataku serca. Nogi się pod nim ugięły i przysiadł na klozecie. Ręce mu drżały. Złączył je, licząc, że w ten sposób nad nimi zapanuje. Nie wiedział, kiedy wstał, żeby znowu umyć ręce. Zobaczył, że stoi nad umywalką, szorując je. Znowu przysiadł na muszli klozetowej, gdy usłyszał stukanie, i serce zabiło mu mocniej, dopóki nie uświadomił sobie, że to ktoś puka do drzwi.

– Wszystko w porządku? – zapytała Cathy Sienna.

– Przepraszam – odpowiedział. – Tak. Przepraszam.

– Nic panu nie jest?

– Drobne mdłości. Choroba lokomocyjna – wyjaśnił.

– Mogę jakoś pomóc?

– Proszę dać mi minutę. Tylko minutę.

Odeszła spod drzwi.

Choroba lokomocyjna była błędną diagnozą. Niedobrze mu było ze strachu na myśl, co zastanie na ziemi, w Denver, w domu Ismeny Moon, w którym kiedyś mieszkała Ismay.

47

Zostawiając za sobą gwiazdy i księżyc, zeszli do lądowania w grubej warstwie chmur, które przez okno wyglądały jak kipiąca biel, i w dole ukazało się Denver migocące światłami w przejrzystym nocnym powietrzu.

Podczas lotu Ryan zadzwonił do Ismeny i powiedział, że jej nieżyjąca siostra okazała mu dobroć, że nie zapomniał o tym, a ponieważ jest w Denver, chciałby wpaść do niej i dowiedzieć się czegoś więcej o Ismay. Gdy Ismena zaprosiła ich do domu, Ryan zamówił cadillaca escalade, który czekał już na nich na lotnisku. Styczniowa noc była tak zimna, że jego chłodne ręce w porównaniu z nią wydawały się wręcz ciepłe. Oddech zamieniał się w parę, jej obłoczki przez chwilę unosiły się w nieruchomym powietrzu, a potem w nim rozplywały.

Żołądek mu się uspokoił, w przeciwieństwie do nerwów, i gdy wsadzili dwie małe torby do bagażnika samochodu, poprosił Cathy, żeby usiadła za kierownicą. Sam zajął miejsce na sąsiednim fotelu i odczytał adres Ismeny z kartki, na której go zanotował, a Cathy wprowadziła go do systemu nawigacji.

Prowadziła dobrze, jakby przejechała tym wielkim SUV-em już z pięćdziesiąt tysięcy mil. Ryan przypuszczał, że ta kobieta nie tylko świetnie radzi sobie z bronią i samochodami, ale także z innymi narzędziami czy sprzętem mechanicznym, bo przedkłada je nad ludzi.

Najwyraźniej lubiła prowadzić, ponieważ na jej ustach pojawił się lekki mimowolny uśmiech. Zazwyczaj kontrolowała wyraz twarzy, teraz jednak nie miała maski, odprężyła się jak nigdy dotąd w obecności Ryana.

– Czy powinnam wiedzieć, kim jest ta kobieta, z której powodu tu przylecieliśmy? – zapytała.

Opowiedział jej tylko to, że Ismay okazała mu dużo życzliwości podczas biopsji mięśnia sercowego – a tego dnia dowiedział się, że zmarła dwadzieścia jeden miesięcy przed tym, jak ją poznał.

Jeśli spodziewał się po Cathy jakiejś reakcji, nie zobaczył żadnej. Na ustach wciąż miała nieznaczny uśmiech, patrzyła przed siebie, na drogę, jakby nie powiedział nic dziwniejszego niż to, że sądząc po zachmurzeniu, wkrótce spadnie śnieg.

– Dwadzieścia jeden miesięcy – powtórzyła. – I jak by to pan wyjaśnił?

– Ismena i Ismay to bliźniaczki jednojajowe.

– Więc co? Myśli pan, że to Ismena uczestniczyła w biopsji?

– Może. Pewnie tak.

– Ale posługiwała się imieniem Ismay? Po co miałyby to robić?

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć.

– Tak przypuszczałam.

Czekał, żeby powiedziała coś więcej. Prowadziła w milczeniu i mówiła tylko „Tak, proszę pani” za każdym razem, gdy kobiecy głos z systemu nawigacji podawał jej instrukcję, jak ma jechać.

Cathy została tak przeszkolona, żeby słuchać uważnie tego, co klient miał do powiedzenia w związku ze swoimi problemami, i nie okazywać zainteresowania żadną częścią historii, którą by pominął. Ale jej powściągliwość w tym wypadku wydawała się niemal nadludzka.

Gdy system nawigacji poinformował, że za trzysta jardów mają wykonać ostatni skręt w lewo, Ryan rozpoznał park z osikami i przylegającym do niego kościółkiem.

– Proszę się zatrzymać – powiedział. – Znam to miejsce. Jeśli ten dom znajduje się za rogiem, możemy pójść na piechotę.

Mieli wprowadzić za cienkie kurtki jak na tę pogodę, ale było bezwietrznie i dzięki temu nie tak zimno. Z rękami w kieszeniach ruszyli do parku.

Z osik przed zimą opadły liście. Gładkie nagie gałęzie tworzyły geometryczne formy na nocnym niebie.

Trawniki pokrywał świeży śnieg, jeszcze niepoznany śladami dziecięcych butów, i wyłożone płytami ścieżki wiły się w tej bieli jak kanały ciemnej wody.

– Już raz tu byłem – powiedział do Cathy – szesnaście miesięcy temu.

Szła obok niego, czekając na dalszy ciąg.

– Doznałem wtedy bardzo silnego wrażenia déjà vu. Nie było

wiatru tak jak teraz, ale szumiały osiki, jak zawsze gdy tracą liście. I pomyślałem, że bardzo kocham ten dźwięk... a wtedy uświadomiłem sobie, że słyszę go po raz pierwszy w życiu.

Latarnia rzucała światło na żelazną ławkę. Z jej krawędzi zwiisały sople, lód pokrywał też chodnik pod nią.

– Siedząc na tej ławce, poczułem pewność, że siadywałem tu wiele razy w przeszłości, w rozmaitych porach roku. I ogarnęła mnie niesamowita tęsknota... za tym miejscem. Dziwne, nie sądzi pani?

Znowu go zaskoczyła, odpowiadając:

– Wcale nie.

Ryan spojrział na nią. Świadoma jego wzroku, nie odwzajemniła spojrzenia.

– Teraz też czuje pan coś takiego? – zapytała.

Drżąc, Ryan rozejrzał się wokół.

– Nie. Tym razem to miejsce nie budzi we mnie żadnych odczuć ani skojarzeń.

Podeszli do schodów kościoła Św. Gemmy, gdzie brązowa latarnia w kształcie dzwonu oświetlała dębowe drzwi.

– Wiedziałem, jak wygląda wnętrze kościoła, choć nigdy w nim nie byłem. Potem, gdy do niego wszedłem, znowu poczułem, że kocham to miejsce.

– Mamy wejść do środka?

Chociaż wiedział, że nikt by go tak szybko nie wytropił i nie pojechał za nim do Kolorado, Ryan miał wrażenie, że gdyby wszedł do kościoła, czekałaby już tam na niego kobieta z parkingu, tym razem bez kwiatów.

– Nie – odparł. – Nic mnie tam nie ciągnie. Byłoby jak w parku... żadnych odczuć.

Uszy zaczęły mu marznąć, a oczy łzawić, w powietrzu unosiła się słaba woń amoniaku, tak że zakręciło mu w nosie.

Po drugiej stronie kościoła, przeciwległe do osikowego zagajnika, znajdował się rozległy cmentarz. Nie otaczał go żaden mur, wokół głównej ścieżki stały latarnie.

– Nie widziałem go wcześniej – rzekł. – Nie zaszedłem tak daleko. Po wyjściu z kościoła byłem tak... chyba wystraszony, że chciałem już tylko wrócić do hotelu. Myślałem, że ktoś mnie truje.

To wyznanie najwyraźniej zrobiło na Cathy większe wrażenie niż wszystko inne, co to tej pory ujawnił. Gdy szli wzdłuż cmentarza na róg ulicy, początkowo milczała, ale po chwili spytała:

– Truje?

– Truje albo podaje mi środki halucynogenne. To długa historia.

– Niezależnie od tego, jak długa, wydaje mi się, że bardziej prawdopodobne są inne wyjaśnienia niż to, że ktoś pana truje albo podaje panu środki halucynogenne.

– Jakie na przykład?

Wzruszyła ramionami.

– Te wszystkie, których nie chciał pan wziąć pod uwagę.

Jej odpowiedź wytrąciła Ryana z równowagi, podobnie jak odkrycie cmentarza.

– Założę się, że tu ją właśnie pochowano – oświadczył.

– Ismay Clemm? O nią panu chodzi?

– Uhm.

– Chce pan to sprawdzić?

Krzywiąc się na widok zaszypanego śniegiem cmentarza, Ryan odparł:

– Nie. Nie po ciemku.

Przeznica za skrzyżowaniem, naprzeciwko cmentarza, zabudowana była tylko z jednej strony.

Szósty z kolei wiktoriański dom z ozdobnymi gzymsami i wykuszami okiennymi należał do Ismeny Moon. Przywitało ich światło na ganku.

Koronkowe zasłony w wielodzielnych oknach i mosiężna kołatka w kształcie uśmiechniętego cherubina, unoszącego w dłoniach diadem, zapowiadały już wystrój wnętrza.

Drzwi otworzyła szczupła przystojna kobieta po sześćdziesiątce. Miała siwe włosy, jasną kawową cerę i wielkie brązowe oczy. Praktyczne czarne buty na klockowatym obcasie oraz niebieska sukienka ze sztucznego jedwabiu z głębokim okrągłym dekoltem, wąskim białym kołnierzykiem, bufiastymi rękawami i białymi mankietami świadczyły, że wróciła właśnie z nieszporów czy jakiegoś innego nabożeństwa.

– Dobry wieczór pani. Jestem Ryan Perry, a to moja towarzyszka, Cathy Sienna. Jesteśmy umówieni z panią Ismeną Moon.

– To ja – odpowiedziała kobieta. – Miło mi państwa poznać.

Proszę do środka, bardzo proszę, jesteście tak ubrani, że od tej pogody dostaniecie zapalenie płuc.

Ismena i Ismay nie były bliźniaczkami jednojajowymi, w ogóle nie były bliźniaczkami.

48

Salon, o wysokim suficie, urządzone był w stylu wiktoriańskim: tapety w kwiatowy deseń, aksamitne zasłony w kolorze kasztanowym, spięte z boku sznurami z frędzlem ma końcu; koronkowe firanki w oknach między nimi; kominek ze złoto-czarnego marmuru z ozdobnym gzymsem i żelaznym paleniskiem; etażerka ze starymi kieliszkami, dwie sofy Chesterfield, stojaki na rośliny doniczkowe z rzeźbionymi postumentami; stolik przykryty kasztanowym obrusem i szydełkową serwetką; i wszędzie starannie poustawiane piękne porcelanowe figurki, fotografie w ozdobnym ramkach i inne bibeloty.

Ismena Moon zaparzyła kawę, nalala jej do filiżanek ze srebr-

nego wiktoriańskiego dzbanka i podała zestaw egzotycznych ciasteczek, które nazywała herbatnikami.

Gdy Ryan spodziewał się piętnastominutowego spotkania, podczas którego być może uda mu się dowiedzieć, co wydarzyło się tamtego dnia w trakcie przeprowadzanej przez doktora Gupta biopsji mięśnia sercowego, Ismena przygotowała się na wizytę towarzyską, poświęconą jednemu ze swoich ulubionych tematów – siostrze. Była tak uroczą kobietą, tak miłą, że Ryan nie chciał jej sprawić zawodu.

Poza tym jego teoria o bliźniaczkach jednojajowych legła w gruzach i musiał znaleźć racjonalne wyjaśnienie, jak to się stało, że rzekomo nieżyjąca od dwudziestu jeden miesięcy kobieta rozmawiała z nim tamtego dnia. Wprawdzie, gdy dowiedział się o istnieniu trzeciej siostry – Ismany, odzyskał na moment nadzieję, że to ona i Ismay stanowią parę bliźniąt, ale okazało się, że była najstarsza z nich i umarła pierwsza.

– Rzeczywiście, podobne brzmienie naszych imion mogło sugerować, że jesteśmy bliźniaczkami – rzekła Ismena. – Ale to tylko różne formy imienia Amy, dość popularnego w epoce wiktoriańskiej, które różnie przekształcano. Amia, Amice, Esmee i tak dalej, i tak dalej.

Epoka wiktoriańska, wyjaśniła następnie Ismena, fascynowała rodzinę Moonów, począwszy od dziadka, doktora Willarda Moona, który był jednym z pierwszych czarnych dentystów na zachód od Missisipi, leczącym białych. Ismay nie miała aż takiej słabości do pamiątek wiktoriańskich jak Ismena, ale podobnie jak wszyscy z rodziny Moonów dużo czytała i jej ulubione książki oraz pisarze pochodzili z dziewiętnastego wieku, głównie z tej właśnie epoki. Ismena wskazała zastawioną książkami wnękę przylegającą do saloniku, w której stały dwa skórzane fotele i lampy do czytania.

– Była najszcześliwsza, gdy siedziała z książką w jednym z tych foteli.

Gdy Ismena opowiadała, Ryan podszedł do regału, żeby spojrzeć na tytuły stojących tam książek, wśród których znajdowały się wszystkie dzieła Dickensa i Wilkiego Collinsa.

Idąc wzdłuż półek, musiał obejść białe marmurowe popiersie na piedestale.

– To była jej ulubiona rzecz – wyjaśniła Ismena. – Oczywiście, musiała go umieścić nad drzwiami saloniku, tak jak w wierszu, ale ja nie czułam się dobrze ze świadomością, że coś tak ciężkiego wisi mi nad głową.

– W jakim wierszu? – spytała Cathy.

– *Kruk* – odparła Ismena. – Poe był jej ulubionym pisarzem, choć bardziej lubiła jego wiersze niż opowiadania.

Ryan podszedł do zbioru dzieł Poego.

Ismena tymczasem zacytowała z pamięci fragment wiersza: „I wciąż jego czerń/skrzydłata nie drgnie, jakby chciała lata/Spędzić

nad Pallady bladym czołem, w niszy tuż przy drzwiach”*

* Przekład Stanisława Barańczaka, *Ocalone w tłumaczeniu*.

Metrum wiersza, jego melodia, rymy, wszystko to sprawiło, że Ryanowi nagle zaparło dech w piersi, nie dlatego, że pierwszy raz go słyszał – bo tak nie było – i nie dlatego, że był liryczny i piękny, ale ponieważ stanowił kwintesencję stylu Poego i uderzająco pasował do dziwnych wydarzeń ostatnich siedemnastu miesięcy.

Gdy zdejmował z półki tom wierszy zebranych Poego, ogarnęło go jeszcze silniejsze poczucie niesamowitej zbieżności, bo Cathy pod wpływem chwili zaczęła recytować: „W głuchą północ, w snów tumanie, gdy znużyło mnie dumanie/Nad księgami zapomnianej magii, znanej w dawnych dniach...”

– „...Chyląc głowę nad foliałem, niespodzianie usłyszałem/Chrobot, jakby ktoś nieśmiałym palcem skrobał znak na drzwiach” – z entuzjazmem pociągnęła Ismena.

– Nie jestem pewna, czy pamiętam dalej – powiedziała Cathy – ale może... „»Gość – mruknałem – tym sygnałem daje znać, że stanie w drzwiach:/Skąd ten zimny pot i strach?«”

– Ale to nie był gość, prawda? – zapytała retorycznie Ismena. – Nie u pana Poego.

Pukanie.

Ismay wiedziała, że ktoś pukał.

Po biopsji, kiedy drzemał w gabinecie, powiedziała do Ryana:

„Słyszysz go, prawda, chłopcze? Tak, słyszysz go”.

Nie rozumiał, skąd mogła o tym wiedzieć, ale oczywiście w tej chwili bardziej go intrygowało, jak mogła się przy nim znaleźć prawie dwa lata po swojej śmierci.

„Nie słuchaj, chłopcze”.

Otworzył tom poezji na chybił trafił – i zobaczył wiersz pod tytułem *Miasto w morzu*.

– Ismay znała na pamięć wszystkie wiersze Poego... oprócz *Israfaela*. Jakoś nie mogła się go nauczyć.

Ryan przesunął wzrokiem po początkowych liniijkach *Miasta w morzu* i trafił na coś, co musiał odczytać na głos:

„Milczące światło splywa w dal/I w dal rozlewa się po skałach,/Katedrach, wieżach, arsenałach/I babelowych – zda się, wałach”*

* Przekład Antoni Lange.

Drżał mu głos albo w innym sposób zdradził swój lęk, bo Ismena Moon zapytała:

– Dobrze się pan czuje, panie Perry?

– Śniło mi się coś takiego – odparł. – I to nieraz.

Przeczytawszy dalsze wersy, uniósł głowę i uświadomił sobie, że obie kobiety czekają na dalsze wyjaśnienia z jego strony.

Zamiast jednak się wytłumaczyć, powiedział:

– Pani Moon, widzę, że ma pani kilka egzemplarzy zbioru poezji Poego.

– Gdy Ismay trafiała na nowe wydanie, z innymi ilustracjami, zawsze je kupowała.
– Mogę odkupić od pani ten tomik? Chciałbym go mieć... jako pamiątkę po Ismay.
– Nie przyjąłabym od pana ani centa – odparła. – Proszę sobie wziąć, który pan chce, Ale wciąż nie powiedział mi pan, co takiego Ismay zrobiła, że tak zapadła panu w pamięć.
Z książkę w rękę wrócił na kanapę, na której siedziała Cathy, i opowiedział zmyśloną historyjkę, przyprawioną lekko prawdą. Umieścił ją w czasie przed śmiercią Ismay, nie wspomniał o transplatacji serca, zamiast tego wszczepił sobie bypassy. Opowiadał o tym, jak bał się, że umrze, a Ismay dodawała mu otuchy przez dwie kolejne noce w szpitalu, najpierw siedząc przy nim godziną, potem dwie, jak utrzymywała z nim kontakt, gdy już został wypisany, pocieszając go w ciężkim dla niego okresie, i o tym, że gdyby nie ona, popadłby w depresję.
Musiało to dobrze wypaść, bo Ismena wzruszyła się do łez.
– Taka była, taka właśnie była Ismay, zawsze życzliwa i pomocna.
Cathy Sienna patrzyła na niego spokojnie.

•••

Ismena włożyła botki do pół łydki i płaszcz, po czym poszła z Ryanem i Cathy na cmentarz po drugiej stronie ulicy. Zaprowadziła ich na grób Ismay i oświetliła latarką płytę nagrobkową.
Ryan uświadomił sobie, jak inaczej ułożyłyby się sprawy, gdyby znalazł ten cmentarz i ten grób podczas swojej poprzedniej wizyty w Denver, przed transplatacją.

49

Po powrocie do samochodu Ryan nie był w nastroju do rozmowy i nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć. Cathy zachowywała się profesjonalnie, o nic nie pytała. Rozjaśnione światłami miasta niskie niebo z żyłkami czerni i chromowej żółci wyglądało, jakby się tliło. Płatki śniegi opadały na przednią szybę niczym popiół.
Jej pokój w hotelu znajdował się cztery piętra niżej. Wysiadając z windy, rzuciła: „Miłych snów” – i drzwi się zasunęły.
Ponieważ Ryan miał tylko jedną torbę, nie chciał skorzystać z pomocy bagażowego. Kiedy Cathy wysiadła, zrobiło mu się niedobrze i nagle przestraszył się, że winda runie w dół.
Zawiozła go jednak na odpowiednie piętro, gdzie odnalazł swój apartament.
Denver za oknami spowite było łuną światła, jakby Ryan sprowadził ze snu miasto w morzu.
Usiadł przy biurku i zażył lekarstwa, popijając piwem, które

wyjął z barku.

Połknąwszy ostatnie dwie tabletki i pięć kapsulek, otworzył tom poezji i przekartkował go od początku.

Znalazł wiersz zatytułowany *Jezioro* i odnalazł w nim dzikie jezioro ze swoich snów, urocze ze względu na tę dzikość, otoczone czarnymi skałami i wysokimi sosnami.

Kiedy doszedł do *Miasta w morzu*, dwa razy przeczytał go po cichu, a trzy ostatnie wersy na głos: „I w dzikich jękach – w bezdeń wód –/Zapada w mgłach mistyczny gród,/I z swych tysięcznych wstając tronów/Wita go piekło wśród pokłonów!”.

W dalszej części tomu trafił na wiersz *Nawiedzony pałac*, w którym odnalazł swój trzeci sen.

Nie potrafił wymyślić żadnego racjonalnego wyjaśnienia ani dla roli Ismay Clemm, ani snów, które zainspirowała twórczość jej ulubionego pisarza.

Ciemny świat zabobonów nigdy nie był jego żywiołem, a teraz miał się weń zanurzyć, szukając wytłumaczenia w sferze zjawisk nadprzyrodzonych. Nie był to najlepszy moment, żeby coś takiego ryzykować.

Nie wierzył w duchy, ale jeśli nawet Ismay była duchem i chciała mu coś przekazać, nie potrafił zrozumieć, o co jej może chodzić. Już miał odłożyć książkę, nie przekartkowawszy jej do końca, gdy przypomniał sobie, jak po znalezieniu zdjęcia Teresy odłożył segregator w gabinecie Barghesta – co opóźniło o szesnaście miesięcy odkrycie zdjęcia Ismay Clemm, które znajdowało się dwa- naście koszułek dalej.

Przedostatni wiersz w zbiorze, *Dzwony*, przywołał wspomnienie jeszcze czegoś, co powiedziała Ismay. Usłyszał w głowie jej słowa prawie tak wyraźnie, jakby była wraz z nim w pokoju hotelowym. „Jeśli usłyszysz dzwony z żelaza, przyjdź do mnie”.

Dzwony Poego składały się z czterech części i Ryan przeczytał je z rosnącym niepokojem. Pierwsza poświęcona była wesołym dzwoneczkom przy sankach. Druga – harmonijnemu biciu dzwono- nów weselnych. Trzecia była już mroczna, opowiadała o dzwonach bijących na trwogę i będących przepowiednią tragedii ludzkiej. W czwartej części była mowa o żelaznych dzwonach, wpra- wianych w ruch przez duchy wysoko na wieży kościelnej, i ich melancholijnym złowieszczym brzmieniu.

– „Ach, bo każdy, każdy dźwięk/Który drży,/Śród ich rdzy,/To śmiertelny jęk!”* – przeczytał głośno.

* Przekład Antoni Lange.

Słyszając te słowa, przestraszył się bardziej, niż gdy je czytał, umilkł więc.

Niezwykłe rymy, rytm i powtórzenia występujące w tym wier- szu przypomniały mu kakofoniczne bicie dzwono- wów, które obudziło go w szpitalu w noc przed transplantacją.

Widział ten szpitalny pokój, czuł jego zapach, Wally stoi tuż

przy oknie, patrzy w dół, patrzy w dół, patrzy w dół, ton się wznosi, wszystko łśni, cień też łśni, bicie dzwonów, co przenika aż do kości, aż do krwi, w krwi pulsuje, i woń rdzy, i ten rudy, gorzki pył, co się wznosi, raz po raz, ciężką falą, by go ostrzec.

W końcu odłożył książkę.

Nie wiedział, co ma o tym wszystkim sądzić. Nie chciał tego wiedzieć.

Był pewny, że nie zaśnie. Nie w tym stanie.

Ale pragnął zasnąć i spać bez snów. Musiał stracić świadomość. Zrobił więc coś, czego nie pochwaliby doktor Hobb ani u niego, ani u żadnego innego pacjenta z przeszczepionym sercem. Przeszukał barek i znieczulił się kilkoma szklaneczkami ginu z tonikiem.

50

W learjencie Ryan początkowo siedział z dala od Cathy Sienny. Ponieważ obudził się skacowany i potrzebował czasu, żeby zwalczyć ból głowy, ukoić żołądek jakimś nijakim jedzeniem i dojść do siebie, z opóźnieniem opuścili Denver. Pośpieszne wejście na pokład, start i przechył podczas szerokiego skrętu nad Górami Skalistymi – pod wpływem tego wszystkiego mógł zwrócić śniadanie, wolał więc spędzić początek lotu samotnie.

Podszedł do niej, kiedy już wznieśli się w powietrze. Fotele w odrzutowcu ustawione były w systemie konferencyjnym. Usiadł naprzeciwko, a ona, doczytawszy akapit do końca, uniosła wzrok znad czasopisma.

– Jest pani niezwykle opanowana – zauważył.

– Dlaczego? Tylko dlatego, że kazałam panu poczekać dziesięć sekund, aż skończę czytać?

– Nie. Wykazuje pani opanowanie pod każdym względem. A już największe wrażenie robi to, że w ogóle nie zdradza pani ciekawości.

– Panie Perry, każdego dnia życie podsuwa nam znacznie więcej, niż możemy zrozumieć. Gdybym zajmowała się wszystkim, co mnie ciekawi, nie miałabym w ogóle czasu na tę część życia, którą rozumiem naprawdę.

Podeszła stewardesa, która zapytała, czy mieliby ochotę na jakąś przekąskę albo coś do picia. Ryan zamówił klina w postaci Bloody Mary, a Cathy poprosiła o czarną kawę.

– W każdym razie – ciągnęła po odejściu stewardesy – zrozumienie tego, co jest ważne, przychodzi z czasem, jeśli człowiek jest cierpliwy.

– A co jest ważne dla pani, Cathy?

Do tej pory trzymała pismo, zakładając stronę placem, jakby zamierzała zaraz wrócić do lektury. Teraz je odłożyła.

– Bez urazy, ale wśród rzeczy, które są dla mnie najważniej-

sze, nie ma takiej, o której chciałabym rozmawiać z nieznajomym w samolocie, żeby zabić czas.

– Jesteśmy nieznajomymi?

– No, może niezupełnie. – To było wszystko, co mogła mu zaoferować.

Przyjrzał jej się otwarcie: błyszczące ciemne włosy, wysokie czoło, szeroko rozstawione i głęboko osadzone oczy, nos z małym ujmującym garbkiem, zmysłowe usta, dumny podbródek, wyraźnie zarysowana, ale kobieca szczęka i znowu – granitowoszare oczy, pod których spojrzeniem człowiek czuł się jak rozwałkowywany, cienki niczym ciasto filo, na zimnym granitowym blacie piekarza. Chociaż była atrakcyjna, brakowało jej fizycznej doskonałości Samantha, ale coś mówiło mu, że gdzieś w głębi duszy jest tak podobna do Sam, że mogłaby być jej siostrą bliźniaczką, i dlatego czuł się z nią swobodnie.

– Rok temu przeszczepiono mi serce – powiedział.

Czekała na dalszy ciąg.

– Cieszę się, że żyję. Jestem wdzięczny. Ale...

Wahał się tak długo, że zanim dokończył to, co chciał powiedzieć, wróciła stewardesa z Bloody Mary i kawą.

Gdy już miał drinka w ręku, przeszła mu na niego ochota.

Wstawił szklankę do uchwytu w podłokietniku fotela.

Cathy popijała kawę.

– Dawczynią serca, które otrzymałem – kontynuował Ryan – była młoda kobieta, która doznała bardzo poważnego urazu głowy podczas wypadku samochodowego.

Cathy wiedziała, że przed transplantacją zetknął się z nieżyjąca Ismay – albo kimś, kto się pod nią podszywał – i że w związku z nią miał co najmniej jeden dziwny sen, a może i więcej. Ryan widział, że kobieta zestawia te informacje z innymi faktami, które już знаła albo których się domyślała, ale nadal powstrzymuje się od pytań.

– Nazywała się Lily – kontynuował. – Okazuje się, że miała siostrę bliźniaczkę jednojajową.

– Był pan pewny, że Ismay ma siostrę bliźniaczkę.

– Myślałem, że motywem przewodnim są bliźniaczki jednojajowe i chciałem rozszyfrować jego znaczenie. Ale może bliźniaczki to tylko jeden z wątków.

Choć ta terminologia najwyraźniej ją zdziwiła, kobieta nadal się nie odzywała.

– No, w każdym razie – relacjonował – siostra Lily... wydaje mi się, że prowadziła samochód, gdy zdarzył się ten wypadek.

– Moglibyśmy to bez trudu sprawdzić. Ale dlaczego to takie istotne?

– Myślę, że dręczy ją poczucie winy. Poczucie winy, którego nie może znieść. Zaszła więc u niej reakcja nazywana przez psychologów wyparciem.

– I obwinia pana.

- Właśnie. Ponieważ dostałem serce Lily, siostra obwinia mnie za jej śmierć.
- Jest niebezpieczna?
- Tak.
- To już nie jest prywatna sprawa. Niech pan zgłosi się na policję.
- Nie mam ochoty.

Jej szare oczy przybrały teraz odcień śnieżnych chmur, nad którymi lecieli, i nie mógł się zorientować, co się za nimi kryje, tak samo jak nie widział ziemi w dole.

W odpowiedzi na jej milczenie rzucił:

– Zastanawia się pani, dlaczego nie chcę tego zrobić. Ja też jestem ciekaw.

Wyrzwał przez okno obok fotela.

– Nie chcę iść na policję chyba po prostu dlatego, że trochę jej współczuję. Musi się czuć okropnie.

Po chwili, gdy pokonali następny odcinek drogi wśród zimowych chmur i w oślepiającym słońcu, dodał:

– Nie zdawałem sobie sprawy z ciężaru emocjonalnego, jaki niesie... życie z czymś sercem. To wielki dar, ale i... straszne brzemie.

Cathy przyglądała mu się uważnie cały czas, gdy spoglądał przez okno. Odwrócił się do niej.

– Dlaczego straszne brzemie? – zapytała.

– Hm. To tak... jakby się miało obowiązek żyć nie tylko dla siebie, ale i dla osoby, której serce się dostało.

Cathy, ze wzrokiem utkwionym w kubek, milczała bardzo długo i Ryan spodziewał się, że gdy tylko dopije kawę, znowu weźmie do ręki czasopismo.

– Gdy poznaliśmy się w Las Vegas szesnaście miesięcy temu, powiedziała mi pani, że prześladowa mnie własna śmierć, pamięta to pani? Że przeczuwam, iż spadnie topór, tylko nie wiem, kto go trzyma?

– Pamiętam.

– A to, że wymieniła pani motywy zbrodni, żeby pomóc mi zidentyfikować ewentualnych wrogów?

– Oczywiście.

– Pożądanie, zawiść, gniew, chciwość i pragnienie zemsty.

Słownik mówi, że chciwość to niezaspokojona żądza pieniędzy.

Wypiła ostatni łyk kawy i odstawiła kubek, ale nie wróciła do lektury czasopisma. Natomiast spojrzała mu w oczy.

– Myśli pani, że chciwość to nie tylko żądza pieniędzy? – zapytał Ryan.

– Synonimem chciwości jest pożądliwość w ogóle. Człowiek może pożądać wszystkiego, co należy do innej osoby, nie tylko pieniędzy.

Znowu podeszła stewardesa, pytając, czy Cathy życzy sobie

jeszcze kawy i czy Ryanowi nie smakuje Bloody Mary. Zabrała kubek i szklankę.

Gdy się oddaliła, Cathy Sienna przerwała ciszę.

– Panie Perry, muszę zadać panu okropne pytanie. Brutalnie i wprost. Czy chce pan umrzeć?

– Dlaczego miałbym chcieć umrzeć?

– Tak czy nie?

– Nie. Jasne, że nie. Mam dopiero trzydzieści pięć lat.

– Nie chce pan umrzeć?

– Możliwość śmierci mnie przeraża.

– Musi pan więc podjąć pewne działania i wie pan jakie. Poza zgłoszeniem sprawy na policję powinien pan zrobić coś jeszcze. Coś, co wymaga poświęcenia.

– Co ma pani na myśli?

Zamiast odpowiedzieć, odwróciła się do okna po swojej stronie i zapatrzyła w pole zimowych chmur, nieurodzajne skiby, pod którymi świat na dole zbierał wysiany śnieg.

Jej skóra wydawała się w tym świetle przezroczysta i kiedy Cathy przytknęła kilka palców do szyby, Ryan doznał bardzo dziwnego wrażenia, że gdyby chciała, mogłaby przeniknąć przez tę barierę, jakby miała nie większą gęstość niż warstwa gazy, nie bardziej litą strukturę niż powierzchnia jeziora.

Nie powtórzył swojego pytania, bo zorientował się, że jej milczenie ma inną wymowę niż dotychczas, jest pełne namysłu, a jednak natarczywe.

Zwróciwszy znowu głowę w jego stronę, powiedziała:

– Może nie ma pan już czasu na akt poświęcenia. Żeby to pomogło, wymaga odpowiednich działań także w przyszłości. Wyraz jej oczu, ton głosu i nacisk, z jakim mówiła, świadczyły, że w swoim przekonaniu wyraża się jasno, zupełnie zrozumiale. Zdezorientowany Ryan nie poprosił, żeby wyjaśniła, co to wszystko ma znaczyć, bo przypomniał sobie, co powiedziała wcześniej – że zrozumienie przychodzi z czasem, gdy jest się cierpliwym – i przypuszczał, że wszystkie jego pytania spotkają się z tą samą odpowiedzią.

– Co musi pan zrobić – ciągnęła – to złożyć siebie samego w ofierze. – Być może dostrzegła na jego twarzy zdumienie, bo sprecyzowała: – Poświęcić się dla innych, panie Perry. Jeśli ma pan dość odwagi i hartu ducha, niech pan złoży w ofierze całe swoje życie.

Nie bardzo wiedział, co w gruncie rzeczy oznaczają jej słowa, co konkretnie miałby zrobić. Jednak gdzieś w głębi duszy, gdzieś w głębi serca, wiedział, że powiedziała mu coś bardzo ważnego, jakąś prawdę, którą z czasem w pełni zrozumie, ale dopiero z czasem.

Bez słowa wrócił na miejsce, które zajmował, zanim przysiadł się do Cathy, i dalszą część lotu spędzili już oddzielnie.

Gdy minęli granicę Arizony i Kolorado, Ryan doszedł do

wniosku, że nie musi wcale wracać do domu, gdzie na pewno czyhała już na niego siostra Lily. Mógł lecieć wszędzie, do Rzymu, Paryża, Tokio. Mógł spędzić resztą życia w luksusie, przenosząc się z miejsca na miejsce, i nawet nie nadszarpnąć swojego majątku. Niemniej poleciał samolotem na południe Kalifornii, gdzie niebo było zasnuwane chmurami, a morze w oddali – wzburzone. Na płycie lotniska, zanim wsiadła do limuzyny, która miała ją zawieźć z powrotem do Los Angeles, Cathy podeszła do Ryana i rzekła:

– Zapamiętał pan to, co powiedziałam o motywach przemocy. A pamięta pan, że mówiłam też o ich źródle... najgłębszym, zasadniczym motywie?

– Tak, to nienawiść do prawdy – odparł. – To z niej rodzi się pragnienie siania zamętu.

Ku jego zdziwieniu, odstawiła swoją niewielką torbę i objęła go, nie tak jak kobieta obejmuje mężczyznę, ale z większą siłą, wyrażając coś więcej niż życzliwość. Szepnęła mu coś do ucha, a potem podniosła torbę i podeszła do czekającego na nią samochodu. Siedząc w swojej limuzynie, która wyjeżdżała z terenu lotniska, Ryan znowu pomyślał o ucieczce. Mogli polecieć do San Francisco. Mógł załatwić tam sobie samochód i ruszyć w drogę, do Portland, potem na wschód do Boise, do Salt Lake City, Albuquerque i Amarillo. Zatrzymując się na jedną albo dwie noce w każdym z tych miejsc w niekończącej się podróży.

Zadzwoił telefon komórkowy.

Ryan spojrział na wyświetlacz. Telefonował jego ojciec.

Kiedy Ryan się zgłosił, starszy pan zapytał ostro:

– W jakie gówno wdepnąłeś, synu?!

– Słucham, tato?

– Co to za gówno?! Chcesz w nim utonąć?! I pociągnąć mnie za sobą, do cholery?!

– Tato, spokojnie. Nie denerwuj się. O czym ty mówisz?

– Mówię o Violet, ta suka jest tutaj, w tej chwili, weź dupę w troki i przyjeżdżaj natychmiast!

Przez moment Ryan miał wrażenie, że się przesłyszał, ale potem dotarło do niego i powtórzył:

– Violet?

– Co ty masz wspólnego z tą psychopatką, synu?! We łbie ci się pomieszało? Zrób z nią coś. Zrób z nią coś, i to szybko!

Lily i Violet, lilia i bratek, nieodłączne za życia, nieodłączne na wieczność.

51

Przed prawie dziewięcioma laty Ryan kupił matce i ojcu – Janice i Jimmy'emu – po domu i wyznaczył im miesięczną pensję. Biorąc pod uwagę, że nie poświęcili jego wychowaniu szczególnej

troski, a wiele razy wykazywali wobec niego skrajną nieodpowiedzialność i okrucieństwo, nie poczuwał się wobec nich do żadnych obowiązków. Ale stał się sławny, przynajmniej w świecie biznesu; a media żerowały na takich jak on i miałyby o czym pisać, gdyby dowiedziały się, że jego rodzice żyją w nędzy. Poza tym pewną satysfakcję sprawiało mu to, że traktował ich lepiej niż oni jego. Ponieważ Janice i Jimmy rozwiedli się, kiedy Ryan miał dziewiętnaście lat, matkę umieścił w domu z widokiem na wzgórzach Laguna Beach, a ojca bliżej, w Corona del Mar, ulicę od plaży. Janice lubiła blichtr i duże przestrzenie, ale ojciec wolał przytulny bungalow „odjazdowy i z klimatem”.

Corona del Mar, należąca do Newport Beach, nie miała reputacji „odjazdowej i z klimatem”. Ryan znalazł jednak bungalow o powierzchni dwóch tysięcy dwustu stóp kwadratowych, w stylu wiejskiego domku, naprawdę uroczy, i uznał, że Jimmy przeżyje tu niejeden „odjazd”.

Nie wiedząc, co zastanie na miejscu, polecił kierowcy zaparkować ulicę wcześniej i resztę drogi przebył na piechotę.

Z każdym krokiem był coraz bardziej skłonny wycofać się do czasu, aż Wilson Mott przyśle mu jakąś ochronę.

Stany Zjednoczone to jeden z nielicznych krajów na świecie, w którym zamożny człowiek może żyć bezpiecznie bez stałej asysty ochroniarzy. Żeby funkcjonować normalnie i cieszyć się jak największą swobodą, Ryan korzystał z zatrudnianych przez Motta goryli tylko w razie najwyższej konieczności.

Tym razem jednak, choć rozsądek nakazywał wezwanie pomocy, Ryan posłuchał intuicji, która podpowiadała mu, żeby działał sam. Instynkt i znajomość prawdy, do której dotarł poniewczasie, mówiły mu też, że z powodu dotychczasowych działań już i tak ograniczył swoje możliwości do tej jednej ścieżki, i los albo da mu jeszcze jedną szansę, albo ją mu odbierze. Tylko sam mógł siebie ocalić.

Otworzył białą bramę w białym płocie ze sztachet i przeszedł pod treliazem porośniętym bugenwillą w jej skromniejszej zimowej szacie, ale wciąż ozdobionej kwiatami o płatkach czerwonych jak krew. Wyłożona cegłami ścieżka prowadziła na ganek osłonięty dzikim winem.

O otoczenie domu dbała firma ogrodnicza. Gdyby to zależało od Jimmy'ego, trawnik wysechłby na wiór, a wszystko inne zarosłoby, tworząc gąszcz rodem ze scenerii *Małego sklepiku z horrorami*. Drzwi frontowe były uchylone. Nie nacisnął dzwonka, tylko pchnął drzwi i wszedł do środka.

Rzadko tu bywał, więc zawsze wpadał w pętlę czasu i ogarniało go przygnębienie. Era Wodnika w innych zakątkach świata już dawno minęła, ale tutaj zegary zatrzymały się na roku 1968. Psychodeliczne plakaty, pamiątki związane z Grateful Dead, tu Sly and the Family Stone, tam Hendrix i Joplin, gdzie indziej Jefferson

Airplane, jaskrawe pacyfki, portret przewodniczącego Mao, bambusowe rolety w oknach z barwionymi po zawiązaniu w supły zasłonami i oczywiście nargile na stoliku do kawy.

Jimmy siedział na kanapie, a siostra Lily, Violet, stała nad nim, trzymając w dłoni pistolet z tłumikiem.

Na widok Ryana ojciec rzucił:

– Cholera, facet, nie spieszyłeś się. Mamy tu pewien problem. Nie wiem, co tam narobiłeś, ale teraz to odkręć, bo ta suka to prawdziwa wariatka.

W wieku sześćdziesięciu trzech lat Jimmy był kompletnie łysy na czubku głowy, ale z tyłu miał dość włosów, żeby związać je w kucyk. Nosił opaskę na czole jak Pigpen, wąsy jak David Crosby i korale à la Grace Slick. Spośród tych wszystkich skopiuwanych po kimś elementów charakterystyczne wyłącznie dla niego były jedynie oczy, przypominające wypalone dziury, do których spłynęły woda i popiół, pozostałości po ogniu, oczy pełne dziecięcego wyrachowania, chciwości i desperacji, niespokojne, w które Ryan mógł patrzeć tylko wtedy, gdy ojciec był wystarczająco naćpany, żeby jego lęk, niechęć, gorycz na jakiś czas przygłuszył chemiczny odłot.

– Bamping – powiedziała Violet.

Słyszac jakiś ruch, Ryan odwrócił się i zobaczył mężczyznę, który wszedł do salonu z holu. Był Azjata, wzrostu Ryana, i jak Violet trzymał w dłoni pistolet.

Wskazując Jimmy'ego, dziewczyna powiedziała do Bumpinga:

– Zabierz go do sypialni i przypilnuj, żeby był cicho, dopóki nie skończę.

– Nie chcę tam wracać – powiedział Jimmy. – Nie pójdę z nim.

Violet przyłożyła mu wylot tłumika do czoła.

– Tato – odezwał się Ryan – Rób, co mówią.

– Pieprzyć ich – odparł Jimmy. – Faszystowskie świnię.

– Ona odstrzeli ci łeb, tato. Co może cię spotkać gorszego z jego strony?

Oblizując usta i brzeg wąsów, które je ocieniały, Jimmy wstał niepewnie z kanapy. Był bardzo chudy. Dżinsy wisiały mu na tyłku, a wystające spod koszulki łokcie wydawały się niemal równie duże jak przedramiona.

– Suka, pastwi się nade mną – rzekł Jimmy do Ryana. – Nie daje mi zajarać. Powiedz, żeby dała mi się sztachnąć.

– To nie ja tu ustanawiam zasady, tato.

– To twój dom, no nie?

– Tato, idź z tym Bampingiem.

– Z kim?

– Z Bampingiem. Tak ma na imię. Idź z nim.

– Co to za imię... Bamping?

– Tato, przestań.

– Razem z firmą sprzedałeś też jaja?

- Tak, tato. Sprzedałem. A teraz idź z nim.
- To śmierdzi. Cała ta sprawa śmierdzi na milę.
- Inaczej niż na haju, to pewne – odparł Ryan.
- Co to ma znaczyć?
- Nic.

– Coś ma znaczyć, już ja to wiem. Mądrała.

W końcu Jimmy poszedł z Bampingiem do sypialni na końcu holu. Drzwi do pokoju zostały zamknięte.

– Zdejmij kurtkę, bardzo powoli – poleciała Violet.

– Nie mam przy sobie broni.

– Tylko powoli – powtórzyła.

Ściągnął kurtkę i rzucił na kanapę, gdzie mogła ją przeszukać, gdyby chciała. Na jej polecenie zdjął też koszulę i położył obok kurtki, a potem obrócił się w miejscu z ramionami rozpostartymi jak skrzydła ptaka.

Upewniwszy się, że nie jest uzbrojony, wskazała fotel z podnóżkiem i rozkazała:

– Siadaj.

Usiadł posłusznie.

– Zabawne – powiedział.

– Bawi cię to?

– Tak daleko bym się nie posunął. Ale to zabawne, że zarówno przedstawiciele pokolenia powojennego, jak i ich niewydarzeni następcy lubią wygodne fotele.

Nie oparł się swobodnie, tylko siedział sztywno, pochylając się do przodu.

– Gdzie byłeś? – zapytała.

– W Denver.

Trzymała się od niego z daleka, najwyraźniej nie chcąc zbliżyć się tak jak do Jimmy'ego.

– Uciekłeś przede mną?

– Myślałem o tym – przyznał.

– Nie spodziewałam się, że tu przyjedziesz.

– Gdybym nie przyjechał, zabiłabyś go.

– Owszem.

– Chyba nadal możesz to zrobić.

– Mogę – odparła. – Ciebie zabiję na pewno.

– A jeśli nie przyjechałem sam?

– Przyjechałeś limuzyną, która stoi przecnicę stąd. Jest z tobą tylko szofer. Siedzi w samochodzie, słucha bardzo kiepskiej muzyki i wertuje świerszczyk.

Chociaż Ryan wciąż się bał, jednocześnie ogarnął go dziwny spokój. Nie chciał przeżyć już ani jednego takiego dnia jak podczas ostatnich szesnastu miesięcy. Wprawdzie umknął przed śmiercią, ale stracił Samanthę i poczucie celu, nie potrafił się już cieszyć.

Towarzysząca mu przez całe życie wiara, że przyszłość jest warta wszelkich trudów dnia powszedniego, jeszcze się nie zawaliła, ale

została mocno podkopana. Znalazł się w punkcie zwrotnym. Tu albo nastąpi koniec gry, albo nowy początek.

– Jeśli zamierzasz mnie zabić – zapytał – mogę się dowiedzieć dlaczego?

Bambusowe rolety, opuszczone do parapetów, podświetlone były przez przymglone nieco słońce, ale nie przepuszczały go do środka, ani do salonu, ani do jadalni, która znajdowała się obok, za sklepionym przejściem. Pomieszczenia te oświetlały dwie przyziemne lampy na stole, lampa typu lava ze świetlistą substancją, przybierającą różne kształty, trzy świece w kolorowych szklanych świecznikach stojące na kominku i dwie aromatyczne świeceki pływające na wodzie w ozdobnych miseczkach ustawionych na stoliku do kawy.

Jednak bardziej niż światło kształt pokojowi nadawały cienie, które zaokrąślały jego kąty, wygładzały fałdy zasłon z aksamitu i wraz z migocącym blaskiem świeczek sprawiały, że sufit zdawał się falować.

Kobieta wędrowała bez ustanku w nieregularnych plamach tego słabego światła i maskujących cieni. Jej powolne ruchy mogły wydawać się komuś ospałe, ale nie Ryanowi, który dostrzegał w nich kontrolowane napięcie i śmiertelnie groźną, tygrysią siłę.

– Kto to jest? – zapytała, wskazując pistoletem jeden z plakatów.

– Country Joe and the Fish – odparł Ryan.

– Kto?

– To nazwa zespołu, który zmienił świat.

– W jaki sposób?

– Nie wiem. Tak zawsze mówił mi ojciec.

Blask lampy oświetlił jej twarz, malując ją iluzorycznym pudrem i tuszem do rzęs, tak że zaczęła przypominać maskę z teatru kabuki.

– Co tak pachnie?

– Aromatyczne świece, olejki eteryczne.

– To jakiś inny zapach, bardziej subtelny.

– Pewnie czujesz trawkę.

– Marihuanę?

– Uhm. Ten dym przesiąka wszystko. Dlatego ojciec zapala aromatyzowane świece, żeby go zamaskować.

– Dlaczego pali trawkę?

– Nie wiem. Dlatego, że zawsze to robił.

– Jest uzależniony?

– Mówią, że trawa nie uzależnia.

– Czy marihuana nie rozluźnia?

– Nie używam jej. Nie wiem. Tylko tak słyszałem.

– Ale on nie jest na luzie.

– Nie, nigdy nie był.

Ubrana w czarne spodnie, czarny sweter i czarną kurtkę, sama wyglądała jak cień przemieszczający się wśród cieni. Lampy i świece zdradzały jej obecność tylko wtedy, gdy ich blask padł na rękę albo twarz kobiety. Jeśli odbierał jakiś walor jej skórze, to odpłacał się, złocąc ją.

Ryan wiedział, że powinien wyczekiwać na okazję, żeby rzucić się na nią i wyrwać jej broń. Często opuszczała pistolet i można było odnieść wrażenie, że skupia uwagę na pamiątkowej kolekcji Jimmy'ego.

Ryan podejrzewał jednak, że to pozorne roztargnienie i że gdyby próbował je wykorzystać, mógłby zostać zastrzelony.

Wskazując inny plakat, zapytała znowu:

– A to kto?

– Inny zespół. The Grateful Dead. Też zmienił świat.

– Jak go zamienił?

– Nie wiem. Może ojciec by ci powiedział.

– Wiem, że twoja matka żyje, ale nie miałam okazji jej poznać.

– Wpadłaś tu z wizytą? – zapytał Ryan.

– Jest taka jak on?

– Podobna, ale inna. Ona z kolei lubi alkohol i mężczyzn, a najbardziej mężczyzn po alkoholu.

– Zaczynam się zastanawiać, czyby nie zabić was trojga.

Ryan nic na to nie odpowiedział.

Zatrzymując się przy kolejnym plakacie, zapytała jeszcze raz:

– A to?

– Jim Morrison i The Doors.

– Też zmienili świat.

– Tak słyszałem.

Gdy Violet minęła go i weszła do części pokoju, która znajdowała się za fotelem, Ryan obrócił głowę i zaczął wykręcać się w fotelu, żeby móc na nią patrzeć.

– Patrz przed siebie – warknęła, mierząc mu między oczy z pistoletu.

Zrobił, jak mu kazała.

– Jeśli odwrócisz głowę, zastrzelę cię. Ci ludzie na plakatach... co się z nimi stało?

– Nie wiem. Wielu z nich nie żyje.

– W takim razie to raczej świat zmienił ich.

Ledwie słyszał jej lekkie kroki. Musiała coś wziąć do ręki, bo stuknęło o stół, kiedy to odstawiała.

Wobec tej przedłużającej się ciszy Ryan zaczął szukać w głowie jakiegoś pytania czy zagajenia, które pozwoliłoby mu przejąć kontrolę nad rozmową.

Nagle zapytała z tak bliska, że aż podskoczył, tuż zza jego pleców:

– Powiedziałam twojemu ojcu, jak mam na imię. A wiesz, jak miała na imię moja siostra?

Różnica w intonacji między zdaniem twierdzącym a pytającym była jak różnica między beznamiętnym oświadczeniem i pozornie niewinnym, choć podstępny pytaniem policjanta prowadzącego śledztwo. W jej ostatnich słowach kryła się groźba i niewłaściwa odpowiedź mogła spowodować jej realizację, wyzwolić gniew. Po chwili wahania, które, jak sobie uświadomił, mogło być niebezpieczne, odparł:

– Tak. Miała na imię Lily.

– Jak się tego dowiedziałeś? Domyśliłeś się na podstawie kwiatów, które miałam ze sobą, czy czegoś, co powiedziałam?

– Nie. Poprosiłem rodzinę, żeby mi je podała. Dostałem też jej zdjęcie, dlatego wiem, że jesteście bliźniaczkami.

– Dostałeś zdjęcie od rodziny?

– Tak.

– Ale ja jestem jej rodziną.

– To chyba byli wasi rodzice.

– Kłamiesz – powiedziała.

Uderzyła go w skroń czymś, co było prawdopodobnie kolbą pistoletu, i ze zranionego ucha trysnęła krew.

Gdy próbował wstać z fotela, otrzymał następny cios, tym razem w czubek głowy, wymierzony tak szybko, że ból w uchu jeszcze się nie rozprzestrzenił.

Poczuł falę dotkliwego bólu, przebiegającą po szwach między kością czołową czaszki a kośćmi ciemieniowymi. Zamknąwszy instynktownie oczy, ujrzał krętą linię tych szwów, skrzącą się metalicznie.

Obrońnym, instynktownym gestem osłonił dłońmi głowę, tak że trzeci cios pogruchotał mu place. Zawył z bólu, albo tak mu się wydawało, ale nawet jeśli tak było, nastąpił czwarty cios i Ryan stracił przytomność.

53

Odzyskiwał ją etapami, jakie wyznaczała tolerancja dla światła. Początkowo, gdy wydobywał się z całkowitej nieświadomości, aromatyzowane świece wydawały mu się nieznośnie jasne, ich płomyki raziły go w oczy, wypalając mu dziurę w mózgu. Nie wiedział, gdzie jest ani do kogo należą te świece, głowa pękała mu z bólu, tak że nie mógł znaleźć słów, żeby poprosić o ich zgaszenie. Potem znowu kilka razy odpływał i wreszcie oprzytomniał, stopniowo przyzwyczajając się do światła i odzyskując pamięć. Kiedy już sobie przypomniał, kim jest, gdzie się znalazł i w jakich okolicznościach, uniósł głowę i skupił spojrzenie na Violet, która siedziała w fotelu naprzeciwko niego, po drugiej stronie stolika do kawy.

– Wiesz, jak się nazywasz? – zapytała.

Wyraźnie słyszał ją tylko lewym uchem, przez prawe dźwięki dochodziły tak, jakby dostała się do niego woda.

Pewnie do zranionego ucha po prostu napłynęła krew, ale nie stracił słuchu.

– Wiesz, jak się nazywasz? – powtórzyła pytanie.

Nie był w stanie wydobyć głosu z zaschniętego gardła. Udało mu się zebrać w ustach trochę śliny, przełknął ją i powiedział niepewnie:

– Tak.

– To jak się nazywasz?

– Ryan Perry.

Czuł, że kobieta umie tak zdzielić po głowie pistoletem, żeby nie wywołać wstrząśnienia mózgu, ale tym razem straciła nad sobą kontrolę i była zaniepokojona, że będzie miała z nim mniej zabawy, niż planowała.

– Jaka dziś data?

Pomyślał przez chwilę, przypomniał sobie i odpowiedział.

Głowa bolała go od skroni do skroni, od nosa do karku, i nie zaradziłaby na to aspiryna. Z prawej strony, u podstawy czaszki, czuł też fale intensywnego bólu, nasilającego się i słabnącego, a zaraz po nich szybkie, jeszcze ostrzejsze ukłucia, występujące po sześć, osiem, dziesięć razy, które tatuowały linię od jego prawej skroni, przez oczodół aż po nasadę nosa.

Kiedy uniósł lewą rękę z oparcia fotela, żeby przyłożyć ją do czoła, syknął, wciągając powietrze przez zaciśnięte usta, bo miał wrażenie, że musi mieć w knykciach kawałki rozbitego szkła. Palec wskazujący sterczał nieruchomo pod nienaturalnym kątem, a mały palec wydawał się zmiażdżony w sposób nie do uratowania. Rękę miała całą zakrwawioną, krew lśniła też na skórzanym obiciu fotela.

Jedna połowa twarzy Violet ukryta była w cieniu, druga połyskiwała złoto w świetle lampy, ale jej seledynowe oczy wyraźnie błyszczały z ciekawości.

– Pytam jeszcze raz: kto dał ci zdjęcia Lily?

– Chyba rodzina. Dotarło do mnie za pośrednictwem mojego chirurga.

– Doktora Hobba.

– Tak.

– Kiedy je dostałeś?

– Wczoraj rano.

– W niedzielę rano.

– Tak. I zorientowałem się, że to twoja siostra bliźniaczka.

– A potem uciekłeś do Denver.

– Najpierw do Las Vegas. Później do Denver.

– Dlaczego akurat tam?

Sam nie rozumiał, jaką rolę w tej historii odgrywała Ismay

Clemm, więc jak mógł to wytłumaczyć tej kobiecie?

– Zraniłaś mnie na parkingu – odparł. – Przeniknęłaś do mojego domu i po wyjściu zatarłaś wszelkie ślady. Wykasowałaś zapis kamer, pootwierałaś ślepe zamki...

– Takie zamki można otworzyć elektromagnesami. Myślałaś, że to czarna magia?

– Bałem się. Musiałem wyjechać gdzieś, gdzie byś mnie nie znalazła i gdzie mógłbym pomyśleć.

– Co takiego wymyśliłeś w Denver, że postanowiłaś wrócić? Pokręcił głową i to był błąd. Czaszkę przyszył mu ból.

Gdy zelżał, Ryan wyjaśnił:

– Trudno to wyrazić. Nie zrozumiałabyś.

– Spróbuj.

– Nie zrozumiałabyś – powtórzył.

Pomyślał, że gdyby przewrócił stolik do kawy, mógłby przejąć panowanie nad sytuacją. Gdyby dwie szklane miski się rozbiły, gorący olej ze świeczek pewnie wylałby się nie tylko na podłogę, ale i na Violet.

– Nie spodziewałam się, że wrócisz.

– Uhm. Już to mówiłaś.

– Myślałam, że poświęcisz ojca, pozwolisz, żebym go zabiła.

– Nie przyjechałem tu ze względu na niego.

– To po co przyjechałeś?

Milczał. Nie musiał odpowiadać na wszystkie pytania. I tak zamierzała go zabić.

– Zastanawiałeś się, kim jestem... poza tym, że byłam siostrą Lily?

– Jestem pewny, że nie nauczycielką.

– Co to ma znaczyć?

– Ona była nauczycielką.

– Lily nie była żadną nauczycielką.

Żeby było jeszcze miejsce na odsunięcie podnóżka, fotel stał zbyt daleko od stolika, niżby Ryan sobie życzył. Gdyby znajdował się bliżej, mógłby zamachnąć się nogą, kopnąć stolik i przewrócić go, tak żeby rozbić lampki.

– Lily była szwaczką.

– Dlaczego miałbyś mnie okłamywać w tej kwestii? – zapytał.

Zamiast odpowiedzieć na to pytanie, Lily wyjaśniła:

– Jestem z agencji bezpieczeństwa. Rządowej agencji. Ale nie takiej jak FBI czy CIA. Och, zupełnie innej, Ryanie Peny. Ale nigdy nie słyszałeś o naszym biurze ani nie usłyszysz.

– Tajna policja.

– Tak. Właśnie. Pech chciał, że dostałeś serce kogoś, kto miał siostrę zdolną je odzyskać.

– Nikomu niczego nie odebrałem. Co czujesz, to twoja sprawa. Potrafią to zrozumieć. Naprawdę. Ale byłem na liście biorców, a ona na liście dawców i okazało się, że występuje między nami

zgodność tkankowa. Jeśli nie ja, jej serce dostałby ktoś inny.

– Byłeś na liście... United Network for Organ Sharing.

– Uhm. Zgadza się.

– Jak długo czekałeś na serce, Rynie Perry?

Gdyby skierowała pistolet w inną stronę, gdyby podniosła się z krzesła albo skupiła uwagę na czymś innym, mógłby zerwać się z fotela, przewrócić stolik, rozbić lampki, a potem w zamieszaniu jakoś umknąć przed strzałem. Wyobraził sobie tę scenę – hollywoodzką scenę z udziałem kaskaderów, ale to mogło zadziałać, bo są takie chwile w życiu, które przypominają film. Musiał grać na zwłokę, pozwolić tej kobiecie mówić, licząc, że nadarzy się okazja.

– Doktor Gupta... dał mi rok życia. Maksymalnie rok. Ale mogłem umrzeć już po sześciu miesiącach, a nawet wcześniej. Nie znaleźli dla mnie odpowiedniego serca przez prawie cztery miesiące.

– Niektórzy ludzie czekają rok, dwa lata. Wielokrotnie nigdy nie występuje zgodność. Dla ciebie znaleziono serce... w ciągu zaledwie miesiąca.

– Nie. Czterech. Czterech miesięcy.

– Po miesiącu, od chwili gdy przeszedłeś pod opiekę doktora Hobba.

– Bo doktor Hobb to wyjątkowy chirurg, światowej sławy, praktykujący w kilku krajach. Może umieścić swoich pacjentów na liście International Network for Organ Sharing, czyli liście międzynarodowej.

Jej jasnozielone oczy rozszerzyły się, jakby powiedział coś, czego nie wiedziała, jakby uzyskała nową informację, którą musi wziąć pod uwagę.

– International Network for Organ Sharing – powtórzyła. Pokiwała z namysłem głową, jakby trawiła tę wiadomość, ale potem zmrużyła oczy. – Nie ma takiej listy, Rynie.

– Oczywiście, że jest. Byłem na niej. I pani siostra też na niej była. Miała wypadek, okazało się, że występuje między nami zgodność, i powiadomiono doktora Hobba.

Wstała z fotela, ale ponieważ wciąż mierzyła do Ryana z pistoletu, nie miał szansy sięgnąć do stolika.

– O jakim wypadku mówisz? – zapytała.

– Wypadku samochodowym. Została ranna w głowę.

Bezbarwnym głosem, pozbawionym jakiejkolwiek intonacji, Violet powiedziała:

– Lily miała wypadek samochodowy.

Jej seledynowe oczy były zimne, bezwzględne, szklane.

Obeszła powoli stolik, jak mały, ale niebezpieczny drapieżnik.

– Posłuchaj... takie rzeczy się zdarzają – rzucił Ryan. – Zdarzają się i już. Nikt nie ponosi za to winy.

– Zdarzają się – powtórzyła tępo. – Nikt nie ponosi winy.

– Jeśli przypadkiem...

– Jeśli przypadkiem? – zapytała, przystając przed kominkiem.

– Jeśli przypadkiem prowadziłaś wóz, nie możesz się obwiniać.

– Myślisz, że to ja prowadziłam.

Cokolwiek by powiedział, mogło okazać się błędem, ale równie dobrze do strzału mogłoby ją sprowokować jego milczenie.

– Nie wiem. Tylko pomyślałem, że to tłumaczy... tłumaczy twoje uczucia. Dlaczego... się tu znaleźliśmy.

Jeśli wzrok potrafi wyrazić intencje, wyraz jej oczu powiedział mu, że jest już martwy. Spojrzenie kobiety było ostre jak kawałki potłuczonej porcelany, wyrażało wściekłość.

– Nie prowadziłam samochodu, Ryan, bo nie było wypadku.

Żadnego wypadku, żadnej rany głowy, żadnej międzynarodowej listy. Pełna życia, zdrowa jak ryba Lily, po ustaleniu zgodności tkankowej, została uśmiercona, żebyś ty mógł otrzymać jej serce.

54

Kręcenie stłuczoną głową powodowało, że pulsujący ból jeszcze się nasilał; towarzyszyło mu tępe dudnienie, które przypominało szarpanie najniższej struny na kontrabasie, oraz ostre przesywające ukłucia. A jednak Ryan kręcił głową i kręcił, zaprzeczając temu, co powiedziała Violet.

– Dlaczego na transplantację poleciałeś do Szanghaju, Ryanie? Dlaczego aż do Szanghaju?

– Bo tam właśnie zdarzył się wypadek samochodowy. Była podłączona do aparatury, podtrzymywali ją przy życiu po śmierci mózgowej, dopóki nie przylecimy – ja i doktor Hobb ze swoim zespołem chirurgów.

– Wiesz, co to jest Falun Gong, Ryanie?

Pokręcił głową. Nie wiedział. Jej pytanie zabrzmiało tak, jakby powinien wiedzieć.

– Falun Gong to praktyka doskonalenia ciała i umysłu przez pewne ćwiczenia i medytacje.

– Nigdy o tym nie słyszałem. A powinienem?

– Istnieje od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku i została zakazana w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym po pokojowej manifestacji dziesięciu tysięcy jej zwolenników przeciwko aresztowaniu przez rząd i torturowaniu mieszkańców miasta Tianjin.

Kręcenie głową nie tylko zaostrzało ból, ale powodowało jeszcze straszliwy zamęt, jakby na skutek trzęsienia ziemi z półek supermarketu pospadały na podłogę wszystkie towary.

Uparcie jednak kręcił głową, jakby nie chciał, żeby ból ustąpił ani wróciła mu jasność myślenia.

– Życie duchowe nie spotyka się w Chinach z aprobatą. Połowa ludzi w obozach pracy w moim kraju to wyznawcy Falun

Gong – ciągnęła. – Są bici, zmuszani do ciężkich robót, torturowani.

Sądząc po natężeniu jej głosu, Violet obeszła fotel, na którym siedział. Uniósł głowę i choć wraz z falami bólu obraz przed jego oczami albo ciemniał, albo się rozjaśniał, Ryan widział wystarczająco dobrze, aby się zorientować, że nie było jej w tej części pokoju, która rozciągała się przed nim.

– Patrz przed siebie – nakazała znowu. – Nie odwracaj się.

Ryan nie sądził, żeby kobieta strzeliła mu w tył głowy. Chciała, żeby jeszcze pocierpiał, a później gdy przyjdzie pora kończyć, patrzył na wylot lufy, gdy ona naciśnie spust.

– Lily praktykowała Falun Gong. Biedna, kochana marzycielka. Byłyśmy bliźniaczkami, ale różniła się ode mnie. Ja mam mroczną duszę.

Jakby знаła jego myśli, przytknęła mu lufę do nasady czaszki, zmuszając go, żeby przestał kręcić głową.

– O Boże, nie. Robisz błąd.

Okrągły wylot lufy stał się jakbym trzecim okiem w jego głowie, bo gdy zamknął te, z którymi przyszedł na świat, zobaczył jej wnętrze aż do samego pocisku.

– Lily była szwaczką, żyła z tego, co zarobiła, i poszukiwała czegoś, co by nadało sens jej egzystencji, trochę ją rozjaśniło. Falun Gong.

Krew na jego twarzy, na rękach, na fotelu wydzielala lekką woń, którą wyczuwał chyba tylko on, i zrobiło mu się niedobrze.

– Aresztowali ją dwa lata temu. Przez rok próbowałam ją uwolnić, dyskretnie, potajemnie.

Nagle poczuł się jak na pokładzie statku podczas przechyłu, otworzył więc oczy i wbił wzrok w fotel, na którym poprzednio siedziała Violet, żeby zatrzymać pokój i opanować mdłości.

– Ciężka praca, bicie, tortury, gwałt... nie wszyscy wyznawcy Falun Gong są temu poddawani. Niektórych traktuje się dobrze, żeby ich wykorzystać w inny sposób.

Ryan zaszlochał mimowolnie i usiłował się opanować, bo czuł intuicyjnie, że zamiast wzbudzić litość, jego łzy wywołają u niej tylko pogardę. Jego jedyną szansą było zachowanie spokoju, powściągliwość i apel do zdrowego rozsądku.

– Nigdy nie słyszałem o Falun Gong – powtórzył z uporem. – Nigdy.

– W Szanghaju jest pewien szpital, który służy tylko dwóm celom. Po pierwsze, przeprowadza się w nim pewne eksperymenty. Po drugie, organizuje transplantacje dla wysokich urzędników państwowych w złym stanie zdrowia i bogatych cudzoziemców, których stać na zapłacenie olbrzymich sum.

Ku jego zdziwieniu, kobieta pojawiła się po lewej stronie pola widzenia. Wcześniej tak przyciskała lufę do jego czaszki, że nawet gdy zabrała pistolet, miał wrażenie, że nadal go czuje.

– Trzy dni przed twoim przeszczepem dowiedziałam się, że Lily została zabrana z obozu do tego szpitala. Trzymała broń w obu dłoniach, w odległości pięciu stóp od niego, mierząc mu w szyję, ale niewątpliwie wiedząc, że kula pod wpływem siły odrzutu strzaska mu zęby i odstrzeli tył głowy.

– Nerki mojej kochanej Lily dostali dwaj towarzysze, wątrobę trzeci z nich, rogówkę czwarty, a serce jakiś ksiązę Internetu, jeden z setki najbardziej pożądanых kawalerów świata. Ryan dowiedział się czegoś nowego: strach potrafi tak zdominować wszelkie inne uczucia, że człowiek nie czuje nic poza nim, tak obezwładnić umysł, ducha i ciało, że nie myśli o niczym innym tylko o umieraniu, traci wszelką nadzieję i mimo najgorszych ran nie czuje żadnego bólu, bo każdą komórką odczuwa przerażenie.

– Nie wiedziałem – jęknął, ale słowa te wyrwały mu się mimowolnie jak pieśń czy litania, które, powtarzane już dziesięć tysięcy razy przy innych okazjach, jako jedyne przychodzą do głowy, gdy myśl zawodzi.

– Wiedziałeś – powtórzyła.

– Przysięgam, że nie wiedziałem. – Dalszy ciąg litanii. – Przysięgam, że nie. Przysięgam, że nie. Nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział.

– Doktor Hobb przywozi tam pacjentów z całego świata. W ciągu tych wszystkich lat stu sześćdziesięciu z nich znalazło serce w ciągu miesiąca albo mniej. Doktor Hobb wie.

– Może on wie, nie będę mówił za niego, nie będę go bronił. Ale ja nie wiedziałem.

– Podobno tak wielu ludzi morduje się dla narządów, że tam gdzie ich chowają, wyrasta czerwony bambus. Całe gaje czerwonego bambusa.

Opuściła lufę pistoletu i z tłumika dobył się tylko cichy, dziwnie naturalny dźwięk, kiedy strzeliła mu w lewą stopę.

55

Przerażenie nie mogło uśmierzyć bólu po postrzale, a przynajmniej nie całkowicie, ani zatamować krwi. Ale rana okazała się mniej osłabiająca, niż Ryan by przypuszczał, stała się nie tyle źródłem przeszywającego bólu, okropnej męczarni, ile tego rodzaju cierpienia, które przywróciło mu jasność myślenia, sprawiło, że w jednej chwili oblał się potem od stóp do głów, a jednocześnie poczuł lodowaty chłód, który przeniknął go, wprawiając ciało w drżenie, tak że zaczęły mu szczerkać zęby.

Nie krzyczał, bo zabrakło mu tchu, ale kobieta powiedziała:

– Jeśli będziesz krzyczał, uciszę cię w ostry sposób, a to, co potem nastąpi, będzie jeszcze mniej przyjemne niż do tej pory. Dźwięki, które wydawał, były czasami niskie i zdławione, czasami wysokie, drażące i żalodne, ale zduszał je w sobie.

Zamiast zsunąć się na podłogę, opadł na fotel, obejmując prawą ręką stopę w miękkim bucie, bo stwierdził, że lekki nacisk łagodzi ból.

– Gdy straciłam moją Lily, żyłam już tylko po to, żeby odnaleźć ciebie.

Violet, ze swoją szczególną, niespieszną nerwowością, znowu okrążyła pokój, jak jakiś czarny ptak, który wpadł przez otwarte drzwi, bezlitosny skrzydlaty posłaniec szukający ostatecznego celu.

– Potrzebowałam dziesięciu miesięcy, żeby uciec z Chin. Troje z nas wyjechało w tej misji. Potem dwóch miesięcy, żeby dotrzeć do tego kraju, dowiedzieć się wszystkiego o tobie i przygotować plan.

Po jasności, wywołanej przez ból, umysł Ryana zalała fala mroku, pokonując wszystkie jego bariery obronne, i lęk przed śmiercią zastąpił jeszcze gorszy strach, jakiego to tej pory nie znał, nie wyobrażał sobie nawet, że może istnieć.

– Hobb wiedział – powtórzyła, krążąc po pokoju.

– Nic mi nie powiedział.

– Oczywiście, że nie powiedział: „Jedźmy do Szanghaju i rozprujmy całkowicie zdrową dziewczynę dla ciebie”.

– Jeśli nie od niego, to skąd miałem wiedzieć? – zapytał błagalnie, ale zabrzmiało to słabo, nawet w jego własnych uszach. – Skąd miałem wiedzieć?

– Z tego, co dawał do zrozumienia.

Na to nie miał odpowiedzi.

A ona nie ustępowała:

– Z tego, co się domyślałeś.

Ciemna fala, która przedarła się przez jego tak długo bronione obwarowania, niosła prawdę.

– Ze wszystkiego razem: „międzynarodowej” listy dawców, zaledwie miesięcznego okresu oczekiwania na serce, z astronomicznego kosztu operacji, pospiesznego lotu do Szanghaju, tysiąca porozumiewawczych spojrzeń i skinień głowy, które musiałeś widzieć.

Drżącymi ustami wypowiedział mimowolnie:

– Podtekst.

Działania miały swoje konsekwencje. Zawsze zdawał sobie z tego sprawę i stosował tę zasadę w biznesie oraz w życiu prywatnym.

Wezbrał w nim całkiem nowy, przytłaczający strach, jakiego nie czuł w ciągu całych swoich trzydziestu pięciu lat – strach, że działania moją mieć konsekwencje wykraczające poza to życie.

Jej gniew ustąpił spokojnej determinacji, żeby wymierzyć sprawiedliwość, i kobieta zbliżyła się do niego z powagą i surową godnością.

– Byłam szkolona, żeby wcielić się w Amerykankę. Przyjechać tu pewnego dnia i utworzyć tajną komórkę.

W jej głosie dała się słyszeć głęboka rezygnacja, jasnozielone oczy przybrały rozmarzony wyraz.

– Mój sekretny plan przewidywał, że sprowadzę tu Lily, zmienimy tożsamość i staniemy się prawdziwymi Amerykankami. Teraz ten kraj przestał dla mnie istnieć. Tak jak Chiny. I nie mam gdzie się udać.

Patrzyła na niego znad pistoletu.

Gęsta krew powoli ciekła Ryanowi z rany w nodze, pogrucho-tana lewa dłoń zwinęła się jak łapa zwierzęcia, głowa go bolała, jakby ścisnął ją drut kolczasty, ale to nie ból fizyczny wycisnął z niego łzy. Spowodowała je świadomość rozmyślnej ślepoty, z którą oddał się pod opiekę doktora Hobba i która w gruncie rzeczy to-warzyszyła mu przez całe życie.

Bardziej do siebie niż do Violet, pod wpływem nagłej potrzeby spowiedzi, rzekł:

– Tamtego wieczoru Samantha powiedziała mi, żebym był ostrożny. „Zwłaszcza ty – powiedziała – ty musisz być ostrożny”.

– Ta pisarka? – zapytała Violet.

– Mówiła, że powinienem zdać się na los. Ostrzegła, żebym nie brał sprawy w swoje ręce, tylko pogodził się z tym, co ma być. Znowu ból prawie ustąpił, tak jak wcześniej stłumiony przez strach, który wyparł wszelkie inne uczucia.

– Mój Boże, ona wiedziała, do czego jestem zdolny. Ja nie wiedziałem, a ona tak. Cały czas wiedziała... i kochała mnie. Teraz wraz z bólem zniknął też strach i Ryan czuł tylko jedno. To uczucie zdominowało jego emocje, umysł i ciało, było dla niego nowe, ale rozpoznał je od razu – wstyd.

Ryan Perry nie wiedział do tej pory, że coś z nim było nie tak. Jednym z motywów przemocy była chciwość.

– Moja ślepa chciwość zabiła twoją siostrę – powiedział.

– Chciwość? – zapytała. – Masz worki pieniędzy.

– Żądza życia.

Pożądał jej serca, czyjegokolwiek serca i okłamywał sam siebie, ukrywał to przed sobą.

Violet cały czas patrzyła na niego znad lufy.

Dopiero teraz, zbyt późno, zdał sobie sprawę, że przed szesnastoma miesiącami, na samym początku całej tej historii, spotkała go niezwykła łaska, miał bowiem szansę zyskać świadomość, jakiej oczekiwała od niego Samantha, jeśli się mieli pobrać: świadomość, że życie i świat mają swój podtekst, ukryty sens, i że wynikają z tego pewne konsekwencje. Ismay Clemm, ofiara chciwości swojego męża i żądzy śmierci, jaką żywił Spencer Barghest, przybyła z Denver, żeby go ostrzec przed wyborem jednej ścieżki i skierować na inną. Ukazała mu w snach trzy rodzaje piekła, ale on widział w nich tylko trzy zagadki, puzzle.

– Zostało dziewięć kul – powiedział głos Lily. – Osiem, żeby bolało, i dziewięta, żeby zakończyć sprawę.

Jakakolwiek rolę odgrywała Ismay po śmierci, ujawniła najzwyczajszą prawdę. Ryan uświadomił sobie, że nie chciał jej dostrzec, wywracał ją i przekreślał, aż wszystko zagmatwał. Zamiast się zdziwić, zareagował podejrzliwością. Tam gdzie powinien zauważyć łaskę, widział ciemne knowania. Szukał wyjaśnień, które zakładały obecność groźnych trucicieli, środków halucynogennych dodawanych do jedzenia, podstępnych pracowników, zmoję całego świata. A istniał tylko jeden konspirator: on sam konspirował przeciwko sobie, żeby nie widzieć natury tego złożonego świata i wieczności.

– Źródłem przemocy jest nienawiść do prawdy – powiedział, patrząc na Violet.

Siostra bliźniaczka zmarłej Lily strzeliła Ryanowi wysoko w lewy bok, tuż pod obojczyk.

Był wciąż w tym pokoju, ale nie całkiem, częściowo, jakby wznosił się nad swój ból, oddzielił od niego, bo jego ciało było już tak słabe, że nie mógł odczuwać cierpień wraz z nim. Ale tym razem nie łudził się, że ktoś potajemnie podał mu narkotyki.

– Ismay dała mi... ostatnią szansę. Dzwony.

Spojrzał Violet w oczy, ponieważ czuł, że miała prawo widzieć, jak uchodzi z niego życia, że jest jej to winien.

– Dzwony? – zapytała.

– Wiele miesięcy przed transplantacją. Powiedziała, że gdy usłyszę dzwony... mam do niej przyjść. I nie zrobiłem tego.

– Ismay? Kto to jest?

Ponieważ brakowało mu już siły i jasności umysłu, żeby jej wytłumaczyć, powiedział jedynie:

– Mój stróż.

– To ja biłam w dzwony – odparła Violet.

Nie zrozumiał.

– Zostawili kilka kościołów, jeszcze w dawnych czasach. Dla pozorów.

– Żelazne dzwony.

– W dniu śmierci Lily przesłałam jej wiadomość. Że będę z nią duchem. Biciem w nie dawałam temu świadectwo.

Ryan przypomniał sobie złowróżbne bicie dzwonów, to niestające bicie. I straszne przeświadczenie, że popełnia błąd, przed którym ostrzega go ten dźwięk.

– Bicie w dzwony miało być obietnicą sprawiedliwości – ciągnęła Violet. – I tego, że na zawsze pozostanie w moim sercu. Chociaż Ryan bał się śmierci, nie sądził, żeby jeszcze coś potrafił zrobić ze swoim życiem.

– Już dobrze. Wymierz sprawiedliwość – rzekł.

Poprzednio, mówiąc o dzwonach, Violet opuściła pistolet.

Teraz uniosła go znowu.

– Wypełnij obietnicę, którą oznaczały dzwony.

Tym razem strzeliła mu w prawą część ciała, pod obojczyk.

Przeszyty kulą i rzucony na oparcie fotela, czując teraz w zapachu krwi słodką woń ofiary, zobaczył w pokoju cienie, które zbliżały się do niego.

Niespełna godzinę wcześniej, na lotnisku, zanim wsiadła do limuzyny, żeby wrócić do Los Angeles, Cathy Sienna uścisnęła Ryana mocno i szepnęła mu do ucha cztery słowa, których nikt nigdy nie wypowiedział pod jego adresem.

Teraz po raz pierwszy w życiu wyrzekł je do kogoś innego, z pokorą i szczerością, które, ku swojej uldze, zdołał u siebie odnaleźć:

– Modlę się za ciebie.

Ponieważ był już jedną nogą poza czasem, nie potrafił określić, ile to trwało, ale miał wrażenie, że Violet między strzałami patrzy na niego całą minutę albo nawet dłużej.

Zebrał wszystkie siły, żeby jeszcze raz ją zapewnić, że wszystko w porządku, gdy odwróciła się od niego i strzeliła w jeden z plakatów.

W magazynku pozostało sześć kul i wystrzelała je w nieżyjące sławy, w przewodniczącego Mao, w kolorową lampę awaria, która rozprysła się na wszystkie strony.

Nie patrząc na Ryana, wyszła z pokoju, zostawiając go, żeby umarł.

56

Czy osłabiony z powodu upływu krwi, czy utraty motywacji do życia, Ryan nie próbował wstać z fotela, na którym zwinął się jak pies do snu, z podciągniętymi nogami i głową wspartą na jednym z podłokietników.

Kiedy lampa eksplodowała, jedna z dwóch lamp na stole przewróciła się i zgasła zalana rozpryskującym się płynem. Pokój, który oświetlały teraz jedynie świece i aromatyzowane świeczki, choć tylko trochę zdewastowany, przypominał ruiny miasta w łunie dogasającego wielkiego pożaru.

Czy jakiś czas po wyjściu Violet, czy zaraz po tym – Ryan nie był pewny – w drzwiach pojawiła się skulona, drepcząca postać, która mruczała coś z niepokojem i przeklinała wściekle. Pochyliła się nad nim, obmacując go i dźgając, a jej kwaśny oddech przypominał oddech trolla, który zjadł, co mu się napatoczyło. Potem podeszła do wysokiej szafy w kolorze szafirowym z wymalowanymi gwiazdami i księżycami.

Kiedy ta osoba pochyliła się nad nim, Ryan nie mógł skupić na niej wzroku; teraz, z pewnej odległości, zdołał ją rozpoznać.

Szafa w gwiazdy i księżyce miała drzwi na górze i szuflady na dole. Jimmy wysunął jedną z szuflad i wysypał jej zawartość na podłogę.

– Tato.

– W porządku, wiem, w porządku.

– Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście.

Niosąc szufladę, Jimmy pośpiesznie wrócił do Ryana. W blasku aromatyzowanych świeczek jego oczy wyglądały jak latarnie.

– Nie mogę dopuścić, żeby te przeklęte gliny znalazły mój zapasik.

Wyrwał fałszywe dno szuflady i rzucił ją na podłogę. Następnie wyjął metalową, zamykaną na klucz kasetkę głębokości czterech cali, z rodzaju tych, w których drobni sklepikarze chowają pod koniec dnia utarg.

– Jestem ranny.

Gmerając przy zamku kasetki, Jimmy rzucił:

– Minutkę, jeszcze minutkę. – Wyjął plastikowe torebki z marihuaną i haszyszem. – Muszę to wyrzucić do kibla i zaraz zadzwonię.

– Najpierw zadzwoń, potem wyrzucisz.

– Za dużo się tu dzieje, za dużo. Gdyby jeszcze znaleźli u mnie to...

– Tato. Proszę. Zadzwoń.

Gdy Jimmy oddalał się truchtem w tym złowrogim świetle, mamrocząc do siebie: „Muszę to wyrzucić do kibla, muszę wyrzucić do kibla” – wyglądał jak trochę bardziej szalony Rumpelstiltskin.

Ryan spróbował wstać z fotela. Stracił przytomność.

Obudził go nasilający się dźwięk syren.

Jimmy nachylał się nad fotelem, przyciskając szmatkę do czoła Ryana.

– Co robisz?

– Muszę zatamować krwawienie.

Wilgotna szmatka cuchnęła jak pomyje, ale Ryan nie miał siły, żeby odepchnąć rękę ojca.

– Tato, posłuchaj.

– Zaraz tu będą.

– Mieli maski.

– Kto?

– Włamywacze... byli w maskach.

– Co ty powiesz.

– Nie widzieliśmy ich twarzy.

– Ja widziałem.

Róg szmatki przykleił mu się do ust i Ryan go wypluł.

– Dostali... zły adres.

– Cicho. Oszczędzaj siły.

– Szukali jakiegoś Curtisa.

– Chrzanisz. Przecież tu nie ma żadnego Curtisa.

– Postrzelili mnie, zanim się zorientowali.

– Już przyjechali – oznajmił Jimmy, gdy syreny umilkły.

Zbierając siły, Ryan chwycił szmatkę i odsunął ją od swojej

twarzy.

– Posłuchaj. To nasza wersja.

Zdezorientowany ojciec spytał:

– A jest kilka?

Ryan nie zamierzał wydać Violet i jej pomocnika. Nie chciał też, żeby ojciec ich wydał.

– Cholera, tato. Tak, jest kilka.

– Maski, zły adres, jakiś Curtis – powtórzył Jimmy.

– Dasz radę?

– Zbajerować gliny? Robię to przez całe życie.

Chwilę później w pokoju byli już ludzie ze służb paramedycznych.

Choć jeszcze niedawno chciał umrzeć, Ryan ze zdziwieniem stwierdził, gdy sanitariusze pochylili się nad nim, że jednak bardzo pragnie żyć.

57

Trzy lata i pięć miesięcy po opublikowaniu swojej pierwszej powieści Samantha wydała już trzecią. Lexington w Kentucky, na końcu trasy obejmującej dwadzieścia jeden miast, nie było typowym przystankiem podczas kampanii promocyjnej autora książek. Samantha poprosiła jednak swojego wydawcę, żeby włączył je do programu po Atlancie, bo znajdowało się niedaleko St. Christopher's Ranch i dzięki temu miała pretekst, żeby zadzwonić do Ryana.

Przyszło jej do głowy, że miałby mniejszą chęć na spotkanie z nią, gdyby specjalnie po to przejechała przez cały kraj, a jeśli pomyśli, że po prostu znalazła się w okolicy, będzie czuł się swobodniej. Przed dwoma tygodniami, gdy do niego zadzwoniła, odniosła wrażenie, że ucieszył się, słysząc jej głos, i chętnie się z nią umówił.

Rano wynajęła samochód i zagłębiła się w rejon Bluegrass, wybierając, gdy tylko się dało, boczne drogi. Jadąc niespieszne, podziwiała zza okien wiejskie widoki, ciągnące się milami czarne albo białe płoty z desek, murki z wapienia, za którymi na dziewiętych łąkach pasły się konie pełnej krwi angielskiej.

St. Christopher's Ranch obejmowało siedemdziesiąt akrów.

Łąki były tu równie bujne jak wszędzie indziej, a konie na pastwisku tak samo piękne, choć innej rasy. Dom stał z dala od głównej drogi hrabstwa, na końcu podjazdu porośniętego z obu stron starymi dębami.

Wielka elegancka rezydencja, biała z czarnymi elementami wykończeniowymi, otoczona obszerną werandą, osłonięta była przed ostrym czerwcowym słońcem największą wierzbą, jaką Sam kiedykolwiek widziała.

Na werandę prowadziła zarówno rampa, jak schody. Sam wy-

brała szerokie schody.

Na przestronnym ganku stały huśtawki i wielkie wyściełane fotele z wikliny; jeden z nich zajmował jasnowłosy, piegowaty chłopiec w wieku około trzynastu lat, opalony i bosy; ubrany był w dżinsowe szorty i bawełnianą koszulkę z pieskami.

Czytał książkę, a ponieważ nie miał raka, przewracał kartki palcami u nóg.

– Hej – powiedział, unosząc wzrok znad książki – mówił ci już ktoś, że jesteś ładna?

– Tak, parę razy – odparła.

– Jak masz na imię?

– Sam.

– Dziewczyna o takim imieniu musi być ładna. Gdybym był dziesięć lat starszy, nie dałbym ci przejść spokojnie.

– Mówił ci już ktoś, że jesteś strasznym flirciarzem?

– Tak, parę razy – odrzekł i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Zgodnie z instrukcją telefoniczną przeszła przez siatkowe drzwi do holu z piękną starą podłogą z drewna orzecha. W biurze ranca panowała swobodna atmosfera, wszystkie drzwi były otwarte.

Ojciec Timothy siedział w swoim gabinecie, za biurkiem, tam gdzie miała go zastać. Wysoki, przygarbiony, z twarzą ogorzałą od słońca i wiatru, mógłby uchodzić za zarządcę posiadłości czy doświadczonego koniarza, gdyby nie to, że miał na sobie habit.

– Dziś wypada kąpanie psów, Binny więc ma dużo roboty, a ponieważ nie wiedział, kiedy pani przyjedzie, prosił, żebym zaprowadził panią do niego.

– Binny – powtórzyła.

– Och, tak go tu nazywamy. Ma znane nazwisko, a nie lubi rozgłosu. Tak więc na niego mówimy, żeby zachować dyskrecję.

W jej pierwszej powieści występowała postać o imieniu Binny.

Ojciec Tim poprowadził ją przez cały dom do tak zwanego parku, który przypominał raczej czworokątny dziedziniec czy kampus uniwersytecki. Duży brukowany plac ocieniony dębami otaczały trzy budynki podobne do głównej rezydencji, ale nowsze.

W parku dużo się działo. Dzieci siedzące na wózkach inwalidzkich wokół niskich stołów wykonywały rozmaite prace ręczne.

Grupa chodzących dzieciaków w strojach do karate uczyła się wschodnich sztuk walki. Maluchy usadowione w półokręgu na poduszkach słuchały zakonnicy, która czytała im książeczkę, sugestywnie odgrywając zdziwienie i strach królika. I wszędzie szwendały się albo bawiły psy, golden retrievery i labradory, pełne energii, zadbane i szczęśliwe.

– Bracia mieszkają w dobudowanych skrzydłach domu – wyjaśniał ojciec Timothy, prowadząc Sam pod dębami – a siostry w klasztorze na tyłach posiadłości. Te trzy budynki to dormitoria, ale musimy dobudować jeszcze czwarty. Nie grupujemy dzieci według rodzaju inwalidztwa, dzieciaki z zespołem Downa mieszkają w

jednej sali z niepełnosprawnymi fizycznie, na przykład mającymi porażenie kończyn dolnych, żeby mogły nawzajem doceniać swoje umiejętności.

Do St. Christopher's przyjmowano sieroty i dzieci specjalnej troski. Młodsze mogły liczyć na adopcję, ale starsze, po szóstym roku życia, dla których trudniej znaleźć rodziny, przeważnie mieszkaly tu do osiągnięcia dojrzałości.

Bracia zajmowali się między innymi hodowlą psów rasowych. Chociaż przynosiło to konkretny dochód, niesprzedane psy odgrywały równie ważną rolę jak te, które zdobywały medale na wystawach czy znajdowały szczęśliwy dom, bo na ranchu nie tylko towarzyszyły dzieciom, ale były tak szkolone, aby pomagać im w procesie socjalizacji i kształtowaniu pewności siebie.

Rozchodzące się za parkiem szerokie chodniki prowadziły do stajni i wybiegów dla koni, ogrodzonych pastwisk, klasztoru i budynków gospodarczych, z których jeden mieścił gabinet weterynaryjny i psiarnie.

Ojciec Tim zaprowadził Sam do myjni dla psów, otworzył drzwi i powiedział:

– Nie będę państwu przeszkadzał. Pozna pani Binny'ego... jak mówią dzieciaki, gdyby miał jeszcze drugie ucho klapnięte, wyglądałby jak jeden z psów.

W dużym pomieszczeniu znajdowały się umywalnie, stoły do wyczesywania i pielęgnacji oraz suszarki dla psów. Jeden z golden retrieverów siedział właśnie pod suszarką i patrzył żalonym wzrokiem, jakby znalazł się w niewoli. Ryan, któremu asystował mniej więcej piętnastoletni chłopiec z zespołem Downa, smarował żelem uszy czarnego labradora.

Nie zauważywszy Sam, Ryan powiedział do chłopca:

– Znajdź jego kołnierz, Rudy, i odprowadź go z powrotem do siostry Josephine.

Rudy posłusznie przytaknął, a potem zobaczył Sam i uśmiechnął się. Ryan zrozumiał, co znaczy ten uśmiech, i odwrócił się. Miał kalosze i gumowy fartuch, a pod nim spodnie khaki i zieloną koszulkę polo. Sam nigdy nie widziała go w tak niedbałym stroju – ale też nigdy nie wyglądał bardziej stylowo.

Ponieważ nie była pewna, jak ją przyjmie, ze wzruszeniem i radością zobaczyła, że na jej widok się rozpromienił.

– Jesteś – powiedział. – Mój Boże, jesteś tutaj.

Widząc, jak na nią patrzy, poczuła, że łzy napływają jej do oczu, a Ryan, zauważywszy to, czym prędzej przedstawił jej Rudy'ego, a potem Hama, labradora, który miał być odprowadzony do siostry Josephine.

– Rudy będzie wspinałym hodowcą psów – wyjaśnił.

Chłopiec, onieśmielony, schylił głowę. – Świetnie sobie z nimi radzi, tylko nie lubi wyciskać im gruczołów odbytowych.

– Uuuch – potwierdził chłopiec.

Gdy Rudy z Hamem odeszli, Ryan powiedział:

– Pozwól, że się przebiorę i umyję. Potem zjemy lunch. Sam go przygotowałem. To znaczy lunch. – Pokręcił głową. – Ty tutaj! Nigdzie nie odchodź. Zabiorę Tinker spod suszarki, już wyschła. Należy do mnie. Pójdzie z nami na lunch.

Retriever z radością umknął spod suszarki i zademonstrował jeszcze większe zadowolenie, gdy pan pogłaskał go po uszach i podrapał po szyi.

Ryan zdjął fartuch, odwiesił go, zrzucił kalosze, włożył sportowe buty do biegania, a potem wyszorował dłonie i przedramiona nad jedną z długich głębokich wanien do kąpania psów.

– Tinker jest śliczna – zauważyła Sam.

– Tak, to fantastyczny pies. Sam się dziwię, dlaczego trzyma się mnie, zamiast jakiegoś dzieciaka, który przez cały dzień rzucałby jej piłkę.

– Na pewno cię uwielbia.

– Uhm, pewnie dlatego, że zawsze mam przy sobie ciastka.

Ryan wziął Sam za rękę tak naturalnie, jakby nigdy się nie rozstali, i ruszyli razem za Tinker, która poprowadziła ich wokół budynku i dalej po zewnętrznych schodach na piętro z tarasem. Jego mieszkanie było jeszcze mniejsze niż jej na Balboa Peninsula: niewielka kuchnia i salon, sypialnia wręcz ciasna.

Na lunch był kurczak na zimno, ser, sałatka z ziemniaków – „przyrządzam zabójczą sałatkę pomidorową” – pomidory i ogórki. Razem nakryli do stołu na tarasie.

Inaczej niż u niej w Balboa, tarasu nie ocieniało tu rozłożyste drzewo pieprzowe, tylko daszek. Widok obejmował boisko do baseballa i rozciągające się za nim pastwiska.

– Jak nowa książka? – zapytał.

– Jak na razie sprzedaje się najlepiej ze wszystkich.

– To świetnie. Mówiłem ci. Pamiętasz? Nie jesteś autorką jednego hitu.

Rozmawiali o wydawaniu książek, o tym, nad czym właśnie pracowała Samantha, i o St. Christopher's, o którym Ryan mógł opowiadać całymi dniami, nie wyczerpując zbioru uroczych anegdot.

Przyjechała tu, żeby sprawdzić, czy dobrze mu się żyje i czy jest szczęśliwy, bo zależało jej na jednym i na drugim. Jeśli ktoś posuwa się do tego, że oddaje cały swój majątek, można się obawiać, że zrobił to wiedziony romantycznym wyobrażeniem, iż wraz z bogactwem pozbędzie się wszystkich problemów, a potem odkryje, że trudno żyć na tym świecie bez niewyczerpalnego konta bankowego. Ale Ryan wydawał się szczęśliwszy, niż mogła oczekiwać, i wiedziała, że nie udawał, bo wciąż można było w nim czytać jak w książkach doktora Seussa.

– Dni, tygodnie, lata upływają tu tak szybko, Sam. Trzeba wykąpać psy, odmalować stajnie, skosić trawniki, no i są zawsze

dzieci, którym wydaje się, że tylko ja potrafię rozwiązać ich problemy, bo mam jedno psie ucho. Kocham te dzieciaki, Sam. Boże, są wspaniałe, zmagają się z takimi ograniczeniami, ale nigdy nie narzekają.

Mógł poddać się operacji plastycznej ucha, ale z powodów, których się tylko domyślała, postanowił z nim żyć. Tak jak z bliźniami na głowie, które albo w ogóle nie zarosły, albo powyrastały na nich kępki włosów, zupełnie innych niż reszta.

Lekki niedowład lewej stopy powodował, że powłóczył nią trochę, ale nie utykał; nadal poruszał się zgrabnie, przystosowując się do tej ułomności, jakby się z nią urodził. Był wciąż najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znała, ale teraz zyskał jeszcze coś, czego mu wcześniej brakowało i co przydawało urody, choć nie miało nic wspólnego z powierzchownością.

Rozmawiali przez całe popołudnie i mimo że Samantha nie zamierzała go pytać, co się stało tamtego dnia, który tak zmienił jego życie, w końcu sam poruszył ten temat i po raz pierwszy usłyszała o wszystkim, o czym wcześniej jej nie mówił: o Ismay Clemm, o snach, paranoicznym doszukiwaniu się spisku, w który miała być zamieszana także jej matka, a nawet ona sama. Opowiadał o swojej ślepotcie i popełnionych błędach otwarcie i z pokorą – nawet z lekko melancholijnym humorem – wskutek czego była to najbardziej zajmująca historia, z jaką Samantha kiedykolwiek się zetknęła, nie tylko ze względu na fakty, ale i na to, jak głęboko go zmieniły.

Nie kwestionowała żadnego z nadprzyrodzonych zjawisk w tej opowieści, bo choć sama nigdy nie widziała ducha, świat zawsze był dla niej złożonym miejscem, a zamieszkujący go niedoskonali ludzie – zbiorowością potencjalnych świętych. A łaska, jak dobrze wiedział teraz Ryan, przeważnie zsyłana jest nie w postaci zjaw takich jak Ismay, ale podobnych do nas osób. Ludzi takich jak Cathy Sienna, która zdała sobie sprawę, że powinna powiedzieć Ryanowi o źródłach przemocy, nawet jeśli miał zastanowić się nad nimi zbyt późno, i która podczas lotu z Denver podsunęła mu pomysł, żeby wykorzystał swoje cierpienie i to, do czego doszedł, pomagając innym, co właśnie robił, nie oczekując, że uzyska zbawienie, ale z nadzieją, że dostąpią go inni.

Kochała go kiedyś i nie przestała kochać. Teraz była to jednak inna miłość, oparta, jak dawniej, na porozumieniu emocjonalnym, intelektualnym i duchowym, ale już nie zmysłowa. Przez swoje cierpienie Ryan nauczył się miłować prawdę i tego popołudnia Sam się zorientowała, że dzięki temu rozumiał ją jak nigdy wcześniej, tak dobrze, że być może jako jedyny na całym świecie znał ją rzeczywiście. Podczas tego niezwykłego spotkania pokochała go nawet mocniej i zaczęła się zastanawiać, czy dane jej będzie zaznać jeszcze w życiu takiego uczucia.

Późnym popołudniem, kiedy przyszła pora się pożegnać, oboje

to wyczuli i jednocześnie wstali od stołu. Ryan wraz Tinker doprowadził Sam do samochodu przed główny budynek, przeszli obok stajni i wybiegów dla koni, a następnie przez dziedziniec. Po drodze rzekł:

– Jest jeszcze coś, co muszę ci powiedzieć, Sam, i wiem, że będziesz protestować, ale nie przerywaj mi. Nie dyskutuj ze mną. Nie komentuj. Tylko słuchaj. Jestem w końcu wielbicielem twoich książek, może więc należą mi się pewne względy. Pisarz musi dbać o swoich fanów.

Zorientowała się po jego celowo niedbałym tonie, że zamierza jej powiedzieć coś znacznie ważniejszego niż wszystko inne, o czym rozmawiali przez całe popołudnie. Milczeniem wyraziła zgodę.

Znowu wziął ją za rękę i przeszli kilka kroków, zanim zaczął:

– Patrząc na to wszystko, co się wydarzyło, przez bardzo długi czas nie wiedziałem, dlaczego takiemu facetowi jak ja zesłano Ismay Clemm i inne znaki, abym nie skończył z sercem nieżyjącej dziewczyny w piersi, mając ją na sumieniu. Dlaczego dano mi szansę, choć wyraźnie nie byłem typem człowieka, który by ją dostrzegł, nie mówiąc o skorzystaniu z niej? I któregoś dnia, nie tak dawno temu, zrozumiałem. Czytając twoją trzecią książkę, zrozumiałem. Dostałem tę szansę ze względu na ciebie.

– Ryan...

– Obiecałaś, że nie będziesz przerywać. Zaraz ci wyjaśnię.

Jesteś wspaniałym człowiekiem, więcej niż wspaniałym, jesteś ucieleśnieniem łaski. I to, co robisz ze swoim życiem, jest ważne. Musisz być szczęśliwa, bo jeśli będziesz szczęśliwa, poprzez swoje książki wskażesz drogę bardzo wielu ludziom. Bądź szczęśliwa, Sam. Znajdź sobie kogoś. Wyjdź za mąż. Miej dzieci. Byłabyś cudowną matką. Miej dzieci, Sam, weź z życia to, co najlepsze, i pisz dalej książki. Bo jeśli jest dla mnie jakaś nadzieja, gdy przyjdzie mój czas, to nie dlatego, że wszystko oddałem i żyję tu wśród mnichów, nie tylko dla siebie. Nie, jeśli jest odkupienie, to dostąpię go, bo przeszedłem przez twoje życie, nie wyrządzając ci krzywdy i nie pomniejszając w żaden sposób twoich możliwości. Bez komentarza, nie chcę słyszeć ani słowa.

Doszli do samochodu, ale nie potrafiła ani do niego wsiąść, ani nic powiedzieć. Wiedziała jednak, czego Ryan od niej oczekuje, czego chce. Siłą woli zmusiła się więc, żeby nie komentować jego słów, tylko przywołała uśmiech na twarz i nagle przyszło jej do głowy, o co mogłaby zapytać, żeby zakończyć spotkanie w lepszym tonie.

– Nie powiedziałaś mi... jaki to był film, ten z Williamem Holdenem, przy którym się budziłeś i myślałeś, że to jakieś przesłanie?

Po tym jak się uśmiechnął, a potem cicho zaśmiał, zrozumiała, że zadała właściwe pytanie.

– Bóg musi mieć poczucie humoru, Sam. I najwyraźniej tak już stracił do mnie cierpliwość, że próbował dać mi znak niewiele mniej oczywisty niż krzew gorejący. Miał mi dać do myślenia tytuł... gdybym podjął trop i zadał sobie trud, żeby go sprawdzić. – Przerwał dla efektu. – *Szatan nie zasypia.*

Zaśmiała się, ale był to śmiech przez łzy.

Przytulili się na chwilę do siebie, ona pocałowała go w policzek, on ją w czoło.

Odjeżdżając, zerknęła w lusterko i zobaczyła, że stał nadal na podjeździe, patrząc za nią, ale już drugi raz nie zdołała w nie spojrzeć.

Kiedy dostrzegła miejsce na poboczu wiejskiej drogi, zatrzymała samochód.

Nieogrodzona łąka wznosiła się lekko ku trzem dębom. Sam podeszła do drzew i usiadła pod największym z nich, opierając się plecami o pień, niewidoczna z drogi.

Pląkała przez długi czas, nie tyle nad nim i nie tyle nad sobą, ile nad tym światem i tym, jaki mógłby być.

Później zauważyła, że myśli już o ptakach, o ich śpiewie, o szumie wiatru w koronie dębu, promieniach słońca, czystych i jasnych, które przebijały się przez gałęzie i pieściły trawę.

Wstała i wróciła do samochodu. Czowała, że pora wracać do domu.

Miała do napisania nową książkę. I życie przed sobą.

